

# Tragedia nimfy 8

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

**MARCIN WOLSKI**

**TRAGEDIA NIMFY 8**

**OPOWIADANIA**

**Ekspонат**

**Ludzie - Ryby**

**Konfrontacja**

**Mam prośbę, Jack...**

**Masa krytyczna**

**Matryca**

**Na żywo**

**Przezorność**

**Przestępstwo i wyrok**

**Tragedia "Nimfy 8"**

**Trzecia planeta**

**Wariant autorski**

**Ekspонат**

Lecieli wewnętrznym skrajem czasoprzestrzeni. "Explorador 13" mógłby się postronnemu obserwatorowi wydać wielką kometa. Oczywiście mógłby pod warunkiem, że byłby widoczny. W istocie ekspedycja przenikała czasy, wymiary i przestrzenie zgoła niepostrzeżenie, wywołując zaledwie tu i ówdzie zachwiania pola magnetycznego. Dowodził

El, stary, siwy Glor, który startł swe czułki w niejednej ekspedycji badawczej. Stanowisko naczelnego dyrektora Wszechświatowego Muzeum Planet zmuszało go do częstych wypadów poza własną zaciszną Galaktykę Spiralną, ale zwykle każdy lot kończył się sukcesem w postaci nowego eksponatu, a to czerwonego karła, a to czarnej dziury, a to niewielkiego układu planetarnego. Tym razem ich celem był szczególnie odległy układ gwiazdny, a ściślej mówiąc, jedna z planet, na której na bazie białka (tak, tak, przyroda notuje takie paradoksy) rozwinęła się podobno jakaś wyżej zorganizowana cywilizacja. Oczywiście, naturalne sygnały rozchodzą się po Wszechświecie bardzo wolno i zanim do Glora dotarła wiadomość, że na planecie pojawiło się życie, pierwsze trylobity wyszły już z morza. Później, zanim Dyrekcja Muzeum podjęła decyzję, obróciły się w węgiel lasy karbonu, a gdy wystartował

"Explorador", wylęgły się już ogromne gady wypełniając swymi cielskami lądy, morza i powietrze.

- Musimy się pośpieszyć - mrucał El - zanim rozwiną się do tego stopnia, że nie dadzą się bezkarnie zaholować do muzeum. Pamiętajcie, jakie mieliśmy sęki z planetą podwójną z gwiazdozbioru Węgi.

Podwładni kiwali mózgowcami.

- A co mówi superkomputer? - zapytał ktoś z asystentów. - Na planecie nadchodzi era zlodowaceń, wielkie czapy śniegu spełzają od biegunów. Pośpieszmy się. "Explorador"

zdwoił szybkość. Tymczasem komputer wyrzucał z siebie setki informacji. Glory załogowe mogły dowiadywać się kolejno o zlodowaceniach, o pierwszych istotach dwunożnych, o początkach cywilizacji i jej błyskawicznym pochodzie:..

Przeszli w normalną trzywymiarowość na wysokości planety otoczonej dziwnym pierścieniem. Byli tuż, tuż...

Planeta docelowa widoczna była na monitorach. I wtedy:

- Za późno - pękła El.

Skoczyli ku wizjerom. Planety nie było. Targnięta dziesiątkiem wybuchów rozpadła się na setki i miliony okruchów.

- Spóźniliśmy się - powiedział starszy asystent.

- Ale przynajmniej wiemy, że tam były na pewno istoty rozumne.

El milczał. Nie mógł się pogodzić z niepowodzeniem ekspedycji. Popatrzył na sąsiednie planety. Pierwsza tuż przy gwiazdzie centralnej była rozżarzona do czerwoności, drugą spowijały gęste opary amoniaku, czwarta była zbyt zimna. Ale trzecia... trzecia wyglądała całkiem sympatycznie. Miała nawet sporego satelitę.

El zdecydował się. Wydał odpowiednie rozkazy. Roboty miały zbierać resztki życia z rozłupanej planety, która na ich oczach zmieniała się w skupisko planetoid.

- Co pan chce zrobić, szefie? - spytał jeden z młodszych Glorów.

- No cóż, postaram się zrobić coś z niczego - uśmiechnął się siwy dyrektor.

- Nie bardzo mamy czas. Rok świetlny, najwyżej dwa. - Nie sądzę, żeby mi to zajęło więcej niż sześć dni. Jak wiecie, siódmego odpoczywam.

### **Ludzie - Ryby**

Topielica, o prozaicznym nazwisku Susy Waters, miała przebywać razem z grupą Ludzi - Ryb na jednej z opuszczonych farm przy drodze do Everglades. Meff otrzymał te informacje od jednego z portierów oceanarium w Miami, w którym Susy Waters pracowała przed dziesięcioma laty, uczestnicząc w efektownych zabawach z delfinami, zanim porwał ją wartki jeszcze wówczas ruch neohippisowski, sięgający, jak mówili jego prorocy, do korzeni chrystianizmu, a po wyrwaniu go z korzeniami jeszcze głębiej.

Sekta Ludzi - Ryb głosiła konieczność powrotu do oceanu. Rokrocznie grupy młodych ludzi gromadziły się w różnych ustronnych miejscach oddając się medytacjom, odprawiając czarne nabożeństwa, wpadając w mistyczne transy, aby uzyskać w końcu nadludzką sprawność umożliwiającą życie pod wodą. Jedyne z wyznawców, którego zeznania przez krótki czas znajdowały się w Federalnym Biurze Śledczym, twierdził, że po uzyskaniu duchowej doskonałości, wzgardzeniu tym, co marne i doczesne - całość majątku bywała przeważnie zapisywana na rachunek Gminy (imiennie dysponowała nim Kapłanka) -

dochodziło wreszcie do dnia Wielkiego Chrztu. Cała Gmina ze śpiewem i tańcami udawała się na brzeg wody (najczęściej morza) i zbiorowo dawała nura.

Większość nurkowała dobrowolnie, ale niektórym trzeba było pomagać, a w stosunku do szczególnie opornych używać ciężarków przywiązanych do nóg. Świadców ceremonii nigdy nie było. Czasami tylko nieuczciwe morze wyrzucało parę wzdętych, trudnych do rozpoznania ciał na malownicze brzegi Florydy czy Zatoki Meksykańskiej. Rodziny, które wcześniej dostawały entuzjastyczne listy od członków Gminy, nie dowiadywały się, rzecz jasna, o przebiegu totalnego Chrztu. W tych ostatnich listach, które Susy czasami dyktowała swym współwyznawcom, mowa była o dalekiej podróży, w czym łatwowierni Amerykanie nie dostrzegali niczego podejrzanego. Zresztą panna Waters nie zagrzewała długo miejsca.

Zwykle jeszcze tego samego dnia zmieniała stan i nazwisko i na nowo usidlała kandydatów chętnych do powrotu w głębiny praoceanu. Umiejętność hipnozy na odległość sprawiała, że proceder swój mogła uprawiać długo i szczęśliwie. Jej rozreklamowana dewiza "Życie wyszło z morza, w morzu też znajdzie ocalenie" nie wzbudzała podejrzeń. A wspólne życie grupy młodych ludzi propagujących doskonalenie ciała i duszy było bez przeszkód akceptowane w demokratycznym społeczeństwie.

Rafą, na którą miała natrafić nasza rusalka, zresztą, co mówię rafą, rafką - okazał się Gene Hunter, młody reporter jednej z mniej znanych gazet stanu Pensylwania.

Hunter był dziennikarzem sportowym, wyznania adwentystycznego, traktujący poważnie swoje obowiązki. Jednym z nich była opieka nad siostrą Raquel. Rodzice od pewnego czasu nie żyli. Póki Raquel była dość mała, by słuchać ciotki i zwierzać się bratu ze swych problemów, kłopotów było niewiele. Później jednak, gdy redakcja zaczęła wysyłać Huntera na rozgrywki panamerykańskie, mistrzostwa świata i olimpiady, umieszczenie Raquel w elitarnym college'u wydało się rozwiązaniem najprostszym. Gene nie zwracał

uwagi, że poczynając od drugiego roku studiów listy zamiast z miasta uniwersyteckiego przychodzą z kąpieliskowych regionów Kalifornii i że występuje w nich często motyw cieczy, ryb, znaku wodnika itp. Zaniepokoił się dopiero, gdy przestały przychodzić w ogóle. W

college'u poinformowano go, że panna Hunter nie pojawiła się od października, koleżanki nie miały żadnych wiadomości o jej miejscu pobytu poza tym, że w poprzednim roku Raquel dużo czasu poświęcała treningom pływackim. Nieprzyjemne zaskoczenie stanowił fakt opróżnienia całego osobistego konta i zabrania podczas krótkiej wizyty w domu szkatułki z rodzinną biżuterią.

Ciotka, sklerotyczna i półsparaliżowana, zeznała jedynie, że Raquel zjawiała się pewnego majowego popołudnia na parę godzin, pokręciła się po mieszkaniu, kazała pozdrowić Gene'a i znikła. Była wymizerowana, blada i sprawiała wrażenie wespółobecnej.

Na pytania o postępy na uczelni, powiedziała: "wszystko w porządku", a w toalecie wydrapała spinką do włosów znak ryby. Była już oczywiście dziewczyną pełnoletnią i miała prawo robić, co chce, ale gdy upłynęło jeszcze pół roku i nie nadszedł żaden znak życia, Hunter stracił cierpliwość. Odszukał listy siostry. Dwa ostatnie pochodziły z San Rafael, niewielkiej miejsciny położonej nad zatoką na północ od San Francisco. W jednym było nawet zdjęcie. Raquel, w kombinezonie ze srebrzystej tkaniny przypominającej łuskę, uśmiechała się na tle reklamy piwa. Za nią mniej wyraźnie widać było jakieś zabudowania. Następnego dnia brat przybył do "Frisco". Tydzień zmitrężył, zanim znalazł na obrzeżu San Rafael miejsce, w którym dokonano zdjęcia. Tło przydrożnej reklamy stanowił stary zrujnowany pensjonat niedaleko morza. Odrapana tablica mówiła, że obiekt jest na sprzedaż, ale facet ze stacji benzynowej twierdził, że choć oficjalnie nikt nie kwapił się z wynajęciem, co pewien czas koczowały tam grupy młodzieży, posthippisów, zwolenników wyzwolenia Indian, naturystów czy innych wegetarianów.

Gene pokazał mu zdjęcie Raquel. W pierwszej chwili benzyniarz wydawał się poznawać dziewczynę, ale rychło stracił ochotę na rozmowę, zaczął zbywać dziennikarza monosylabami, tłumacząc się brakiem pamięci oraz mnogością widywanych twarzy.

Wyraźnie kłamał. Jeśli Raquel przebywała w tym opuszczonym domu dłuższy czas, musiał ją widywać. Gene włamał się do wewnątrz. Włamał - jest w tym wypadku określeniem przesadzonym, po prostu wszedł, nic nie było zamknięte. Najwyraźniej było po sezonie, bo żaden nieproszony lokator nie gnieździł się w wielkim jednopiętrowym budynku, zapuszczonym i brudnym. Hunter znalazł tam niezliczone ślady bytności rozmaitych lokatorów: puszki po piwie, coca coli, pety od marihuany, fiolki po lekach, gazety. Wszystko jednak dość świeżej daty. W paru miejscach tego zrujnowanego domu Gene zauważył świeże tynki. Kto na miłość Boską mógł zajmować się tynkowaniem cudzej rudery? Pod tynkiem nie znalazł nic ciekawego. To co musiało być tam wcześniej namalowane, zostało zdrapane do surowej cegły. Tylko na strychu na jednym z nie oświetlonych drewnianych bali dostrzegł

wydrapany gwoździem znak ryby.

Poza stacją benzynową pensjonat nie miał zbyt wielu sąsiadów. Wszyscy odznaczali się spartańską

małomównością. Wreszcie jedna staruszka po długotrwałych indagacjach przypomniała sobie grupę młodych ludzi, którzy mieszkali w pensjonacie i uprawiali bezceństwa. Jakie bezceństwa, nie potrafiła odpowiedzieć. Ale byli czyści, nie kradli, bardzo lubili biegać i kąpać się nago. Potem wyjechali. Pół roku temu wyjechali.

Hunter poszedł na plażę. Zwykle dzikie wybrzeże, brudne i nieuczęszczane. Jakiś napis przestrzegał przed kąpielą. Zresztą i pora była nieprzyjemna, wietrzna. Pomocą stał się dla Gene'a kolega ze studiów zatrudniony w dziale sensacyjnym jednego z tutejszych dzienników. Kiedy wspólnie sprawdzili, że ostatni sygnał od Raquel przypadł na koniec maja, Leo wyciągnął prywatną kartotekę zabójstw, porwań i wypadków.

- Ciekawa sprawa - mrucał - w drugiej połowie czerwca, właśnie w tym rejonie zatoki wyłowiono zwłoki kilkunastu młodych nagich ludzi. Zaledwie czwórkę udało się zidentyfikować. Były to przeważnie dzieci z dobrych domów, które porzuciły rodziny i włóczyły się po kraju w poszukiwaniu przygód.

- A pozostali? - spytał Hunter.

- W tym kraju dziennie ginie kilkanaście osób bez wieści, zwłoki były w stanie daleko posuniętego rozkładu, nie udało się ich dopasować do kogokolwiek z zaginionych. Nazajutrz w archiwum policyjnym pokazano mu garść przedmiotów znalezionych przy topielcach.

Złoty łańcuszek ze znakiem wodnika. Obrączkę. Zegarek. Pierścionelek... Ten pierścionelek poznał natychmiast! Sam kupił go Raquel na szesnaste urodziny.

Leo był zdania, że młodzieżowe towarzystwo po zażyciu narkotyków udało się na nocną kąpiel ze skutkiem wiadomym, i nie był skłonny doszukiwać się jakichś bardziej tajemniczych okoliczności. Tego dnia odnaleźli anonimowy grób Raquel, policja pokazała wstrząsającą fotografię ciała po dwutygodniowym przebywaniu w wodzie. Tylko piękne, rude włosy pozostały te same... Dopiero rok później, podczas turnieju tenisowego w San Antonio dzięki przypadkowo przeczytanemu reportażowi o religijnych stowarzyszeniach stanu Texas, Hunter zetknął się z wiadomością o sekcje Ludzi - Ryb. Pytając o szczegóły w redakcji tygodnika dowiedział się, że chodzi o bardzo małą grupę młodzieży doskonalącą się fizycznie i psychicznie poprzez stały kontakt z wodą.

- Znacznie to zdrowsze niż dawne hippizmy. Mają przemiłą kapłankę, pannę Craft.

Podobno mistrzyni Luizjany w 1958 roku w stylu dowolnym - informował go miejscowy kolega po fachu.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie specyficzny sposób rysowania ryby na znaczku firmowym. Identyczny jak w łazience Raquel, taki sam jak w opustoszałym pensjonacie nad zatoką San Francisco.

W pobliżu miejscowości o bogobojnej nazwie Corpus Christi, niedaleko jednej z tysięcy lagun urozmaicających tę część wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, znajduje się rozległa, opuszczona farma przypominająca telewizyjną Panderosę.

Była pora przedwieczorna, kiedy młody człowiek w obszarpanych dżinsach wszedł na teren udekorowany kolorowymi lampionami. Towarzyszyły mu dwie dziewczyny strażniczki.

Na tarasie z głową zanurzoną w pełnej wody waniencie klęczała naga kobieta, z którą czas obszedł się niesłychanie łagodnie, pozostawiając jej ciało dwudziestolatki. Obok kilkunastu młodych ludzi, schludnych, krótko ostrzyżonych i nagich, kołysało się rytmicznie. Z głośnika płynął dźwięk fal załamujących się na piasku i cichy szept ni to modlitwy, ni to bez melodyjnej pieśni o prążyciu w praoceanie, wodzie, nieskończoności, wodzie, szczęściu, wodzie... Poza wartowniczkami uzbrojonymi w automaty nikt nie zwrócił

na przybysza uwagi. Zanurzenie kapłanki trwało długo, może kwadrans, wreszcie uniosła twarz. W

odróżnieniu od młodego ciała jej wiek można było z łatwością ustalić na podstawie nad naturalnie białych, zwiotczałych policzków i zmarszczek wokół zielonych, na wpół

gadzik oczu.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Wędrowcem w poszukiwaniu sensu.

- Kto cię przysłał?

- Los, przekorny gracz naszymi ziemskimi kośćmi.

- Kochasz wodę?

- Woda jest początkiem i końcem.

- Widzę, że czytałeś moją książkę - zauważyła panna Craft.

- Mam ją przy sobie!

Wyznawcy budzili się. Trochę oszołomieni, trochę senni. Parami poobejmowani czule, odchodzili w głąb budynku.

- Chcesz pić z mego źródła? - spytała kapłanka.

- Pragnę zanurzyć się w twym źródle!

Spędzili ze sobą noc. Gene nigdy nie spotkał równie wspaniałej kochanki. Była wyzwolonym żywiołem i ucieleśnionym szaleństwem. A przecież nie stracił ani na moment świadomości, że panna Craft (czyli, jak wiemy - Susy Waters) jest odpowiedzialna za śmierć Raquel.

Pozostał na farmie. Dał się wciągnąć w rytm treningów, medytacji i zabaw. Życie przebiegało lekko, wydając się jednym wielkim festynem. Zdrowe, naturalne jedzenie -

Gmina miała krowę i trzy kozy - proste rozrywki i poczucie bez troski wypełniały ciepłe, słoneczne dni. Gene poddał się temu ukołysaniu, nie stracił wprawdzie czujności, ale każdy dzień udawał, że jego obawy są bezpodstawne. Kapłanka, i owszem, wymagała posłuszeństwa. Zakazywała pojedynczo opuszczać farmę, miała swoje strażę i chyba swoich donosicieli, ale poza tym była tak sympatyczna, serdeczna... Omal jej nie polubił. Hunter również nie opuszczał farmy, miał jednak maleńką radiostację, którą porozumiewał się ze swym przyjacielem Frankiem, kolegą z działu sportów wodnych, który zakwaterował się w pobliżu. Radiostację tę Gene przechowywał poza domem w spróchniałym pniu i zwykle wmykał się do niej po zmierzchu.

Początkowo trudno było mu traktować filozofię Ludzi - Ryb poważnie, sądził, że chodzi raczej o alegorię. Aliści w miarę trwania dziwnego kursu kapłanka stawiała się coraz bardziej jednoznaczna.

- Poprzez oczyszczenie ciała dojdziemy do doskonałości mówiła - a doskonałość leży w odległości wyciągniętej ręki - i demonstrowała ją. Może były to triki, ale rzeczywiście potrafiła przebywać godzinę pod wodą (Hunter nie miał pojęcia, że trafił do Rusałki), lewitować nad ziemią czy przebijać ciało na wylot prętem do robienia na drutach. A poza tym kochała drzewa i węże, a przede wszystkim wodę.

"Gdy świat zginie w atomowej pożodze, tylko w morzu znajdziemy przetrwanie" -

brzmiała jej wielka dewiza. Coraz więcej młodych ludzi ogarniało przeświadczenie, że posiadają podobną doskonałość. Chętnie zapisywali Gminie swe majątki, z krótkotrwałych wizyt domowych przywozili kosztowności i gotówkę. Zbliżała się najkrótsza noc w roku. Noc Chrztu i próby. Hunter wiedział już sporo, chciał jednak poznać sprawę do końca. Zdobyć dowody. Próbkę jedzenia, które przekazywał Frankowi, zawierały, jak wykazała analiza, coraz większe dawki narkotyku, łączącego w swym działaniu pobudzenie z bezwolnością i nadwrażliwość z otępieniem intelektualnym. Rankiem w dniu poprzedzającym noc św. Jana (jako adwentysta w świętych nie wierzył, ale w sekcje Ludzi - Ryb zapomnieć musiał nawet o święceniu soboty) doszło do wpadki. Susan zwołała

Gminę emitując przez głośnik wzburzony szum morza.

- Czyje to? - pytała wymachując mikroradiostacją.

Nikt się nie zgłosił. Zarządzona publiczna spowiedź też nie wyłoniła winnego. Gene błogosławił trening woli, który sprawił, że nawet czujne zmysły Rusałki nie rozpoznały w nim zdrajcy. Miał nadzieję, że Frank mając w ręku tyle dowodów wezwie pomoc. Minęło jednak południe i nic się nie działo. Podczas popołudniowych medytacji, gdy kapłanka znów zanurzyła się w wannie, a reszta wiernych popadła w odrętwienie, Hunter wycofał się z kręgu.

Wcześniej odkrył dróżkę przez zarośla, opuścił farmę. Do namiotu Franka były dwa kilometry. Ale nie trzeba było gonić aż tak daleko. Dwieście metrów za farmą natknął się na gołe ciało pokryte grubą warstwą teksańskich mrówek. Frank nie żył od paru godzin. Gene stracił głowę. Chciał uciekać, ale po paru minutach zorientował się, że biegnie w stronę farmy. Chciał zawrócić. Na próżno. Obok niego wyrosła Farah, długonoga strażniczka z automatem.

- Gdzie się włóczysz podczas Wielkiego Skupienia? - warknęła odstawiając prześliczne, acz drapieżne ząbki. - Poszedłem się wysikać - skłamał nieudolnie.

Kazała mu wracać do kręgu. Chyba też była trochę zdenerwowana. Jak się zdołał zorientować, strażniczki tylko formalnie należały do Gminy. Nie uczestniczyły w skupieniach, stołowały się oddzielnie razem z Susy, unikając tym sposobem otumaniających narkotyków. Do północy nie mógł nawet marzyć o wyrwaniu się z grupy. Ledwie udało mu się symulować spożycie posiłku, który musiał zawierać wzmocnioną porcję narkotyku. Około dwudziestej wszyscy zapadli w sen. Wszyscy z wyjątkiem Susy i strażniczek. Udając śpiącego Gene spod przymkniętych powiek obserwował, jak strażniczki pospiesznie ściągają lampiony. Pakują cały sprzęt, również osobiste rzeczy wyznawców do samochodu. Starannie przeszukują dom. Tylko czujna Farah stała nieruchomo na ganku i śledziła śpiących pokotem.

Ucieczka zakrawała w tym momencie na marzenie ściętej głowy.

Sygnalem pobudki był dźwięk fal i nagrane piski mew. Wszyscy zerwali się nadzwyczaj podnieceni.

- Już czas - brzmiała modlitwa. "Czas Wielkiego Chrztu, zanurzymy się w prawodzie, niech nas otoczy kryształowym zwierciadłem, wróćmy do natury, bądźmy w wodzie, bądźmy wodą".

A potem zaczął się wariacki sprint na złamanie karku.

W biegu wszyscy zrzucali resztki odzieży. Później zbierały ją strażniczki. Lżejsi niż piórka, jak kosmonauci na Księżycu wybijali się w najdziwaczniejszych trójskokach biegnąc, dążąc, lecąc ku plaży.

- Jesteśmy lekcy, doskonali, sprawni, nieśmiertelni brzmiały słowa nauczonego hymnu.

Tuż nad wodą Gene upadł na bok, w krzaki. W czasie gonitwy trzymał się środka stawki i żadna ze strażniczek nie dostrzegła jego uciezki.

Kilkudziesięciu młodych ludzi zbiegło tymczasem na plażę. Morze było wzburzone.

Ciemne.

W transie skakali w toń. Okrzyki radości głużył huk przyboju. Nagle na skale ukazała się Susy. Trzeba powiedzieć, dobrze wybrała tę zatoczkę. Niewidoczną tak od pełnego morza, jak i z lądu. W ręku trzymała silny reflektor. Oświetliła kipiel.

Niektórzy z wyznawców musieli nieco otrzeźwieć, próbowali bowiem pływać i wzywać pomocy. Dwóch wspinało się na skały, ale czekały już tam strażniczki uzbrojone w długie żerdzie. Paru krzyczącym rozpaczliwie pływakom przyczepiły do nóg żelazne klamry.

A potem stało się coś, czego Hunter nie mógł pojąć. Susy skoczyła do wody, mógłby przysiąc, że zamiast nóg miała teraz ogon pokryty rybią łuską. Skacząc po falach dążyła naprzeciw łamiącym się

bałwanom.

Nagle odwróciła się. Uniosła prawicę i zawołała gardłowo. I stało się coś nadzwyczajnego. Pięć strażniczek puściło naraz żerdzie, poczęło krzyczeć i wymachiwać rękami. Był to krzyk przeraźliwy, rozpaczliwy, bolesny. Krzyk człowieka, którego oszukano i który nie może pojąć dlaczego. Hunterowi wydawało się, że śni. Biegające po plaży dziewczyny zaczęły się kurczyć, głosy ich rozbrzmiewały coraz piskliwiej ciała ciemniały. I naraz jęły odrywać się od piasku. Ich ręce pokryły się pierzem, ich ciała skarłały, a krzyk stał

się zwyczajnym mewim zawodzeniem. Jeszcze chwila, a całe stado rozpierzchło się krążąc nad falami, które pochłonęły wyznawców.

Gene uciekł.

W przydrożnym moteliku nagrał swe zeznania na magnetofon i wysłał taśmę pod adresem Federalnego Biura Śledczego. Oczekując na transkontynentalny autobus poszedł

chwilę odpocząć. Otrzymał bardzo dobry pokój na drugim piętrze. Ponieważ zamówił budzenie, recepcjonistka zadzwoniła o wpół do siódmej. Nikt nie odpowiadał. Pokojowa stwierdziła, że klucz tkwi z drugiej strony, w zamku. Wyłamano drzwi.

Redaktor Hunter leżał w ubraniu i butach na dnie pełnej wanny. Śmierć nastąpiła na skutek utopienia. Żadnych obrażeń czy śladów przemocy nie stwierdzono. Tylko mieszkający vis a vis staruszek stwierdził, że około osiemnastej widział wylatujące przez okno stadko ogromnych mew.

### **Konfrontacja**

Zielony uciekał. Wolno, niezdarnie jak kura podrywał się i łopocąc krótkimi skrzydełkami przeskakiwał z dachu na dach, z płotu na płot, umykając rozwrzeszczanej tłuszczy, zbrojnej w bosaki i widły. Parokrotnie zagrzecotał niecelny wystrzał z dubeltówki.

Kosmita przeklinał pechową awarię, która kazała mu wyjść z szóstego wymiaru i usiąść wirolotem na zaoranym polu, przeklinał też ciężenie ziemskie parokrotnie większe od panującego na planecie Geu. Był już zmęczony. Co jakiś czas przysiadł na słupie trakcyjnym i trzymając się jedną parą chwytmi, drugą czynił przyjazne gesty wobec tłumu. Mówić nie mógł, bo choć rozumiał prymitywny dialekt ziemski, jego własne organy dźwiękowe emitowały w paśmie nie odbieranym przez tubylców. Na przestrojenie brakowało czasu.

Parę razy wymachiwał urwaną, zieloną gałązką, która według wszelkich znanych mu opracowań stanowić miała na niegościnniej planecie znak pokoju. Na próżno. Zawsze po paru minutach obok słupa pojawiały się drabiny, na drabinach zaś jurni osobnicy, a każdy tylko marzył, by mimo obrzydzenia, schwytać zieleńca, który przy swych dziecinnych rozmiarach i lęklwym charakterze wydawał się łatwym łupem.

Co rusz świstały kamienie, przed którymi jednak udawało mu się uchylać.

- Zabić tę latającą żabę! - wrzeszczała cizba.

Zielony zastanawiał się, dlaczego. Od chwili swego wylądowania nie uczynił tubylcom niczego złego, pobrał trochę wody i próbek gruntu, niepostrzeżenie prowadził obserwacje budzących się wieśniaków i ich dobytku, przy czym zawstydził się swą niewiedzą, gdy przyglądając się udojowi wziął krowę za osobę intelektualnie stojącą wyżej od dojarki... Dopiero gdy mgła się podniosła i ten siwy wyszedł za stodołę upuścić odrobinę cieczy z osobistej chłodnicy, kosmita wychylił się zza węgła. I stało się. Chłop wrzasnął

nieładzko i rzucił się do ucieczki. Wieś ożyła w mgnieniu oka. Wybiegli nawet ci młodzi ze stryszka, obsypani sianem, w którym, według mniemań zielonego, dokonywali wyrównywania własnego bilansu energetycznego.

- Zabić tę latającą żabę!



Całe szczęście, że udało mu się przerwać łączność tej osady z resztą świata, przybycie posiłków, a zwłaszcza wojska, przesądziłoby sprawę. Znów poderwał się, jak latająca wiewiórka przesybował ponad stawem i opadł na miedzy. Od lasu dzieliło go najwyżej pięćset metrów. Począł biec z prędkością, na jaką tylko pozwalały mu jego krótkie, cherlawe nóżki, przystosowane do spacerowania rzadko i w zgoła innych warunkach grawitacyjnych.

"W zielonym poszyciu będę miał większe szansę" - myślał.

- Mamy cię! - Tuż przed uciekinierem wyrosły trzy rosłe postacie wiejskich osiłków.

Z największym trudem wystartował pionowo, przeskoczył prześladowców, których łapy omal nie dotknęły jego drygiew, i wylądował w kępie krzaków. Zabolało. Kolce przenikły przez delikatną strukturę zewnętrzną. Chwilę leżał dysząc rykiem przetwornika, później spróbował się podnieść.

- Na Obłok Magellana - co to?

Siła upadku sprawiła, że wklinał się między gałęzie. Szarpnął się raz, drugi.

Tymczasem nagonka była coraz bliżej, przez magmę wrzawy przebijały głośniejsze wykrzykniki, warkot motoru i ujadanie psów.

Ogarnął go strach.

Nie, nie bał się o siebie, jako penetrator galaktycznych rubieży miał ryzyko wpisane w zawód. Bał się o nich. A sytuacja stawała się groźna. Wiedział, że w momencie pojmania lub dotknięcia niezależnie od jego woli zadziała energetyczne żądło.

Jak wiele z istot z gatunku zawodowych zwiadowców, posiadał w organizmie mocny ładunek dezintegracyjny. Ładunek, który go unicestwiał, uniemożliwiając dostanie się w ręce obcych. Ładunek ów wystarczał też na zniszczenie przeciwnika. W dzisiejszym przypadku przestałaby istnieć nie tylko cała osada, ale olbrzymia połać planety. Na obszarach wyżej rozwiniętego kosmosu nikomu nie przyszłoby do głowy łapać penetratora. Zresztą po co?

Żadnego zagrożenia nie stanowił, zajmował się wyłącznie badaniami naukowymi, toteż ze swym ładunkiem mógł czuć się bezpiecznie jak szerszeń lub (trochę z innych powodów) skunks.

- Jest w tych krzakach! Nie ucieknie, skubaniec!

Co za pech. Po tylu parsekach natknąć się akurat na zespół jednostek tak nie uświadomionych, prymitywnych i nieskorych do dialogu.

"Gdybym jeszcze mógł się z nimi jakoś porozumieć. Uświadomić grożące niebezpieczeństwo! Nie mówiąc o innych korzyściach ze spotkania. Iluż pożytecznych rzeczy mógłbym nauczyć tych biedaków z epoki stali surowej..."

Prześladowcy znajdowali się tuż, tuż.

- Tam jest! W tych krzakach! Przynieście siekiery!

Chaotycznie próbował innych częstotliwości dźwięków. Czuł ból w emitorach.

- Konfrontacja nie, konfrontacja nie! - zapiszczał.

- Słyszycie, grozi nam, bydlak! - zabuczał jakiś bas.

Kosmita umilkł. Przez futerał mózgowy przelatywały mu najrozmaitsze pomysły.

Unicestwienie kilku napastników rozsierzdziłoby resztę. Zresztą, chociaż mógł, nie potrafiłby zmusić się do zabijania, nawet w samoobronie. Z kolei jego gesty przyjazne zapewne byłyby poczytywane za słabość. Widział ich przez listowie. Twarze nabiegłe krwią, oczy błyszczące podnieceniem. Coś takiego nie zdarzyło się we wsi od ostatniej wojny. Wtem wrzawa umilkła. Czyjś spokojny głos zapanował nad tłumem. Zielony wysunął na zewnątrz drygiew, włosowaty organ, który miał na końcu czujnik wzrokowy. Mówiącym był mężczyzna w czerni. Musiał mieć dziwną władzę nad ciżbą, bo słuchali go potulnie, a ręce z bronią poopadały. Mężczyzna był nie uzbrojony.

"Może czarownik?"

Miękki głos tłumaczył, że latający stwór jest niewątpliwie stworzeniem bożym, zachowuje się przyjaźnie, a naukowcy ze stolicy niewątpliwie dużo zapłacą, jeśli zachowa się go w stanie nieuszkodzonym.

Szczególnie ostatni argument podziałał pacyfikująco.

Tymczasem Kosmita uwolnił wreszcie zaklinowany tułów i wygramolił się z krzaków.

"Może na razie nic mi nie zrobią?"

Udało mu się wreszcie zmodyfikować pasmo nadawcze. Wygdał piskliwie:

- Jestem przyjacielem, jestem przyjacielem.

Patrzył na tłum zgromadzony ciasnym kręgiem, tłum patrzył na niego. Jakiś facet w mundurze rozdziawił szczerbaty otwór gębowy. Zachichotała zaróżowiona samiczka ludzka.

Ktoś odłożył łom i pobiegł po aparat fotograficzny. Górę brała ciekawość i życzliwość.

Zapewne nienawiść chodziła zwykle w tej krainie w parze z niewiedzą.

Zielony rozluźnił się do tego stopnia, że nie zauważył w porę, jak przepełniony życzliwością człeczyna w gaciach i półkożuszku podbiegł do niego z szerokim uśmiechem i przyjacielsko klepnął w ple . . . . .

**Mam prośbę, Jack...**

Bramofon znajdował się dokładnie na wysokości ust. Aby porozumieć się z portierem nie trzeba było nawet wychodzić z samochodu. "Wszystko dla wygody człowieka" brzmiała dewiza willi na półwyspie. W swoisty sposób pojmował ją również portier, Jackson, który usłyszawszy znajomy głos nie zwykł nawet odwracać głowy od telewizora, aby popatrzeć, kto zatrzymał się przed bramą.

- To ja, Crane, dobry wieczór - rozległo się w głośniku.

- Witamy - odpowiedział Jackson i uruchomił włącznik.

Wielka brama wiodąca do posiadłości Donovanów drgnęła i bezszmerowo poczęła się rozsuwać. Charles Crane przycisnął gaz. Jeszcze kilkaset jardów aleją wśród skałek i będzie nad brzegiem. Nim jednak pierwszy zderzak Forda minął linię wrót, zza zakrętu wyłonił się ciemny "krażownik", jakim zwykli rozbijać się nowobogaccy Murzyni.

"Rozwali mi kufer" - przemknęło Charlesowi. Instynktownie dodał gazu. Nieznajomy wóz nie miał jednak zamiaru ani go taranować, ani wyprzedzać, w momencie gdy nieomal dotykał samochodu Crane'a, zwolnił i tak wjechali razem jak węglarka z parowozem. Za nimi zasunęła się brama. Zapadł już zmierzch i samotny kierowca nie miał możliwości zauważyć, kto znajdował się w pojeździe tak dowcipnie wjeżdżającym na półwysep. Zresztą już na pierwszym zakręcie "akrobata" pozostał z tyłu...

Crane wysiadł. Willa Donovanów, zbudowana w latach trzydziestych, jarzyła się niczym wielki, zakotwiczony transatlantyk wycieczkowy. Światła odbijały się w atramentowej toni jeziora, hermetyczne okna, cóż, listopad, nie przepuszczały jednak dźwięków muzyki. Charles znalazł miejsce na zaparkowanie wśród kilku aut wypełniających niewielki plac i wszedł na schody. Będąc w drzwiach, gdzie oczekiwał już Patt, zwalisty goryl pana domu, przybysz odwrócił głowę, jego "przyczepka" jeszcze nie dojechała.

Wzruszył ramionami i wszedł do wnętrza. Czuł się bardzo zmęczony.

Rozrywka była całym życiem Arthura Donavana stanowiła treść jego egzystencji i dostarczała mu środków, aby uczynić życie odpowiednio atrakcyjnym. Ona też wyniosła skromnego agenta do rangi jednego z największych impresariów i dyktatorów rynku "pop".

W życiu czterdziestopięcioletniego dziś potentata nie było czasu straconego ani fałszywych kroków. Czas musiał się liczyć poczwórnice, odkryta gwiazdka za każdym razem przekształcała się w "białego olbrzyma", a każda nowa znajomość pomnażała listę dotychczasowych osiągnięć. Donavan

był bezwzględny, a zarazem próżny. Bo czyż nie próżność podyktowała mu zakup tej posiadłości z innej epoki? Rozsądek natomiast podsuwał, kogo zapraszać. Grane ścisnął dłonie zaproszonym gościom - wybitny kompozytor, reżyser, scenarzysta, modny malarz, parę gwiazdek w okresie inkubacji... Zestaw starannie przemyślany. Tylko on, młody naukowiec, nadzieja neurochirurgii wyglądał tu jak gość z innego świata. Ale to już była zasługa Betty. Ślicznej jasnowłosej Betty Crane - Donavan o delikatnej twarzy aniołka i długich nogach łani. Miłość potentata do młodej scenografki właściwie nie powinna nikogo dziwić. Arthur przekroczył swoją smugę cienia i znajdował się w wieku, kiedy z ilości przechodzi się na jakość. Poza tym był to już najwyższy czas na stabilizację. Małżeństwo trwało od dwóch lat, rychło miał narodzić się potomek.

- Czego się napijesz, Charley? - spytał gospodarz.

- Obojętne, jestem okropnie zmęczony...

- No to nie przejmuj się nami, tylko odpocznij sobie chwilę na górze - powiedziała zbliżając się Betty. - Cały wieczór przed nami.

Charles ucałował siostrę i ruszył krętymi schodami na górę.

Czuł się podle zmęczenie, początek grypy plus kac moralny. Myjąc ręce przez moment przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Patrzył na szczupłą twarz dwudziestopięciolatka.

- To trzeba było zrobić, stary - mruknął - trzeba było wreszcie powiedzieć Lucy, że to koniec i że nie spotkamy się więcej.

Romans z narzeczoną, a obecnie żoną najstarszego przyjaciela ciągnął się stanowczo zbyt długo. Teraz, gdy Lucy zaszła w ciążę, nadarzyła się najlepsza okazja, żeby uciąć kontakty. Crane zastanawiał się parokrotnie, dlaczego Lucy była zwolenniczką takiego podwójnego życia.

W końcu to ona była inicjatorką i animatorką przydługiego romansu. Zawsze dochodził do wniosku, że przewrotność jest naturalną cechą kobiecej natury.

Wytarł twarz ~ wszedł do gościnnego pokoju.

- Muszę się na chwilę przyłożyć, kwadransik, nie więcej.

Crane należał do osobników raczej słabych fizycznie, posiadał jednak zdolność szybkiej regeneracji. Zazwyczaj wystarczało mu pół godziny snu, czasem kwadrans. Tym razem jednak nie przespał nawet kwadransa. Coś, może okrzyk, wyrwało go z drzemki. Nie pamiętał, czy miał przedtem jakiś sen, w każdym razie całe jego ciało pokrywał pot. Dlaczego nie zszedł natychmiast na dół?

Sam nie wiedział.

Pozostałością kawalerskich czasów, kiedy willa impresaria służyła do znacznie mniej nobliwych spotkań, były małe okienka, z których goście pierwszego piętra mogli obserwować sytuację w livingu. Okienka były małe i do ich wad należało niewielkie pole widzenia. Z

jednego punktu obserwacyjnego można było śledzić wydarzenia tylko w części obszernego pomieszczenia na dole. Po ślubie Betty poleciła zamurować "świńskie obserwatoria", ale rzemieślnicy, jak to bywa i w wysoko rozwiniętych krajach, nie wykonali swej roboty do końca. W garderobie i pokoju gościnnym okienka pozostały. Crane nie uczestniczył w minionych przyjęciach na półwyspie, poznał Donavana już po jego moralnej odnowie. Luk pokazał mu podczas poprzedniej bytności jeden z podchmielonych gości, który zapaławszy sympatią do młodego naukowca koniecznie pragnął opowiedzieć mu o swoich męskich przygodach. Teraz Charles obudzony i zaskoczony nerwowym łomotaniem serca nie podnosząc się z łóżka poruszył tygielkiem.

Wydało mu się, że ogląda niemy film. Na schodach wiodących do livingu stały dwie postacie w czarnych kombinezonach z maskami Myszki Miki i Kaczora Donalda zamiast twarzy... Żart nowo przybyłych gości? Chyba tak. Niepokojące było tylko to, że w rękę pocziwego Donalda błyszczał

automatyczny pistolet wycelowany w głąb livingu. Myszka gestykulowała gwałtownie.

Crane zeskoczył z łóżka i ruszył ku schodom. Napad? Co w takim razie robi Patt?

Naukowiec najpierw biegł. Potem zwolnił. Miękki chodnik na schodach tłumił jego kroki.

Ciało goryla zobaczył wychodząc zza zakrętu. Wierny sługa Donavana leżał w kałuży krwi o krok od wejścia... Świdrujący krzyk kobiecy. - Nie, nie, darujcie! - wybił się ponad inne hałasy parteru. To był głos Betty. Crane stchórzył. Skamieniały zatrzymał się na schodach...

Odgłosy uderzeń i zwierzęcy ryk osaczonego żubra, tym razem należący do właściciela willi, spleciony ze szlochem jakiejś gwiazdki.

Prawie nie oddychając wycofał się na piętro. Bał się. Zawsze był tchórzem, przeklinał, że na jego miejscu nie znajduje się choćby Jack. Ten nie miał nigdy wahań, pierwszy w baseballu, w rugby, w boksie, nie jak oferma, maminsynek Crane, który nawet piłki dobrze schwycić nie potrafił... Żeby jeszcze mieć jakąś broń. Idiotyczne. Cóż mu po broni? Do wojska go nie wzięli, nawet strzelać nie umiał. Jedno, co posiadał, to nadrozwiniony mózg, w tej chwili sparaliżowany z grozy i absolutnie nieprzydatny. Do najbliższych zabudowań było pół mili, woda w jeziorze musiała być przeraźliwie zimna... A telefon? Wszedł do sypialni Betty, pochwyił słuchawkę. Cisza. Ktoś rozumujący logicznie zawczasu unieszkodliwił

centralę. Jeszcze raz spojrział przez okienko. Disneyowskie maski zniknęły. W kadrze widać było nieruchomą postać w splotach czegoś, co wyglądało jak kłębowisko gadów.

Dyskotekowe światło utrudniało obserwację, trzeba było dobrej chwili, aby zorientować się, że są to ludzkie jelita. Potem ich usłyszał. Dwa męskie głosy ludzi wspinających się po schodach.

- Powinien być gdzieś jeszcze jeden...

- Ależ, Frank, ta baba powiedziała, że nie ma nikogo więcej...

Rozejrzał się rozpaczliwie: łóżko, szafka, łazienka.

Zdecydował się pod łóżko.

Weszli. Sportowe adidas i buty wojskowe...

- Tu nikogo nie ma...

- Poczekaj! - Skrzypnęła szafa. Szelest wywalanych ubrań.

Brzęk tłuczonego lustra.

- Ale świny mieszkają!

Potem słyszał, jak buszowali po sąsiednich pomieszczeniach. Zagrała potrącona pozytywka wygrywająca marsz Mendelssohna, zanim dźwięku nie zdławił bucior bandyty...

Krażyli jak chmury burzowe w upalny letni dzień to oddalając, to zbliżając się do kryjówki Crane'a. Później ruszyli ku schodom.

- Czekaj - powiedział naraz bardziej zachrypnięty - coś widziałem...

Charles wstrzymał oddech. Znow wojskowe buty pojawiły się prawie na wysokości jego twarzy.

- Tu! Widziałeś kretyństwo?

Łomot!

Tak potraktowano wiszący nad łóżkiem szkic Picassa. Odeszli. Nie miał odwagi opuścić swego schronienia. Wiedział, że na dole dzieją się rzeczy straszne. Nie przychodził

mu jednak żaden pomysł poza jednym. Przeżyć! Cóż mógł poradzić on, oferma, tchórz, słabeusz. Upłynęła dobra godzina, zanim zdecydował się wydostać spod łóżka. Wyrzwał na schody. W całym domu panowała niezmacona cisza. Popatrzył przez okno. Z parkujących wozów znikła prześliczna Landa Betty.

- Odjechali.

Musiał mieć gorączkę. Wstrząsały nim nerwowe dreszcze. Zszedł na dół. Patt nadal leżał w

zakrzepłej kałuży. Charles pomyślał o kuchni. Meggi i Steve! Oboje nie żyli. Ona z twarzą wbłą w naszykowane do podania torty. On skurczony, mały, w kącie, z tasakiem obok bezwładnych rąk i maleńką plamką pośrodku czoła.

Na progu salonu targnęły Crane'm torsje. Wnętrze przypominało tandetny "salon okropności", z tym że zamiast woskowych lalek dookoła poniewierały się ciała znajomych.

Od razu widać było, że mordercy nie zjawili się z powodów rabunkowych. Przybyli się bawić. Znany kompozytor wisiał na żyrandolu. Malarz należał chyba do nielicznych, próbujących walczyć. Martwa dłoń ścisnęła kawałek ułamanego krzesła. Obnażonego Donavana przybito gwoździami do blatu stołu, a następnie całą kompozycję ustawiono pionowo. Większość ofiar była związana. Nietrudno było domyślić się scenariusza, ofiary najpierw sterroryzowano i związane (może obiecując im, że po obrabowaniu domu nikomu włos z głowy nie spadnie), a dopiero później przystąpiono do szlachtowania. Sądząc po krwawych odciskach stóp, prześladowców była piątka. Mordowali metodycznie, igrając z ofiarami, inscenizując zbrodnie. Obok nienawiści musiała rozpierać ich jakaś demoniczna fantazja nie znana normalnym ludziom.

A ciało Betty...

Crane płakał jeszcze wtedy, gdy zajęchały liczne wozy policyjne. To Jackson, portier, mimo ciężkiego postrzału natychmiast po odzyskaniu przytomności dowlókł się do najbliższego automatu i zawiadomił posterunek.

Jack Porter zapłacił taksówkarzowi i przez moment przyglądał się lśniącej ścianie mieszkalnego wieżowca.

Zastanawiał się, jak on, od tylu lat mieszkający na prowincji, znosiłby życie w owym gigantycznym akwarium.

- Do pana Crane - powiedział portierowi.

Człowiek w uniformie zlustrował go, jakby miał do czynienia z osobliwością przyrodniczą.

- Był pan umówiony? Pan Crane nikogo nie przyjmuje.

- Zostałem zaproszony - Jack machnął ciociowi kopertą.

- Pozwoli pan, że sprawdzę.

Sięgnął po domofon. Wymienił półgłosem parę słów.

- W porządku, może pan iść. Najwyższe piętro.

- Dlaczego pan mi się tak przygląda? - zapytał Porter przypuszczając, że być może ubiór prowincjusza robi takie wrażenie na metropolitalnym wydze.

- Jest pan pierwszą osobą, która odwiedza pana Crane w tym roku... On sam zresztą od tygodni prawie nie wychodzi.

- Chory?

Portier wzruszył ramionami. Widocznie nabrał zaufania do przybysza, bo powiedział:

- Moim zdaniem on jest - tu wykonał znaczący gest przy głowie.

Jack znał skarbcę bankowe jedynie z filmów. Dlatego zaskoczyły go wielkie pancerne drzwi, które otworzyły się automatycznie po naciśnięciu dzwonka. W korytarzu były jeszcze jedne drzwi, równie potężne i równie samoczynne.

Potem już następowały w miarę normalne wnętrza mieszkania naukowca. Szafy niechlujnie nabite nieprawdopodobną ilością książek, sterty gazet i masa sprzętu doświadczalnego, jakieś retorty, mikroskopy.

A wszystko skąpane w ostrym świetle. Porter przeszedł trzy pokoje apartamentu zajmującego chyba całe najwyższe piętro wieżowca, zanim zorientował się, co jest w tym wnętrzu najdziwniejsze. Nigdzie nie było najmniejszego nawet okna.

- Cześć, Jack. Zostań tam, gdzie jesteś. Dobrze?

Głos dochodził z głośnika, dopiero po chwili Porter zauważył szklaną taflę zagrządzającą drogę do dalszych pomieszczeń tonących w półmroku i postać, która zbliżyła się do szyby.

- Charley, kopę lat... Ale masz tu fortecę, byku kraso!

Gdyby spotkali się na ulicy, Jack przypuszczalnie nie poznałby Crane'a. Naukowiec przypominał obecnie ubożego pasikonika. Z zasuszoną główką na cienkiej szyi w wianuszkach siwych włosów. Cholera! Przecież obaj mieli dopiero po pięćdziesiąt lat.

- Czekaj, kiedy to myśmy się widzieli po raz ostatni? Chyba wtedy na stacji benzynowej, piętnaście lat temu...

- Usiądź - powiedział zza szyby gospodarz. - Pewnie chcesz się czegoś napić, whisky znajdziesz w barku. A może jesteś głodny?

Jack z głębokim podziwem rozglądał się po pokoju.

- Ale strzeliłeś sobie laboratorium - cmoknął. - Myślałem, że w Ośrodku masz wszystko.

- Od paru lat nie pracuję w Ośrodku - przerwał nerwowo Crane. Szybko spacerował wzdłuż działowej szyby. Niczym jaguar na wybiegu, nie przestając dziwacznie zacierać rąk...

- Należę sobie podwójną - stwierdził Jack. - Ty nigdy nie przepadałeś za whisky.

Pamiętasz ten nasz wynajęty pokój na stryszku?... Ile to lat! Pamiętam, jak uprzejmie szedłeś na spacer, aby mnie zostawić z Lucy. - Tu nagle spoważniał. - Wiesz, od trzech lat Lucy nie żyje.

- Ach, tak! - skomentował gospodarz.

- Po jej śmierci zwinąłem interes. Nie będę się zabijać. Nie mam dla kogo. Michael nie odzywa się od paru lat... A ty się nie napijesz?

Charles na moment przerwał wędrówkę.

- Na razie nie.

Jack pociągnął tęgi łyk.

- Bardzo ucieszyłem się, że przypomniałeś sobie o mnie. Po tylu latach.

Naukowiec spojrzał mu w oczy.

- Mam prośbę, Jack.

- W porządku. Wał śmiało. Kłopoty finansowe?

Przeczenie.

- Trudności rodzinne?

- Nie mam żadnej rodziny. Jestem sam - padła sucha odpowiedź. - Mam prośbę, z którą mogę się zwrócić tylko do najstarszego przyjaciela.

- Cieszę się...

- Podejdź do biurka. - Porter spełnił polecenie. - Teraz otwórz trzecią szufladę.

Widzisz?

- Widzę.

- Chciałem cię prosić... - urwał i nabrał więcej powietrza.

- Chciałem cię prosić, żebyś mnie zabił.

Z wrażenia Jack nalał sobie drugą szklaneczkę i wychylił ją duszkiem.

- Naturalnie żartujesz... - Porter chwycił się tej koncepcji niczym koła ratunkowego i zaczął się śmiać. - Kupiłem! Ale ci się udało mnie przestraszyć. Zawsze miałeś głowę do kawałów...

- Mówię zupełnie serio. Kiedy uruchomię dźwignię i otworzę tę szybę, masz strzelić mi w głowę. Zanim będzie za późno.

Jack gwałtownie zasunął szufladę.

- Pewnie uważasz, że zwariowałem. Zmienisz zdanie, kiedy zapoznam cię z faktami.

Nie mam innego wyjścia.

Po tragedii na półwyspie Charles Crane długo nie mógł dojść do siebie. Lata minęły, zanim po paśmie chorób i nerwowych załamania wrócił do pewnej równowagi. Nieoczekiwanie stał się bogaty, mógł realizować swe naukowe pomysły. Bardziej niż kiedykolwiek pociągać zaczęła go patologia zbrodni. Proces bandy zwyrodniałych morderców z półwyspu (wpadli podczas porachunków przestępczych sekt, Czyciele Szatana sypnęli Wyznawców Krwi) jego zainteresowania jeszcze pogłębił. Pragnął znaleźć odpowiedź na pytanie, jak rodzi się zbrodnia. Oczywiście, od dawna istniało wiele teorii dotyczących przestępczości. Ostatnimi laty szczególnie lansowano koncepcje socjologiczne, wpływ środowisk kryminogennych, alienacja jednostki w społeczeństwie industrialnym. Inni naukowcy zwracali się ku koncepcjom uwarunkowań psychologicznych, wskazywali na rolę dziedziczności, ba, odgrzebywali lombrosowską teorię o związku cech anatomicznych ze skłonnością do przestępstw.

Szansą Crane'a był dostęp, jaki w końcu uzyskał do mózgow bandziorów skazanych na śmierć. Było to jeszcze w czasach, kiedy wykonywano kary na notorycznych złoczyńcach.

Początkowo spotkało go rozczarowanie - mózg dusiciela jedenastu małych chłopców niczym nie różnił się od przeciętnych zwojów uczciwego śmiertelnika. Dopiero parę lat temu okazało się, że nie była to jałowa robota.

W śródmózdku niejakiego Lopeza (mózg otrzymał drogą wymiany z Akademią w Paragwaju) udało się wyodrębnić niezwykle wirus, który upodobał sobie szczególnie ośrodki kierujące popędami, wolą...

Bojąc się narażenia na śmieszność naukowiec nie ogłosił wirusowej teorii przestępczości. Ale pracował dalej. Znajdował dalsze dowody, odtwarzał przebieg "choroby kryminalnej", w trakcie której rozwijający się z wolna wirus łamał wszelkie bariery utrzymujące normalnego człowieka przed działaniem jak dzika bestia... To tłumaczyło nie tylko degenerację wszelkich grup przestępczości zorganizowanej, wyradzanie dyktatorskich klik, ale pozwalało zrozumieć, dlaczego w nawet najbardziej wzorowych zakładach penitencjarnych zamiast do resocjalizacji dochodzi zazwyczaj do pogłębienia cech kryminalnych wśród skazanych. Po prostu przestępcy zarażają się od siebie... Oczywiście, siła i agresywność zbrodniarza zależą od szczepu wirusa. Egzemplarze uzyskiwane od martwych bandytów były bardzo słabe. Charles stosował krzyżówki i naświetlenia. I wreszcie otrzymał

niezwykły mutant. Czystą drobinę zła. Nazwał ją "supermordercą"...

- Ale po co robiłeś to wszystko, Charley? - przerywa Jack.

- Zamierzałem wyprodukować szczepionkę. Wyobrażasz sobie: świat bez przestępstw, bez instynktów morderczych, a jeśli wirusowa koncepcja zła da się uogólnić, być może bez gwałtu, przemocy i wojny.

- Zbyt piękne, żeby było prawdziwe!

Crane milknie na chwilę, nabiera powietrza niczym pływak przed głębokim nurem.

- A jednak przeżyłem dzień swego triumfu! To było dwa miesiące temu.

Doświadczenia prowadziłem na szczurach i królikach. Zainfekowany królik na mych oczach zadusił rosłego szczura... Niestety, był to również dzień mojej klęski. Kiedy po walce przenosiłem królika do jego klatki, wyrwał się i ukąsił mnie w rękę... Zaraził!

Porter patrzy na przyciśniętą niemal do szyby twarz przyjaciela i mimowolnie spogląda na zasuniętą szufladę.

- Tak, Jack. Masz przed sobą nosiciela "supermordercy", człowieka bez skrupułów, potencjalnie najgroźniejszą bestię świata...

Przy wyrazie "bestia" dziwny grymas przewinął się przez usta naukowca. Porter nie wierzy.

- Jesteś chory, Charley...

- Tak, jestem bardzo chory, jestem nieuleczalnie chory, śmiertelnie chory - stopniuje Crane... -

Owszem, próbowałem się leczyć, stosowałem środki farmakologiczne, przetoczyłem krew... Udało mi się jedynie zahamować rozwój zarazka, utrzymywać go w stanie przygluszonego.

W tej chwili jestem na narkotycznej blokadzie, chwalić Boga kontroluję swoje posunięcia. Co parę godzin, gdy czuję, że działanie lekarstwa mija, wzmacniam dawkę.

Gdyby nie ten specyfik, dawno byś nie żył, Jack... Jesteś w wiwarium kobry królewskiej.

Wypuszczonej kobry, tęskniącej za zbrodnią!

"Wariat" - przemknęło Porterowi, nie wierzył w opowieść naukowca, nie miał jednak wątpliwości, że mężczyzna stojący za szybą jest chory umysłowo.

- Może wezwę lekarza? - powiedział nieśmiało.

- Im mniej osób ma ze mną do czynienia, tym lepiej - skontrował Charles. - Posłuchaj uważnie. Kiedy usunę tę szybę, zastrzelisz mnie. Zastrzelisz bez skrupułów, jakbyś miał przed sobą wściekłego psa. Wiem, że potrafisz to. W tej kasecie znajdziesz w hermetycznym opakowaniu sterylne ubranie. Ubierzesz się dopiero na korytarzu. Na koniec oblejesz całe wnętrze benzyną, podpalisz i opuścisz mieszkanie... Nie, nie bój się, ogień nie przeniknie na zewnątrz. Wszystko tu jest ogniotrwałe. Musisz to zrobić! Musisz, nawet jeśli w trakcie chciałbym zmienić zdanie... Ja też się boję. Dobrze, Jack?

- Wykluczone - padła odpowiedź.

- Musisz! - nerwowy tik począł wstrząsać wychudzoną twarzą Crane'a. - Pamiętaj, cały czas egzystuje we mnie dwóch ludzi... Ten drugi jest niewidoczny, ale czujny. Jak myślisz, kto nie pozwala popełnić mi samobójstwa? To on... teraz coraz silniejszy, w miarę jak ja słabnę.

Wiem, że pewnego dnia powstrzyma mnie przed zastosowaniem blokady. I wtedy wyjdę na zewnątrz. Ruszę zarażać, zabijać... Nastanie czas apokalipsy. Wiesz, że nie zabraknie mi pomysłów... Nawet jeśli mnie zlikwidują, zdążę przekazać zarazę dalej... Wirus znajdzie następnych żywicieli. Dobrze wyhodowałem mego "supermordercę". Bardzo dobrze! Jest odporny na wszystko. Wyobrażasz sobie tę ogromniejszą epidemię zbrodni? - głos naukowca przechodzi w chichot. Crane podryguje nerwowo, przeskakując z nogi na nogę. - No, pora, już pora! - woła nagle zmieniając ton.. Wychudła ręka odnajduje pokrętło. Przezroczysta płyta zaczyna się odsuwać. Chwiejąc się na nogach Crane wchodzi do rześkiego oświetlonego pokoju.

- Szybciej, on się wyzwala!

Jack jest spokojny. Wie, że tylko jego spokój może powstrzymać szaleńca. Zresztą co może zrobić mu ten wąty człowieczek?

- Może weźmiesz lekarstwo? - proponuje.

- Nie wezmę lekarstwa - chrypi Charles i jakby drugim głosem dorzuca. - No strzelaj, strzelaj, durniu! Co cię powstrzymuje?!

Krążą po pokoju. Oczy naukowca nabiegły krwią, w kącikach ust zbiera się ślina...

- I to ma być mocny człowiek! - syczy. - Głupiec, dureń bez wyobraźni, zawsze byłeś durniem, Jack. Tępy dobroduszny olbrzym, którego tolerowałem w moim towarzystwie. A wiesz dlaczego?

- Byliśmy przyjaciółmi, Charley.

Recht w odpowiedzi.

- Byłem słabym człowiekiem, mięczakiem. Potrzebowałem wyłącznie wsparcia twych mięśni. W twoim towarzystwie czułem się pewnie. To dobry patent mieć u boku osiłka, który zawsze stanie po mojej stronie... No i Lucy...

- Co Lucy?



- Nasza Lucy. Słaby, bo słaby, byłem chyba nie najgorszym samcem. Pamiętasz wtedy, kiedy ożłopany piwem zdrzemnąłeś się na dywaniku?

- Charley!

- Cztery lata! Cztery lata miałem ją, kiedy tylko zapragnąłem... A może nigdy nie zauważyłeś, do kogo naprawdę podobny jest Michael? Głupi Jack, tępy Jack! - mówiąc podskakuje jak przedszkolak w trakcie dziecinnej wyliczanki.

Twarz piecze Portera, wstyd nieomal oszałamia. Z trudem, ale panuje nad sobą.

- Kłamiesz, żeby mnie sprowokować, ale nic z tego. Uspokój się i weź lekarstwo.

Crane porywa za nogę stojący w kącie stół, wywijając nim z indiańskim okrzykiem wojennym rusza na Portera. Ale cóż za trudność go obezwładnić? Stół upada na ziemię.

Mocne dłonie Jacka krępują rozdygotane ciało Charlesa. Ten wściekle rzuca głową...

- Puszczaj, puuszczaj!

Zabolało. Zęby szaleńca wbiły się w rękę. Porter zwolnił chwyt. Crane wysliznął się jak wąż i przeskakując przez biurko stanął w kącie pokoju.

- Udało się, udało się - radosne wycie wypełnia całe pomieszczenie. Jack oblicza dystans od drzwi. Musi skrępować przyjaciela, potem sprowadzić lekarzy. Czyżby każdy psychiatra musiał kończyć jako wariat? Tymczasem w ręku naukowca pojawia się pistolet.

Szczęka odbezpieczony zamek.

- Nigdzie nie wyjdiesz, Jack... Poczekamy trochę, a potem wyruszymy razem. We dwójkę jest znacznie przyjemniej. Tylko się nie ruszaj, proszę.

- Spokojnie, Charley, przekonałeś mnie, zrobię wszystko, jak zechcesz - mówiąc cały czas Porter przemierzał pokój.

- Ale ja już nie chcę, już nie chcę! - chrypi Crane.

Skok. Dobrze przewidziany chwyt. Naukowiec jednak nie upuszcza broni. Z niewiarygodną siłą walczy jak dzikie zwierzę...

Strzał. Jęk, w którym zawarte jest i zdziwienie, i ból, i strach. Bezwładne ciało osuwa się na dywan. Jack stoi osłupiały, z bronią w ręku. Usta jego przyjaciela drgają. Wydobywają się z nich strzępki wyrazów. Trudno nawet dokładnie je zrozumieć. Czy jest to „Zabij się”, czy też „dobij mnie”? Wreszcie oczy Crane'a stają się szkliste, nieruchome. Jacka oblewa zimny pot.

- Zabiłem człowieka, wielki Boże, zabiłem człowieka! W samoobronie, ale jednak...

Jeśli żaden lekarz go nie badał, któż uwierzy, że był to szaleniec?

Dalej działa jak automat. Wyciera broń i wkłada ją w dłoń naukowca, potem równie troskliwie zajmuje się klamkami, barkiem.

- Cholera, jak piecze to ugryzienie!

Przez moment zastanawia się, czy portier będzie mógł go rozpoznać. Na szczęście nie wymienił swego nazwiska. Nie. Nie powinni go złapać. Kiedy ktoś wreszcie zajrzy do mieszkania, on będzie już od dawna w innym kraju...

- Biedny Charley, zawsze był trochę fiśnięty, ale teraz... Wirusa sobie wymyślił!

Prędzej już uwierzę, że miał masę powodów do popełnienia samobójstwa, ale zabrakło mu odwagi, by zrobić to samemu... Ten głupi kawał o Lucy... I jeszcze głupsza kartka pozostawiona na biurku:

"Pamiętaj, Jack, gdybyś nie daj Boże skaleczył się u mnie, nie wolno ci wyjść. Fiolkę z trucizną znajdziesz w czwartej szufladzie. Podpal mieszkanie, a potem przegryź kapsułkę.

To będzie błyskawiczne, prawie bezbolesne!" Wariactwo! Starannie zamyka jedne opancerzone drzwi, potem drugie. Wychodząc z windy mija portiera drzemiącego w swoim fotelu. Sympatyczna

okoliczność! Postanawia pojechać na lotnisko autobusem. Chyba nikt nie powinien skojarzyć jego krótkiej wizyty z samobójstwem świetnie ongiś zapowiadającego się neurochirurga?

Potem przez jakiś miesiąc wszystko toczyć się będzie w miarę normalnie. Dopiero po czwartym czerwca dziwny stan owładnie Porterem. Z bliżej nie znanych przyczyn spieniędzy cały swój majątek, uzyskane fundusze rozda na rozmaite fundacje i akcje charytatywne, a sam ruszy do Azji poświęcić resztkę swego życia na pracę wśród głodujących i trędowatych. Cóż, zapewne działanie tajemniczego wirusa może prowadzić do różnych objawów. U osobników z inklinacjami egoistycznymi wywoływać będzie reakcje zbrodnicze, u ludzi z natury dobrych zadziwiająco "gorączkę altruizmu".

### **Masa krytyczna**

Działo się to wtedy, kiedy piastowałem jeszcze stanowisko sekretarza Prezydenta, czyli nie tak dawno, chociaż czasami wydaje mi się, że wieki zdążyły upłynąć od tamtej epoki. 14 maja w Rezydencji Letniej, ukrytej w jednej z wielkich kęp zieleni otaczających Metropolię, został wydany wielki raut, na którym pan Prezydent miał wygłosić przemówienie o doniosłym znaczeniu. Na raucie znalazła się cała elita kraju: bankierzy i politycy, generalicja i przemysłowcy, przybyli też co znaczniejsi bossowie wszelakich mafii oraz kilku wybranych przedstawicieli radia i telewizji. Od śnieżnobiałych gorsów dyplomatów odbijały niechlujne stroje artystów, kontestujących zgodnie z zaleceniami Ministerstwa do spraw Artystycznych. Obserwując wszystko czujnie spoza palmy, za którą przysiadłem z uroczą hostessą, z niemałą satysfakcją zauważyłem, jak kamery dyskretnie odwróciły się w momencie, gdy pan Prezydent serdecznie uściskał poetę Ramireza, uchodzącego oficjalnie za lidera undergroundu.

Hostessa miała na imię Julia i naprawdę nie wiem, co pociągało mnie bardziej: jej topless czy też taca z przystawkami, którą odłożyła przysiadłszy ze mną za wyżej wymienioną palmą.

- Opowiedz mi coś o sobie - zacząłem stereotypowo, wiedząc, że życiorys króliczki będzie jak dwie krople wody podobny do historii tych wszystkich dziewcząt z podmiejskich ranchitos - osiedli nędzy, które obsiadłszy na kształt liszai wzgórze napierały na stolicę od północy i zachodu. Gdyby nie uroda, pracowałyby zapewne w którejś z fabryk tkackich o wyposażeniu od dawna nadającym się do muzeum techniki.

- Chyba już gdzieś się spotkaliśmy - odparła filuternie Julia.

Jedną z cech pana Prezydenta było niezwykle umiłowanie płci pięknej. Krążyły o tym gigantyczne plotki, a przepowiednia głosiła, że szef skończy kiedyś jak prezydent Faure w ramionach kurtyzany (daj, Boże, jak najszybciej). Jako sekretarz znałem prawdę o działalności VI Departamentu, nazywanego eufemistycznie "Działem Organizacji Rekreacji".

To oni, smukli chłopcy w żółtych mundurach, przesiadywali służbowo w lichych knajpkach, podrzędnych kabaretach, wizytowali szkoły (i internaty), przedstawiając następnie wyniki (i fotosy) panu Prezydentowi. I tak rosły zasoby króliczek, które mniej więcej po tygodniu pobytu w Centrali przeznaczone były do ogólnego użytku establishmentu. Oczywiście, oficjalnie dziewczęta byty słuchaczkami wyższej uczelni Przynasobienia Artystycznego.

Z samego środka namiętnego pocałunku wyrwał mnie krótki szept:

- Stary cię wzywa!

Wściekły jak ogar zbity z tropu ruszyłem w stronę gabinetu. Zegary wskazywały 19,30.

Schody miały 124 stopnie (policzył je ktoś podczas upadku Ministra Rolnictwa, który został przed paru miesiącami dosłownie strącony ze swego stanowiska). Idąc po marmurowych płytach wyjrzałem na dziedziniec. Ciekawostka! Ktoś uprzętnął wszystkie kabriolety i Rolls royce'y, natomiast wśród cyprysów ciemniały sylwety wozów pancernych.

Natychmiast przypomniała mi się zamierzchna epoka poprzednika Prezydenta, który pewnego

wieczoru wiedziony instynktem samozachowawczym czy też poczuciem wolnego żartu, wysłał całą rautową śmietankę do pustynnych kopalń saletry. Tym razem jednak chodziło o coś zupełnie innego. Na moich oczach uniosły się stalowe blachy tajnej bramy i wtoczył się samochód, w którym obok szofera siedział tylko jeden siwy jegomość: Profesor.

Wóz zatrzymał się tuż przed drzwiami do windy. Profesor osobiście otworzył bagażnik i wyjął z niego czarną teczkę. Wyprężony jak struna Minister Defensywy przejął ją jak największą świętość.

Pospieszyłem się.

Prezydent oczekiwał w Gabinetcie Błękitnym przyczesując czarne, metaliczne włosy i wygładzając szarfy orderowe. - Chodź, synku - szepnął do mnie ciepło - będziesz świadkiem wielkich rzeczy.

Czasami zdumiewała mnie sympatia tego człowieka, którego można było posądzić o wszystko z wyjątkiem dobrego serca. Zanim został prezydentem, przeszedł wiele szczybli i wiele opresji, które wykształciły w nim niewiarygodny talent polegający na utrzymaniu stanowiska z jednoczesnym posuwaniem się do przodu. Oprócz kobiet, którymi jednak zajmował się przelotnie i krótko, pasjonowała go tylko jedna rzecz: władza. Wiecznie jej niesyty, przypominał owego konia barona Munchausena, który nie mógł ugasić pragnienia ze względu na brak tylnej połowy ciała.

Być może zastępowałem mu syna, którego nie miał (nie liczę pół tuzina bastardów, kształconych pod zmienionymi nazwiskami na zagranicznych uczelniach), być może, sam prostak, potrzebował kogoś o wybitnej inteligencji.

Do sekretariatu prezydenckiego dostałem się wygrywając ogólnokrajowy test i dystansując 1238 kandydatów z dużo lepszym pochodzeniem i znajomościami. Mniejsza z tym. Gabinet Błękitny przylegał do sal balowych pierwszego piętra, gdzie nastrój był jeszcze swobodniejszy, a i rytmy żywsze. Niejeden z notabli zrzuciwszy frak puszczał się w podrygi w rytmie balangi czy kung fu. Wszedł Profesor. Twarz miał poważną, skupioną.

Kontrastowało to z nastrojem Prezydenta, na którego licach pojawiły się ceglaste wypieki.

- Drogi panie Profesorze, czekaliśmy na pana przybycie z prawdziwą niecierpliwością! - zawołał. - Mieliśmy sygnały, że pańskie prace są na ukończeniu, że eksperyment, który tak wiele kosztował nasz skarb, prawdopodobnie się udał.

- To prawda, ekscelencjo. Eksperyment niestety się udał. Słowo niestety zaskoczyło Prezydenta. Zażądał wyjaśnień. Profesor udzielił ich:

- Posiadamy superbroń, której praktycznie nie będzie można zastosować.

- Czyżby?

- Mój stymulator antimaterii w ciągu sekundy od rozpoczęcia reakcji może zniszczyć całą kulę ziemską, tak że nie pozostanie po niej ślad w galaktyce.

Tu nastąpił wywód, który dla mnie laika był całkiem niezrozumiały, mimo mojej niezaprzeczalnej inteligencji. Z grubsza wszystko opierało się na tym, że ładunek pierwotny początkował proces syntezy antimaterii z materią, tak że w efekcie zostawało nic.

- A gdyby się tak uprzednio ewakuować na Księżyc? - zapytał nagle Prezydent.

- Trudno przewidzieć, co stanie się z satelitą, gdy zniknie ciało, wokół którego krąży...

być może stałby się satelitą Wenus albo spadł na Słońce...

- Czy wy, naukowcy, przypadkiem nie przesadzacie? - w głosie szefa państwa brzmiało niedowierzanie.

- Ekscelencjo, proszę sobie uprzejmie wyobrazić, że w mgnieniu oka z naszej starej Ziemi nie pozostanie nic. Trochę energii równej lambda. A poza tym pustka, nul.

- Nul, dobre słowo - uśmiech znów wypłynął na twarz szefa, a w świdrujących oczkach zapaliły się chytre błyski. - W moim dzisiejszym wystąpieniu, które nieopatrznie przedostanie się do prasy,

nadmienie i o tym. Niech nasi przeciwnicy wiedzą, że nie ma żartów, że w razie czego zginiemy wprawdzie wszyscy, ale do nas należeć będzie słowo decydujące. Nie byliśmy dotąd mocarstwem, ale od dziś w naszych sprawiedliwych rękach spoczywać będą losy świata... A propos, sądzę, że nabój jest dobrze strzeżony?

- Widziałem, jak przejął go Minister Defensywy wtrąciłem się, ale prawie natychmiast zabrzmiał śmiech Profesora:

- To była zwyczajna zmyłka, młody człowieku.

Z prawdziwym nabojem nie rozstałbym się tak łatwo.

To mówiąc, sięgnął do dwóch kieszeni obszernego płaszcza i wydobyl z nich dwie butelki wypełnione jasnym płynem, do złudzenia przypominającym wino. Zresztą nalepki nie pozostawiały wątpliwości "Vermuth Martini". Profesor niesłychanie uważnie ustawił obie flaszki u nóg alabastrowej Wenus, górującej nad Gabinetem Błękitnym. Popatrzyliśmy z niedowierzaniem.

- Nul składa się z dwóch komponentów, które dla niepoznaki upodobiłem do wina i umieściłem w zwykłych butelkach. Kwestia ostrożności...

Tu dodam, że ostrożność ta nie pozbawiona była sensu. Mimo że badania były tajne, a Profesor prowadził je sam (jeśli nie liczyć robotów) w podziemnym bunkrze, ukrytym pół

kilometra pod ziemią, pogłoski o nulu jakimś cudem przedostały się na zewnątrz. Nie dalej jak tydzień temu zdemaskowano grupę dywersantów, którzy zamierzali dobrać się do bunkra, stwierdzono też infiltracje obcych agentów w Ministerstwie Defensywy. Nawet dzisiejszy przyjazd Profesora trzeba było upozorować w ten sposób, że trzydziestu sobowtórów w trzydziestu identycznych samochodach wyjechało nieomal równocześnie z terenu doświadczeń, podążając różnymi drogami do stolicy. Profesor jechał wozem numer 29. Nie muszę dodawać, że wokół sal balowych, na których znajdowali się sami ludzie supersprawdzeni, czuwały doborowe jednostki, gotowe w każdej chwili..

Tymczasem Profesor opowiadał dalej:

- Proszę sobie wyobrazić - wystarczyłoby, żeby dwie drobiny z obu butelek złączyły się, a już ruszyłby nieodwracalny proces syntezy antymaterii. Łańcuchowo wszystko obróciłoby się wniwecz.

Prezydenta jakby kto miodem smarował. Przeżywał chyba największy dzień w swoim życiu.

- Widzę, że pieniądze, które wyłożyliśmy na program, nie poszły na marne - mówił. -

W moim przemówieniu nie zostawię cienia wątpliwości. Albo świat przyjmie naszą koncepcję pokoju, albo nul... Chyba wyrażam się jasno?

Wszyscy wiedzieliśmy, że jest zdolny do takiej zagrywki. Oczywiście, znając go lepiej niż inni zdawałem sobie sprawę, że skończyłoby się na szantażu. Mimo wszystko za bardzo kochał życie. Któż jednak mógł przewidzieć, jak zareaguje świat. Czy dla świętego spokoju nie będzie zgadzał się na coraz to nowe żądania. Pewnie zacznie się od wydania uciekinierów z kraju, później na "wyrównaniu" granic...

Do gabinetu zajrzał Mistrz Ceremonii oraz dwie hostessy z kieliszkami i przekąskami.

Uśmiechnąłem się do Julii, odpowiedziała mi uśmiechem.

- Przepraszam, ekscelencjo - powiedział Mistrz Ceremonii ale według protokołu ekscelencja miał właśnie przybyć na salę ogólną...

- Za chwilę, za chwilę. Na razie niech się bawią. Niespodzianka będzie później.

Natomiast napić się, proszę bardzo...

Przez chwilę w gabinecie zapanowała luźniejsza atmosfera. Prezydent uszczypnął hostessę i wznosił toast raz, drugi. Ledwo schrupałem udko bażanta, już Profesor obsesyjnie wrócił do swoich zastrzeżeń.

- Byłbym nieuczciwy, panie Prezydencie, gdybym nie uwypuklił wszystkich niebezpieczeństw związanych z nową bronią...

- Niebezpieczeństwa?! To już zostawiam wam, naukowcom. Chciałbym raczej podkreślić, że nula pozwoli nam zrewidować globalny układ sił, nie mówiąc o rozwiązaniu licznych kwestii wewnętrznych. Któż teraz ośmieli się szumieć i sarkać? Każdy naród, tak wielki jak i mały, musi posiadać swój powód do dumy narodowej... Naszą dumą i naszą opoką będzie nula...

Znów zajął Mistrz Ceremonii z nową porcją trunków. Prezydent wychylił zastrzegając, że na razie to ostatni. Tu znacząco spojrzął na nas.

- A wy co?

- Pan wybaczy, jestem abstynentem - powiedział Profesor.

- A ja już mam dosyć - dodałem.

Popatrzył na mnie z politowaniem i wrócił do improwizowanego przemówienia, ciągnąc dywagacje na temat uniwersalności nula, który rychło stanie się dobrodziejstwem ludzkości, zapewniając trwały pokój (niech no tylko ktoś spróbuje wojny) i ład międzynarodowy pod naszą egidą... I mówił tak, mówił, gdy nagle głos uwiązł mu w gardle.

- Gdzie on jest?! - zachrypiał.

Nasze spojrzenia pobiegły ku zgrabnym nogom alabastrowej Wenus. Postument był pusty. Nic też nie stało na ziemi ani na stolikach obok.

Usta przywódcy wyrzuciły tylko jedno słowo ..zdrada" i nie wiadomo skąd wyrósł

zwalisty cień pułkownika Mortona - szefa ochrony, do którego słowo goryl pasowało jak but do Kopciuszka.

- Jestem - rzucił krótko.

- Trzeba natychmiast okrążyć pałac!

- Był okrążony od początku. Mysz się nie wyśliźnie.

- Zaraz nakazę wprowadzić do akcji oddziały specjalne.

Z nikim się nie cackać, zrewidować wszystkich niezależnie od urodzenia czy stanowiska.

Pułkownik wyszedł, a w parę sekund potem zewsząd buchnęła wrzawa, zagłuszona rychło chrzęstem butów, odgłosami komend i sporadycznymi seriami karabinów maszynowych. Jeszcze chwila, a z wszystkich głośników popłynął głos Prezydenta, który z każdego miejsca swej rezydencji mógł połączyć się z radiowęzłem.

- Drodzy goście. Tu mówi wasz Prezydent, cały i zdrowy. Proszę o zachowanie spokoju i nie ruszanie się z miejsc. Drobnym incydentem zmusza mnie do zastosowania środków specjalnych. Dlatego proszę nie utrudniać akcji oddziałom sprowadzonym dla waszego dobra.

Jednocześnie apeluję, ktokolwiek z państwa widział dwie butelki...

Zamierzałem właśnie pobiec do centrali telewizyjnej (wszystko, co działo się w Błękitnym Gabinetie, podobnie jak w innych apartamentach, było przecież nagrywane na magnetowid), kiedy do gabinetu wbiegła Julia i Mistrz Ceremonii.

Jeszcze chwila, a mieliśmy pełną jasność. Prezydent upuścił mikrofon, który rąbnął o posadzkę. Huk wstrząsnął posadami pałacu, ożywiając czekające w odwodzie bataliony saperów.

- Myślałem, że ktoś postawił je tu przez pomyłkę - bełkotał Mistrz Ceremonii.

- Ja wzięłam jedną, Teresa drugą - tłumaczyła Julia. Prezydent odsapnął:

- W porządku, nie wyciągnę konsekwencji. Przynieście je tylko z powrotem...

- To niemożliwe, ekscelencjo - szepnęła Julia.

- Dlaczego?!

- Bo wypite.

- Wypite!!! - bas szefa zmieszał się z cichym jękiem Profesora.

- Ludzie, mówcie, na rany boskie, kto to pił? - krzyknął naukowiec.

- Jedną flaszkę wzięłam na dół do coctaili - powiedziała Julia - a drugą Teresa częstowała tu na górze. Piło bardzo dużo osób. Prawie wszyscy. Smakowało im.

Z wrażenia przysiadłem na kanapce obhaftowanej srebrnymi kondorami. Prezydent zamilkł. Tylko głos Profesora brzmiał dziwnie zdecydowanie:

- Trzeba natychmiast odseparować parter od piętra! Wystarczy pocałunek albo podanie ręki tego, który pił napój pochodzący z butelki A, kosztującemu coctaille oparte na wermucie z flaszki B, a reakcja ruszy... Pułkownik Morton był już wśród nas. Jak zwykle.

- Co mam zrobić z tymi ludźmi, zlikwidować? - zapytał.

Superekscelencja machinalnie powtórzył całe zdanie i ukrył twarz w dłoniach.

- Toż to wszyscy ministrowie, cały sztab naczelny...

- Moim zdaniem wystarczy internować obie grupy w dwie odległe części kontynentu i tak zabezpieczyć, aby nie spotkały się do końca życia. Po śmierci ciała zalać ołowiem. To wystarczy - powiedział Profesor.

Prezydent tylko kiwnął głową na znak aprobaty. Morton zrobił w tył zwrot i tylko wrzawa uczyniła się większa, a serie z automatów częstsze.

Nagle z parteru dobiegł rozpaczliwy głos kobiecy:

- Mężu mój, Karolu!

- Co wy robicie z moją żoną?! - krzyknął przywódca.

- Niestety, żona waszej ekscelencji również piła - zauważył nieubłagany powracający pułkownik.

Cała furia Prezydenta zwróciła się teraz w kierunku Profesora. Szef państwa tupiąc i machając rękami począł lżyć wynalazcę, całą naukę, z fizyką na czele.

- Jest pan zbrodniarzem - wołał - paranoikiem, psychopata, antyhumanitarnym militarystą! Jak mógł pan stworzyć coś takiego jak nul!!! Zabierzcie go, Morton!

- Chwilowo nie mam odpowiednich mocy przerobowych zauważył szef ochrony. -

Poza tym Profesor, jak również sekretarz pana Prezydenta, nie pił ani kropli. Błogosławiłem w tym momencie wszechobecność Mortona. Opancerzone samochody zapuszczały silniki.

- Wstrzymajcie je, muszę pożegnać żonę! - krzyknął dyktator.

- Wykluczone - Morton zastąpił mu drogę - pan również pił. Z butelki B.

Twarz, znana z pomników i banknotów (o coraz wyższych nominatach) zrobiła się kredowoblada. Prezydent stanął jak wryty i bezradnie rozglądał się po sali, jak gdyby nic nie pozostało z akumulowanej latami pewności siebie i siły przebiccia.

- Wykonajcie rozkazy, pułkowniku - powiedziałem miękko. Dłoń w czarnej rękawicy spadła na ramię przywódcy i popchnęła go ku drzwiom awaryjnym. Nawet nie próbował się opierać i tylko usta szeptały bezgłośnie coś, czego nie potrafiłem odczytać nawet ja, wyspecjalizowany w reagowaniu na byle grymas, zmarszczenie brwi lub krótkie mruknięcie.

- Jeśli chodzi o ścisłość - wtrąciła Julia, która cały czas jak zahipnotyzowana przyglądała się toczącemu dramatowi - to pułkownik też umoczył usta.

- Niestety, Morton, będziecie musieli aresztować i siebie rzekł Profesor.

- Już to zrobiłem! - padła głucha odpowiedź służbisty.

Pałac opustoszał. Opieczętowano go i zablokowano kordonem sanitarnym na wszeczasy. Garstka abstynentów, po zrobieniu próby krwi, wydostała się na zewnątrz, na miękką murawę parkowych błoni poharataną co nieco świeżymi śladami gaśienic.

Szliśmy najpierw wolno, ale potem, kiedy już znikły z oczu zabudowania rezydencji, ścichł chrzęst

transporterów i wycie syren, przyspieszyliśmy krok. Fikaliśmy koziołki ciesząc się jak dzieci, a srebrzysty śmiech Julii mieszał się z rześkim pohukiwaniem Profesora.

- Udało się, mój mały, udało. Dzięki pomocy Julii poszło łatwiej, niż myślałem.

Zadanie, które podjąłem dwadzieścia lat temu, zadanie zlikwidowania całej militarno - politycznej nadbudowy kraju, zostało wykonane. Naród został wreszcie sam. Jutro zacznie się tu wiosna. Co mówię, jeszcze dziś! Przeskoczyliśmy rów z wodą, wkoło śpiewały ptaki, a ja musiałem w końcu zadać pytanie, które dręczyło mnie przez cały wieczór:

- Obywatelu Profesorze, czy może pan zdradzić, co naprawdę było w tych butelkach?

- Jak to co? Cudowny, aromatyczny wermut... Wiesz przecież, że od paru miesięcy niszczyłem wszystkie prawdziwe wyniki badań.

Jeszcze chwila, a pochłoneła nas soczysta zieleń podmiejskiego zagajnika.

## **Matryca**

Piekielny tydzień! Andrzej przygryzł wargi, usiłując całą uwagę skupić na trzynastu trzymany kartach. Z trudem panował nad nerwami. Szósty przegrany rober przez kogoś, kto nie lubi przegrywać, nie umie przegrywać, nie chce! Oczywiście nie chodziło o pieniądze...

- Pas - rzucił gniewnie.

W kartach nie widać było zmiany. Stocky wierzył w prawo serii. Nie powinien zgadzać się na tę grę. Dziś nazbyt wiele rzeczy toczyło się nie po jego myśli. Gwałtowne rozstanie z żoną, kiedy wydał się romans z Claudią, spadek akcji w związku z falą terrorystycznych zamachów, zerwanie ze współnikiem. Tymczasem za oknami transkontynentalnego ekspresu wąski wąż ustąpił miejsca łagodnym pagórkom.

- Drugi pas - stwierdził łysy z lewej.

Partner Andrzeja, szczupły urzędnik o siwiejących włosach, wyraźnie nie przejmował się żadną złą passą, otworzył bowiem z dwóch kierów. Drugi z rywali spasował. Wypadało coś powiedzieć. Mruknął dwa bez atu i skończyło się na trzech... Wyłożył karty na rozkładany stolik, praktyczne wyposażenie przedziałów o podwyższonym standardzie. Myślami był daleko, a w gardle mu zaschło.

- Powinno nam wyjść - uśmiechnął się rozgrywający.

Andrzej sięgnął po wiszącą kurtkę.

- Przyniosę coś do picia - mruknął. - Może się nam odmieni.

Bar mieścił się o trzy wagony dalej, podążając w kierunku odwrotnym do biegu pociągu. Idąc korytarzem dyrektor Stocky zauważył z zadowoleniem, że mimo prędkości 250

kilometrów na godzinę w ogóle nie odczuwa się tempa. W barze było pustawo, jeśli nie liczyć ciemnowłosej dziewczyny. Stocky nie widział jej twarzy, nie przypuszczał zresztą, że nigdy już jej nie zobaczy, na razie jego uwagę zwróciły jaskrawożółte buty nieznanomej.

Jaskrawożółte... Na temat terroryzmu narosło wiele sprzecznych opinii. Zadziwiająca, że wraz z rosnącym dobrobytem plaga ta nie ustępowała, lecz ogromniała. Nawet kiedy zlikwidowano zorganizowane grupy karmiące się niedowarzonymi ideami, wykluczono infiltrację zewnętrzną, pozostało dość aferzystów, frustratów, schizofreników, herostratesów naszej doby, skłonnych przelać swą nienawiść do społeczeństwa w szaleńczy gest, tym okrutniejszy, że wycelowany na ślepo.

Co miał wspólnego 24 letni Metys Pele Mosco z pasażerami superekspresu? Czy kupił kiedykolwiek dywan w firmie Stocky'ego, czy czytał książki Gerda Weissenbacha z przedziału nr 7, czy spotkał chociaż raz ciemnoskórego maszynistę Hugh Powella, miłośnika rybek akwariowych, albo przeżył miłe chwile z właścicielką żółtych butów Marią Swan w jednym z hoteli Hiltona? Śledztwo być może ustali. Nie był w każdym razie faszystą ani goszystą, wyznawcą woo doo ani

filozofii Zoroastra, nie używał nawet narkotyków, a mimo to przeciął siatkę biegnącą wzdłuż torowiska ekspresu i o godzinie 16.28 za pomocą niewielkiego ładunku wybuchowego uszkodził automatyczną zwrotnicę. Jeszcze chwila, a pędzący z prędkością przeszło 250 kilometrów pociąg zamiast pognać ku horyzontowi znajdzie się na bocznym torze, zajęтым przez skład kontenerowy.

Spostrzegawczość wyrabiana dzięki obserwacji złotych rybek i siódmy zmysł kolejarza spowodowały, że Hugh Powell zwolnił, zanim dostrzegł drobną sylwetkę przy torze.

W chwilę później włączył hamowanie. Najlepszy jednak system hamulców nie zatrzyma w miejscu stalowego potwora.

- O Jezu! - krzyknął pomocnik widząc ogromniejący w oczach wagon kontenerowy.

Powell, zaciskając palce na ręcznej dźwigni, przymknął oczy starając wyobrazić sobie ogromną złocistą welonkę na tle rozkołysanych wodorostów.

Alicja Stocky nieufnie zareagowała na informację portiera, że dwóch panów, w tym jeden z ubezpieczeń, jedzie do jej apartamentu. Spięta szlafrok i paroma ruchami próbowała doprowadzić do porządku włosy. Szklanek z mieszaniną rumu i coli odstawiła na bok...

"Ładna jestem, tylko okropnie zaniedbana" - pomyślała przypatrując się swemu odbiciu.

Facetów było dwóch. Agent towarzystwa asekuracyjnego wyglądał jak typowy urzędnik, tego drugiego z łysiną otoczoną kępkami nastroszonych siwych włosów musiała już kiedyś widzieć, chociaż oba nazwiska zabrzmiały obco.

- Pani Stocky, chciałem zakomunikować pani przykrą wiadomość - rzekł agent. -

Słyszała pani zapewne o katastrofie ekspresu...

- Tak, okropność, widziałam w telewizji, strasznie to wyglądało, wagony jak połamane papierosy... Złapano już sprawcę?

- Oczywiście - powiedział urzędnik. - Teraz chodzi nam jednak o coś innego, pani mąż Andrzej Stocky...

Wiadomość przyjęła spokojnie. Podobnie jak stwierdzenie, że przedział został tak zniszczony, że identyfikacji dokonano na podstawie dokumentów i rzeczy osobistych.

Zacisnęła usta. Jakaś część umysłu szeptała jej, że musiała to być kara za to, co zrobił, może zbyt okrutna, ale konieczna...

- Trzy pierwsze wagony uległy całkowitemu zniszczeniu, chociaż trochę rzeczy udało się uratować. W teczce dyrektora Stocky'ego policja znalazła tę szkatułkę, stanowiącą zapewne pani własność...

Nie знаła tej bransoletki. Kupił ją zapewne dla swej dziwki. Popatrzyła na złociste sploty pokryte niby łuską i coś w niej pękło. Wybuchnęła płaczem. Mężczyźni odczekali chwilę, łysy-siwy zapalił papierosa. Przez moment zastanawiał się, czy nie lepiej było zacząć stereotypowo, mamy dwie wiadomości dobrą i złą, od której zacząć?

Alicja otarła oczy.

- Chciałem pani wyrazić swoje najgłębsze współczucie, a jednocześnie poinformować, że za chwilę będzie pani miała gościa.

- Jeszcze ktoś? - usiadła ciężko, widać było, że informacja o śmierci męża, owszem, niekochanego, od paru tygodni w separacji, ale jednak człowieka, z którym przeżyło się ponad dziesięć lat, dopiero teraz dociera do niej w pełni. Odezwał się gong przy drzwiach.

Urzędnik otworzył, wyszczerzając nierówne zęby w czymś, co z grubsza można było uznać za uśmiech. Do pokoju wszedł Andrzej Stocky.

Lęk przed śmiercią. Któż jest od niego wolny? Podskórna rzeka tocząca swe wody pod skorupą zwyczajnych dni, w których nie ma czasu na myślenie o rzeczach ostatecznych.

Rzeka wypływająca w chwilach choroby, zwątpień lub wówczas, gdy odchodzą najbliżsi: I



jeszcze podczas tych bezsennych nocy, kiedy w absolutnej ciszy i mroku wsłuchujemy się w nierówny łomot serca lub nieudolnie pragniemy zbadać własny puls.

Równocześnie z owym lękiem od dawien dawna egzystuje marzenie o wiecznym życiu, i to możliwie ziemskim, zawsze młodym. A niechby zresztą starczym. Ale żeby żyć, żyć!

Lata osiemdziesiąte nie przyniosły odkrycia eliksiru młodości. Nie pokonano raka, ba, pojawiły się nowe choroby wynikające z nerwowego trybu życia i rosnących zanieczyszczeń.

Owszem, rozszerzyły się praktyki zamrażania beznadziejnie chorych, ale nikt z poddających się zabiegowi nie miał najmniejszej gwarancji, że kiedykolwiek zostanie obudzony z hibernacji. Co prawda w kilku krajach rozpoczęto pewne doświadczenia genetyczne, mogące wydłużyć życie dzieciom aktualnie poczętym, ale na sprawdzenie wyników trzeba będzie poczekać kilkadziesiąt lat.

Atoli kiedy jest się w średnim wieku, nie ma czasu na czekanie. Na tej niecierpliwości żerują hochsztaplerzy, znakomicie prosperują kliniki neogeriatry, ale Bogiem a prawdą, wszystkie wyniki były mizerne. Bardzo mizerne, aż do dnia 11 czerwca 1994 roku.

Denis Tassaud był lekarzem psychiatrą. Jego prace na temat funkcjonowania mózgu już w końcu lat osiemdziesiątych zyskały niemały rozgłos. Kandydował też do Nagrody Nobla, aliści w otrzymaniu tego zaszczytu przeszkodziła opinia środowiska medycznego.

Opinia nieprzychylna, ba, wroga. Tassaud uważał się za człowieka nowoczesnego, przekonanego, iż cel uświęca środki. Jego artykuły popularne podważały odwieczny gmach medycyny. Był za prawem nieuleczalnie chorych do dobrowolnej śmierci, eutanazją kalek i dzieci-potworków. Nie miał skrupułów, jeśli idzie o ingerowanie w działalność mózgu.

Doświadczenia, jakie przeprowadzał w swoim zakładzie na pacjentach chorych umysłowo, po ujawnieniu wywołały zgorszenie i potępienie. Opuszcza więc kraj, chroniąc się do jednego z tych interesujących państw, w których kodeks moralny był znacznie bardziej dialektyczny. Tam poznaje Karola Bauera, zapoznanego elektronika i również emigranta, z którym dość szybko znajduje wspólny język. Miejscowe władze, żyjące w kompleksie obłożonej twierdzy, ochoczo asygnują znaczne kwoty na badania mając nadzieję, że rozwój elektroniki mózgu z czasem zaowocuje szansą produkowania superlojalnych obywateli.

Denis i Karol należą jednak do ludzi pomysłowych wykorzystując stworzone im możliwości dla szeroko zakrojonych badań nie mają zamiaru tworzyć idealnego społeczeństwa. Miast utopijnych wizji pociąga ich sława i pieniądze. W odpowiednim momencie udaje im się czmychnąć za granicę razem z wynikami. Wiele nie ryzykują, na ponaglenia i żądania powrotu odpowiadają propozycją układu, ich byli mocodawcy mają zrezygnować z roszczeń i nie próbować odwetu, w zamian obaj naukowcy zobowiązują się do dyskrecji na temat tamtejszego systemu leczenia.

Przygarnia ich inny nader liberalny kraj, gdzie 11 czerwca otwierają swą lecznicę.

Zakład produkcji nieśmiertelnych.

Pierwszy zawał, dość zresztą lekki, dopadł Stocky'ego podczas podróży po Europie.

Wytrącił go z dotychczasowego kieratu zajęć i obowiązków, zadzwieczał niczym dzwonek alarmowy, zmusił do zastanowienia. Oto zużył tyle czasu na zrobienie pieniędzy, że teraz może mu zabraknąć lat, aby je wydać. I cóż za pociecha, że on, syn biednego emigranta, będzie miał pogrzeb godny potomka przybyszów z "Mayflower"?

Jego późniejsze postępowanie było wynikiem rozmowy z jednym ze współrekonwalescentów. Zamożny businessman zwierzył się bowiem, że po trzecim zawale nie ma zamiaru czekać na czwarty.

- Słyszał pan o doktorze Tassaud?

- Tym hochsztaplerze?

- Jedni mówią hochsztapler, inni geniusz. A jeszcze inni jadą do niego poddać się zabiegowi.

Oprócz znacznych kosztów nie ma podobno żadnego ryzyka. Poza tym, że trudno się tam dostać, a doktor nie lubi rozgłosu...

Andrzej nic nie wiedział o klinice nieśmiertelnych, ale jego rozmówca wydawał się być dosyć dobrze zorientowany.

- Proszę pana - mówił świszczącym głosem astmatyka nikt nie zna szczegółów patentu, ale sama zasada pomysłu jest nieskomplikowana. Pański mózg to jak gdyby jedna wielka matryca albo lepiej taśma magnetofonowa, w której zapisane są doświadczenia i upodobania, wiedza i samoświadomość no, po prostu cały pan. Matryca ma jednak tę zaletę, że można ją powielić...

- Ale mózgu nie!

- A kto panu to powiedział? Doktor Tassaoud znalazł sposób na elektroniczne przepisanie pańskiego umysłu na inny, świeży. I w momencie, w którym coś stałoby się panu, do akcji wkracza pańska druga wersja...

- Milion - powiedział spokojnie Karol Bauer.

- Dużo - westchnął Stocky.

Wynalazca uśmiechnął się.

- Milion za coś, co jest bezcenne? Wydaje mi się, że to cena umiarkowana. Zresztą wobec klientów takich jak pan, możemy zgodzić się na raty... To chyba jeszcze bardziej uwiarygodnia eksperyment. Jesteśmy pewni, że pan spłaci dług... A poza tym, to naprawdę bardzo kosztowny zabieg, choć pomimo ceny zaczynamy mieć trudności z realizowaniem zamierzeń. Tylu chętnych!

- Chciałbym poznać szczegóły - Andrzej nerwowo rozejrzał się po wnętrzu.

Emanowało spokojem. Ogromne pomieszczenie, dziwne połączenie gabinetu i Arkadii w istocie przypominało przedsiónek raj.

- Usługi świadczymy od dwóch lat. Jak dotąd, nie było reklamacji. Badania trwają około dwóch tygodni. Samo przepisywanie dobę...

- Nieomal tyle, ile kiedyś ładowanie akumulatora.

- Znakomite porównanie. Oczywiście trochę czasu trwa jeszcze dostosowanie powierzchowności...

- Nie rozumiem.

- Większość z naszych klientów życzy sobie, aby duplikat był również fizycznie ich własną kalką. Stąd poza starannym doбором wchodzi w grę operacje plastyczne... Ba, zdarza się, że musimy transplantować brodawki, robić na życzenie sztuczne blizny czy nawet przeszczepiać gruczoły potowe... A mieliśmy i klienta, który zażądał, aby "przepisać" go na kobietę, i to w dodatku Mulatkę.

Stocky przerwał i zapytał, skąd klinika bierze materiał na te duplikaty. Przecież ich nie produkuje od zera?

- Myślmy o hodowli dzieci z próbek, ale to sprawa dalszej przyszłości. Obecnie robimy, co możemy. Na rękę poszło nam miejscowe ustawodawstwo dotyczące chorych umysłowo...

- Co takiego? - Andrzej aż podskoczył.

- Działamy niezwykle humanitarnie, kasujemy dotychczasowy zdefektowany zapis mózgu, leczymy usterki, jeśli były, a następnie na "czystym" mózgu odbijamy świadomość klienta.

- Czyli miałbym oddać swoją osobowość jakiemuś wariatowi?

- To już nie będzie wariat. To będzie pan!!! Zdrowy na ciele i umyśle, oczywiście młody, z gwarancją 30 lat bez awarii (nie bierzemy oczywiście odpowiedzialności za nieszczęśliwe wypadki)... Technicznie sprawa wygląda następująco. Po przepisaniu pańskiej świadomości na umysł dublera, zostaje on zabezpieczony w stanie półuśpienia, to znaczy zachowuje aktywność biologiczną, ćwiczy dla zachowania kondycji, ale niczego nie pamięta, nie przeżywa, tylko czeka,

proszę wybaczyć szczerłość, na pańską śmierć... Dopiero wówczas zostaje wprowadzony na pańskie miejsce, budzi się i uważa, że jest panem.

I oczywiście, jeśli wyrazi życzenie, natychmiast może zostać "przekopiuwany" na kolejnego zmiennika. Tym sposobem żyje pan wiecznie. Aha i jeszcze jedno, duplikat posiada pańską świadomość z momentu zapisu, dlatego też co miesiąc dokonujemy uzupełnienia.

Jednym słowem - pańska nowa wersja pamiętać będzie wszystko z wyjątkiem śmierci... Czy to nie cudowne?

Najpierw odczuł ciepło światła padającego na twarz, potem bezwładność własnego ciała, pieczenie skóry, wreszcie twarde imadło wokół ręki. Gdzieś spoza granic bytu docierał monotony głos:

- Panie Williams! Panie Williams!

Andrzej otworzył oczy i natychmiast zamknął je porażony jasnością. Ktoś musiał to zauważyć; usłyszał szelest żaluzji. Teraz uchylał powieki powoli, ostrożnie... Plamy, nieregularne plamy, wszystko nieostre, zamazane.

- Dobrze, panie Williams. Nareszcie pan się obudził. Plamy uformowały się w końcu w postaci ludzkie, lekarza i pielęgniarki. Twarze ich były obce, ale tchnęły troskliwością.

Rozejrzał się po pokoju. Nie znał tego pomieszczenia.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu - odpowiedział mężczyzna. - Wszystko w porządku, szok mija.

- Długo tu jestem?

- Trzeci tydzień.

- Ale dlaczego, coś z sercem? - nie miał pojęcia, dlaczego właśnie serce przyszło mu do głowy.

- Miał pan wypadek. Ale skończyło się na potłuczeniu i zwichnięciu nadgarstka...

- To była kraksa samochodowa?

- Nie - odezwała się pielęgniarka - katastrofa kolejowa, nie pamięta pan?

Andrzej wyteżył myśli. I naraz uświadomił sobie, że nie pamięta niczego, że czuje się, jakby dopiero się urodził, jakby wyszedł z mgły. Zacisnął oczy. W głowie mu huczało...

- Nic nie pamiętam - powiedział.

- Amnezja - pokiwał głową lekarz - ale to minie, panie Williams. Może już teraz przypomni pan sobie coś z wcześniejszych czasów.

- Nic - rósł mętlik w mózgu - tylko...

Popatrzyli na niego z powątpiewaniem.

- Tylko chyba na pewno nie nazywam się Williams.

Przyjechała Sara Williams. Drobną, nerwową kobietką na zadziwiająco chudych nogach.

- To nie on! - krzyknęła, spojrzawszy tylko na posiniaczoną twarz pacjenta.

- Jest pani pewna? - zatroskał się lekarz.

- Oczywiście. Ted był tęższy, łysy, w ogóle niepodobny...

Skąd przyszło wam do głowy, że ten facet to Teddy? Wyprowadzili ją z separatki.

Zaczęła płakać.

- Mieliśmy duże kłopoty z identyfikacją. Z pierwszych wagonów pozostała sieczka... -

lekarz zmieszał się, ale Sara chyba akurat go nie słuchała. - Ocalał w zasadzie tył ekspresu, bar...

Znaleźliśmy go właśnie w barze. Miał kurtkę, a wewnątrz dokumenty na nazwisko RONALDA WILLIAMS... Musiała zajść jakaś pomyłka. Może założył cudze okrycie? Zaraz dam pani coś uspokajającego.

Kiedy uporał się już z rozhisteryzowaną niewiastą i wrócił do swego gabinetu, długo wpatrywał

się w listę ofiar katastrofy podaną przez prasę. 79 ciał, część zidentyfikowana wyłącznie na podstawie przedmiotów osobistych. 68 nazwisk dość dowolnie dopasowanych do zwłok. 11 ofiar nawet bez nazwiska. Kim jednak był cierpiący na amnezję pacjent z pokoju 322?

Tassaud zajął się zemdloną panią Stocky, policjant wyprowadził jej męża do sąsiedniego pokoju. Kobieta szybko doszła do siebie. Poprosiła o odrobinę alkoholu.

Wynalazca spełnił jej prośbę.

- Miałam halucynacje? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Czy słyszała pani coś o "matrycowaniu"?

Chwila zastanowienia.

- Tak, Andrzej wspominał kiedyś, że gdy umrze, mam się nie martwić, bo... To jest, to jest ten drugi?!! - zerwała się na równe nogi.

- Tak, to dubler - powiedział spokojnie Denis Tassaud. - Chyba dość udany. Mam

jednak ogromną prośbę. On... on nie powinien wiedzieć, że jest kopią pani męża. To...

mogłoby mieć psychologiczne nieciekawe następstwa. Dlatego właśnie przywiozłem go ja, a nie Bauer, z którym pan Stocky stykał się w klinice.

Alicja uspokajała się.

- Właściwie nie bardzo mnie to powinno obchodzić. Jestem z Andrzejem w separacji.

- Od kiedy?

- Od ponad tygodnia.

- A miesiąc temu? - zapytał z naciskiem Tassaud.

Westchnęła.

- Miesiąc temu wyglądało zupełnie inaczej. Wróciliśmy z wakacji na Hawajach... a on chyba jeszcze nie poznał tej dziwki.

- To w porządku! - ucieszył się wynalazca. - Ostatniej aktualizacji dokonaliśmy miesiąc temu, dokładnie 20 września. Wszystko, co zdarzyło się później, nie istnieje w jego świadomości.

Otworzyły się drzwi. Stocky podbiegł do żony i przygarnął ją do szerokiej piersi.

- Stęskniłem się za tobą, kochanie, tak jakbym nie widział cię całą wieczność.

Następnego dnia Alicja wyszła dość wcześnie. Całkiem nowy, czy raczej zrewaloryzowany mąż dodał jej chęci do życia. W planie była biosauna, fryzjer. "Zmiennik"

był bez zarzutu. Ciało miał młodsze o dziesięć lat, witalność bynajmniej nie osłabioną przez okres uśpienia.

"Dożyliśmy wspaniałych czasów - myślała Alicja - właściwie i ja powinnam pomyśleć o drugim wcieleniu".

Dubler pozostał sam w mieszkaniu. Wszystko tu było znajome. A jednak, jednak czasami doznawał wrażenia, jakby całość spowijała mgiełka gazy, jakby meble, naczynia, ludzie pochodziły z trójwymiarowego filmu. Składał to na karb szoku. Lekarz, który go obudził, poinformował go o katastrofie kolejowej, o częściowej amnezji.

Zaskoczeniem był wiszący na ścianie kalendarz. Dubler przypuszczał, że kończy się sierpień, a tu już nadchodziły ostatnie dni września.

Zadzwoił do biura. Zaskoczeniem było, że nie odebrała Susan. Obcy głos ucieszył się wiadomością, że dyrektor wraca do zdrowia. Na pytanie o Susan nowa sekretarka poinformowała, że Zuzia nie pracuje już od dwóch tygodni. Poprosił o dokumentację ostatniego miesiąca i o ważniejsze telefony.

- Ciągle wydzwania jakaś Claudia. Po parę razy dziennie - poinformowała sekretarka.

Zdziwił się i zajrzał do terminarza, potem do kalendarzyka z telefonami. Nigdzie ani śladu żadnej Claudii.

Zamyślony odłożył telefon, nalał sobie drinka i sięgnął po poranne gazety. Zaskoczyła go notatka o wizycie nowego premiera Francji (nie wiedział, że upadł poprzedni gabinet) oraz o pogrzebie przywódcy Chin. Nawykowo odwrócił gazetę na stronę aktualności. Obok informacji o poprawiającym się stanie zdrowia 130 rannych w katastrofie kolejowej, jego uwagę przykuło jedno zdjęcie. - Kim jest pacjent szpitala w Redford? - zapytywał nagłówek wybity tłustą czcionką. - Twarz mimo bandaża i siniaków wyglądała znajomo. Dubler zastanawiał się przez chwilę, nerwowo przechadzając się po pokoju. Naraz stanął przed lustrem. Gazeta wysunęła mu się z rąk.

Oczywiście pamiętał o zabiegu, wiedział, że ma kopię. Dotąd nie miał jednak pojęcia, że tą kopią może być on sam.

Andrzej obudził się w środku nocy. Cisza zalegała szpital, słychać było tylko tykanie elektrycznego zegara i odległy szum miasta przecinany charakterystycznym jękiem pędzącej karetki. Miał zły sen, choć teraz nie potrafiłby powtórzyć, co mu się właściwie śniło, leżał

lepkim od potu, czując przyśpieszony rytm serca. Strach nie miał określonej twarzy, ale czaił się w kącie, był blisko. I nie było to tylko zdenerwowanie własną amnezją. Nie, czuł, że grozi mu coś konkretniejszego, bliższego.

Kroki na korytarzu. Nauczył się już je rozpoznawali, stuk pantofelków pielęgniarki, energiczny chód lekarza, człapanie chorego z pokoju obok. Tym razem stąpanie było lekkie, kocie...

Pierzchna reszka snu. Kroki zatrzymały się przy drzwiach izolatki. Delikatnie poruszyła się klamka. Wstrzymał oddech. O tej porze nie mógł to być ani lekarz, ani nikt z personelu.

Drzwi otworzyły się, w zimnej poświacie z korytarza dostrzegł masywną sylwetkę.

Zerwać się czy nie? Wybrał drugą ewentualność, otulony pościelą z zagipsowaną ręką nie miał szans ucieczki, wyrównał więc oddech, zmrużył oczy... Postać zbliżyła się. Oddech miała lekko przyśpieszony. Stocky nie widział twarzy, ale czuł, że nocny gość przypatruje mu się uważnie... Nasłuchuje. Później usłyszał ciche westchnienie, po czym gość pochylił się i znikł za oparciem łóżka.

"Czyżby chciał mi podać basen?"

Znowu kroki, tym razem oddalające się, zamknięcie drzwi, a potem z oddali charakterystyczny dźwięk ruszającej mady.

Stocky wyskoczył z pościeli, narzucił szlafrok i zapalił światło. A potem zajrzał pod łóżko. I zobaczył. Niewielki pakuneczek... W tym momencie przypomniało mu się, że z korytarza jest okno na podjazd rzęsiście oświetlony przez całą noc. Jeśli nieznajomy opuszczał szpital, powinien go zobaczyć. Wybiegł. Przez szybę widoczność była znakomita.

Nie upłynęło wiele sekund, a mężczyzna w szarej jesionce przekroczył frontowe drzwi. Nie poszedł jednak w stronę parkingu. Przeszedł na drugą stronę podjazdu i wykonał w tył zwrot.

Andrzej skurczył się za filarem. Mężczyzna zapalił papierosa i stał tak, jakby na coś czekał.

Huk targnął uśpionym szpitalem. Podmuchał cisnął Andrzeja o ziemię, posypały się odłamki szkła. Zewsząd rozległy się krzyki. Stocky nie zastanawiając się wbiegł na schody awaryjne. Coś podpowiadało mu, że musi uciekać, zanim zamachowiec przekona się, że sfuszerował.

Tylnym wejściem wydostał się na ulicę. Między uśpionymi ogródkami i domkami biegł nie odczuwając chłodu. Nie wiedział, dokąd biegnie. Nie miał pojęcia, dlaczego postanowiono go zabić. Przystanął dopiero opodal nocnego bistro. Chciał już wejść, kiedy zorientował się, że jest w szlafroku i w kapciach... Stał i wpatrywał się przez wielką szybę w na wpół opustoszałe wnętrze, ruchliwą barmankę i dziewczynę na wysokim stołku przy kontuarze. Przejechał wzrokiem po szczupłej sylwetce i naraz jakby ostry płomień targnął

jego jaźnią. Żółte buty! Krzykliwe żółte buty siedzącej tyłem dziewczyny.

Wszystko zafalowało. Przypomniawszy sobie. I pędzący za oknem pejzaż, i pisk hamulców, a potem zadziwiający moment, gdy pofrunął jak ptak ponad stolikami... On, Andrzej Stocky. Dyrektor firmy handlującej dywanami, lat 44, żonaty...

Zadzwoił telefon. Opalone ramię wysunęło się z kłębów piany i odnalazło słuchawkę w praktycznie umieszczonej wnęce.

- Claudia? - zabrzmiał znajomy głos z drugiej strony. - Andrzej! Tak się denerwowałam, od czterech dni nie dajesz znaku życia. W biurze te jędze nie udzielają żadnej wiadomości... Wiedziałam, że miałeś jechać tym ekspresem, szukałam cię na liście ofiar i rannych...

- Nie było mnie na liście ofiar? - w głosie Stocky'ego na moment zabrzmiało zdziwienie. - Zresztą nieistotne, wszystko ci opowiem... jak przyjadę... Udało mi się pożyczyć trochę pieniędzy i płaszcz.

- Przyjedziesz prędko?

- Jak najszybciej. Aha, czy nikt o mnie nie pytał?

- Nie...

- Pamiętaj, w razie czego nie udzielaj żadnych informacji. Nikomu. nie otwieraj...

- Ale co się stało?

- Sam dokładnie nie wiem. Ale o nic się nie martw. Na pewno wszystko będzie dobrze. Czekaj na mnie!

Wyskoczyła z wanny. Narzuciła peniuar i rozczesując włosy przed lustrem pomyślała o Andrzeju.

- Nic mu się nie stało, zaraz tu będzie. - Serce jej załała fala ciepła.

Gong do furtki rozległ się mniej więcej po kwadransie. Wyjrzała. Andrzej stał przy siatce w szarej jesionce i palił papierosa.

Otworzyła, a potem pobiegła po schodach, pragnąc jak najszybciej paść w kochane ramiona.

Ucałował ją dość chłodno. Był mocno zdenerwowany, jego twarz obwiązana bandażem wydawała się znacznie szczuplejsza niż przed tygodniem. Cały czas rozglądał się badawczo dookoła.

- Jest ktoś u ciebie? - zapytał.

Roześmiała się.

- A co, zazdrośny? Nie, jak na razie nie ma nikogo...

Nie zdejmując płaszcza opadł na fotel.

- A telefony?

- Oprócz ciebie nie dzwonił nikt. Zresztą kto telefonowałby tak rano?

Gwałtownie podszedł do okna. Widocznie jednak nie zainteresował go ogród, bo szybko odwrócił się i przeszedł na drugą stronę pokoju, skąd rozciągał się widok na ulicę.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nic ważnego.

- Obiecywałeś, że opowiesz mi, co się dzieje?

- Cierpliwości. Podaj mi drinka...

Trochę zdziwiła się. Stała w drugim kącie pokoju, a barek ukryty w regale znajdował się tuż przy Andrzeju. Musiałaby odsunąć go, aby sięgnąć... Sama nie wiedząc dlaczego zapytała:

- Masz moją bransoletkę?

- Nie przy sobie!

Kobiety posiadają siódmy zmysł. Claudia zapewne nie była gorsza od innych przedstawicielek swej płci.

- Jest platynowa, jak prosiłam? - rzuciła swobodnie.

- Naturalnie, kochanie. Wszystko dla pań!

Zadrzała. Bransoletka zgodnie z jego zapewnieniami była złota. Mimo podobieństwa, identycznego głosu, ba, sposobu wyrażania, przybysz nie był Andrzejem. Nie rozumiała, co się dzieje, ale wiedziała, że nad jej ukochanym, który lada moment tu przybędzie, zawisło potworne niebezpieczeństwo.

- Zrobię kawy, musiałeś porządnie zmarznąć - powiedziała siląc się na swobodę.

- Prosiłem o drinka. - Wyszedł na środek pokoju, mogła więc go minąć i otworzyć barek. Żeby tylko nie zauważył drżenia jej rąk. - A kawę możesz zaparzyć swoją drogą.

- A potem będziemy się kochać? - szepnęła.

- Naturalnie - uśmiechnął się szeroko.

Starając się nie iść ani za wolno, ani za szybko zeszła na parter. Z livingu widoczny był wprawdzie cały hall, ale z kuchni drugie niewidoczne wyjście prowadziło na ogród.

Między krzakami można było niepostrzeżenie dotrzeć do drugiej furtki. Dalej była w miarę uczęszczana ulica... Narzuciła kurtkę i delikatnie uchyliła drzwi. Uderzył ją chłodny powiew wiatru. Nogi miała miękkie jak podczas koszmarne snu. Na górze gwałtownie otworzyło się okno. Chciała pobiec. Jak lampart zeskoczył z balkonu tuż przed nią. Oczy miał

przeraźliwie zimne.

- Dokąd, najdroższa?

Krzyknęła. Zatkaną ręką jej usta i nie zważając na rozpaczliwe wierzgania zawlókł do domu. Był bardzo silny... W kuchni skrępował ją i zakneblował, a następnie w hallu cisnął na kanapę.

- A teraz napiję się kawy... - wycedził.

Wodziła za nim wzrokiem zwierzęcia przeznaczonego do uboju. Zaśmiał się.

- Przrzekam, to już nie potrwa długo. Twój Andrzej chyba zaraz się zjawi. Aha, zaspokoję jeszcze twoją ciekawość, coś ci się należy... - pociągnął spory łyk kawy. - Miałem zostać uruchomiony dopiero po jego śmierci. Ale stało się. Zaszła pomyłka. Jestem Stocky'm bis. I słowo honoru, nie mam ochoty czekać na nową okazję. Zwłaszcza że zabieg ponownego uśpienia może się nie powieść. Życie jest zbyt piękne, by dobrowolnie z niego rezygnować, zwłaszcza gdy są pieniądze i pozycja społeczna... - W paru słowach opowiedział Claudii o zabiegu, o fotografii w gazecie, o wizycie w szpitalu i wreszcie o tej kłopotliwej chwili, gdy zorientował się, że zamach chybił...

- Zastanawiałem się, dokąd skierowałby swe kroki. Domyślałem się, że ma kłopoty z pamięcią i że w ostatnim czasie przed katastrofą z żoną coś się nie układało. Od sekretarki znałem twoje imię. Przeglądałem jego kalendarz i znalazłem tam zakreślony termin pokazu mody sprzed trzech tygodni. Później w papierach natrafiłem na folder z tego pokazu. Była tam tylko jedna Claudia. Ty. Znałem jego gust. Znaczy mój gust... No i jestem...

Przed domem zapiszczały hamulce taksówki. Rozległ się gong. Dubler uruchomił przycisk od furtki. Stał obok drzwi. Claudia napięła mięśnie. Więzy jednak były doskonale wykonane.

Stocky, mimo osłabienia, wbiegł przeskakując po dwa stopnie. Pchnął drzwi. A potem, kiedy nagle zza framugi wyrósł cień, instynktownie zasłonił się zagipsowaną ręką. Cios stracił impet. Wystarczył jednak, żeby rzucić Andrzeja na podłogę.

- Żyjesz, tym lepiej - krzyknął dubler. Młodszy o dziesięć lat bez trudu obezwładnił i skrępował półogłuszonego Stocky'ego. Potem zaniósł obie ofiary na górę.

- Jest mi niewymownie przykro - mówił posapując. Mamy wprawdzie ze sobą dużo wspólnego, ale świat jest za mały dla nas dwóch. A poza tym gdzieś głęboko w mózgu czuję jeszcze inną osobowość oprócz twojej. Możesz nazwać to potrzebą okrucieństwa, trudno.

Życie jest bezwzględne. Albo ty mnie, albo ja ciebie...

Ułożył ich na dywanie.

- To będzie wyglądało na nieszczęśliwy wypadek...

Z garażu przyniósł kanister. Metodycznie chlapał benzyną na dywan, regał, boazerię...

Potem na spodeczku pełnym tej samej cieczy umieścił zapaloną świeczkę...

- Macie pół godziny albo mniej, jeśli kaganek się wywróci. Ja będę wtedy daleko stąd, u boku kochanej żony. Nie masz, stary, pojęcia, jak ta baba mnie uwielbia. Zupełnie, jakby odzyskała nie wiadomo jaki skarb. Żegnam. Zatrzaskał drzwi i lekko zbiegł po schodach.

Jakże łatwo wszystko się udało. Niepotrzebny był nawet ten zamach w szpitalu. Jeszcze ktoś dojdzie, że oprócz handlu wykładzinami dyrektor Stocky tolerował kontakty z terrorystami, utrzymywane przez jedną z jego agend.

Kilkakrotnie w dywanach szmuglowano broń. Dubler oczywiście nie wiedział, że poznanie Claudii i na tym polu stanowiło przełom w życiu Stocky'ego. Pragnął zerwać z dotychczasowym życiem, rozwiązał umowę z podejrzanym wspólnikiem... Nie wiedział też, że pirotechniczny wyczyn Pele Mosco był między innymi odwetem za próbę ograniczenia interesu. Dubler wykorzystał natomiast wiedzę o jednej z kryjówek, aby zaopatrzyć się w ładunek wybuchowy przed wizytą w szpitalu.

W połowie drogi do furtki stanął jak wryty. Obok siatki stała Alicja... Błada, słaniająca się, wyraźnie pod wpływem alkoholu... Przyśpieszył kroku.

- Poszedłeś jednak do tej dziwki - powiedziała - ty też... - Ależ, kochanie... - urwał, głos uwiązł mu w krtani. W rękach pani Stocky pojawił się mały pistolet, prawie zabawka, którą parę lat temu otrzymała w prezencie od męża. Uniosła go i prawie nie celując poczęła naciskać spust, raz, dwa, trzy, aż do opróżnienia magazynku... Czepiając się siatki dubler począł osuwać się na ziemię, pełen bezgranicznego strachu, osłupienia, a zarazem świadomości, że wszystko jest jedną wielką koszmarną pomyłką.

Alicja cisnęła broń. I nie oglądając się za siebie ruszyła w głąb sennej uliczki.

Z lotniska wzięli taksówkę. - Prędeż, prędeż - przynaglał Bauer. Tassaud milczał.

Tego nie brali pod uwagę. Kiedy wczoraj wieczorem wpadła im w ręce gazeta z fotografią Stocky'ego, pojęli, że nastąpiło coś, czego nie przewidzieli. Co za pech, pomyłka. W momencie, kiedy zamierzali rozkręcić interes na pełną parę, kiedy ich eksperymentem zainteresowali się mężowie stanu, a kontrwywiady wrogich państw obiecywały krocie za dostarczenie drugiej kopii dublera prezydenta, premiera czy królowej...

Przejrzeni po drodze dossier "biorcy". Wyglądało niewesoło. Obok wariatów udało im się zdobyć kilku skazanych na śmierć kryminalistów. Dubler Stocky'ego był jednym z nich..

Jeśli więc zbrodnicze popędy kryły się nie w przekopionym przodomózdzu, ale w nie tkniętym zabiegami pniu, niebezpieczeństwo sytuacji wzrastało wielokrotnie.

Pani Stocky nie zastali w domu. Portier twierdził, że wyjechała przed godziną w stanie silnego wzburzenia. Nie wiedział dokąd. Ale przekonany i przekupiony otworzył mieszkanie.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyli, była książka telefoniczna otwarta na stronie Bla... gdzie czerwonym flamastrem zakreślono nazwisko Claudii Blair i adres. Dotarli na willową uliczkę.

Już w pierwszej chwili dostrzegli krzywo zaparkowany wóz Alicji. Przy furtce w kałuży krwi leżał Stocky bis. Nie żył od kwadransa. A co stało się w domu?

Bauer kopniakiem wyważył furtkę. Wbiegli do środka. Wszędzie pachniało benzyną.

Na pierwszym piętrze zastał związaną parę... Na stole stała przekrzywiona świeczka.

Zgaszona!

- Przeciąg zgasił, gdy ten łajdak zamykał drzwi - wyjaśnił odkneblowany Andrzej. Był



blady, ale próbował się uśmiechać. Szybko przystąpił do cucenia nieprzytomnej dziewczyny.

- Wydaje mi się, że prędko nie zostaną naszymi klientami - mruknął doktor Denis Tassaud.

Wycofali się po schodach.

W progu czekali policjanci. Po sprawdzeniu personaliów nałożyli wynalazcom kajdanki.

- Za co? - bronił się Bauer. - Mamy koncesję na zabiegi.

- W swoim kraju zapewne tak, ale u nas, w demokratycznym państwie, wasza działalność jest przestępstwem. Zwłaszcza gdy prowadzi do takich efektów, jakie widać.

Z piskiem nadjechał policyjny ambulans.

- Ale niech się panowie nie łamią - pocieszył drugi funkcjonariusz. - Jeśli nawet coś by się wam przytrafiło, zapewne sporządziliście już odbliski ze swoich matryc.

## **Na żywo**

Nogi Belli charakteryzuje przedziwna gładkość, która w naturze występuje zazwyczaj jedynie na pupie dziecka. I to nie każdego. Czasami, gdy całuję jej łydki, kiedy sunę ustami po ich doskonałej powierzchni, mijam zgięcia przy kolanie, po czym na udach zwalnim niczym wytrawny alpinista przed ostatnim szturmem na szczyt, to zastanawiam się, czy panna Ybaldia przypadkiem nie poleruje swoich kończyn? Będąc zawodowo zainteresowany twarzami, w wypadku Belli znajduję się w niezwykłym estetycznym rozdarciu - nie wiem, co ma piękniejsze? Jest spełnionym snem czterdziestoletniego mężczyzny, któremu jeszcze niedawno wydawało się, że ma wszystko za sobą.

Mamy ciepły sierpniowy wieczór, od kwadransa jesteśmy razem. Bella, zapakowana w puszysty szlafrok, już mi podsunęła swoją czarującą stópkę. Tak to się zawsze musi zaczynać - pieszczotą palców, penetracją językiem różowych cieśninek między nimi, leciutkim ugryzieniem tego najukochańszego, najmniejszego.

Nie musimy się śpieszyć. Nareszcie nie musimy się śpieszyć. Mamy przed sobą cały długi weekend.

- Nie będę cię potrzebował do poniedziałku - powiedział szef wyruszając do swego starego domu w górach. - Jestem zmęczony.

Rzeczywiście, ostatnio nie wygląda za dobrze. Worki pod oczami upodabniają go do starego, chorego lemura. Coraz częściej zdarza mu się wybuchać gniewem, a raz, kiedy myślał, że go nie widzę, płakał. Czasami zastanawiam się, czy brzemię, które wziął na swoje barki, nie jest przypadkiem zbyt ciężkie?

Prawie pół roku czekałem na okazję zabrania Belli na moje ranczo. Nasz romans, od pierwszego spotkania na koktajlu w ambasadzie francuskiej, składał się z setki bardzo krótkich, choć fascynujących odcinków.

Konieczność dyspozycyjności wobec szefa powoduje, że łańcuch, po którym poruszam się wokół niego, jest bardzo krótki. W każdej chwili mogę spodziewać się szarpnięcia i wezwania do gabinetu, kaplicy czy sali bilardowej. Na dodatek jako osoba publiczna muszę strzec się wścibskich dziennikarzy, fotoamatorów i opozycyjnych polityków.

Ba, mój związek z młodą tłumaczką muszę ukrywać przed szefem, który jest purytaninem i nie przyjmuje do wiadomości mej separacji z Barbarą.

- Przyzwoici ludzie muszą być stanu żonatego lub duchowego - twierdzi. - Jak możesz pozwalać, Juan, żeby matka twych dzieci przebywała na stałe za granicą.

Szef nie przyjmuje do wiadomości, że to Barbara mnie rzuciła (co prawda, sam nie byłem w tej sprawie bez grzechu) i obecnie odpowiada jej status konkubiny króla sardynek ("Jeśli nie masz łusek na oczach, jedz wyłącznie sardynki firmy Mediterane") czy innych żyletek ("najlepszych dla mężczyzny"). Jeśli idzie o Carolinę i Mercedes, dziewczynki przebywają w ekskluzywnej szkole w

Gstad i sądząc po ich rzadkich telefonach, zupełnie nie doskwiera im brak ojca.

Inna sprawa, że nasza konspiracja z Bellą ma swoją podniecającą stronę. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że miłość potajemna może dostarczać takich przyjemności.

"Kto nigdy nie ślizgał się na brzytwie, ten nie może powiedzieć, że jest prawdziwym mężczyzną" - powiadają Chińczycy- masochiści.

I tak to mniej więcej wygląda.

Kiedy owej pierwszej nocy kochałem się z Bellą na schodach przeciwpożarowych rezydencji ambasadora Francji, a tuż za ścianą mój szef wygłaszał przemówienie o naszych wielowiekowych związkach z ojczyzną Catherine Deneuve (też była zaproszona), nie przypuszczałem, że są to jeszcze całkiem komfortowe warunki. Od tego czasu bowiem zdarzyło mi się pięścić piękną tłumaczkę w windzie, na stole bilardowym, obok siłowni szefa, na dachu rezydencji tuż poniżej flagi (modląc się, żeby nie wyszedł księżyc), w bagażniku pancernego rolls-royce'a, na dnie suchego basenu, w schowku na szczotki, w mikroskopijnej łazieneczce przy sali konferencyjnej (stłukłem wtedy czołem kryształowe lustro). Tylko w wyjątkowych wypadkach umawialiśmy się w hotelu lub u mnie w domu. Do siebie mnie nie zapraszała ze względu na półsparaliżowaną matkę staruszkę, która w dodatku cierpiała na bezsenność.

Dotarłem do sedna, odurzony szaleństwem zapachów i wilgocią, przesunąłem się ku górze, przez cudowny taras brzucha, łagodnie doliną między piersiami stromymi jak Sopki Mandzurii, ku szyi. Bella otworzyła się cała. Teraz już pragnęła mnie szybko. Podążyliśmy więc we dwoje ku spełnieniu. Przekoziołkowaliśmy po dywanie, aż runęła stojąca lampa o kształcie kariatydy i zgasł telewizor, którego kabel utracił łączność z kontaktem.

- Tak, tak, Juan, teraz, ty wariacie, ty sukiny...

Biorąc pod uwagę moje stanowisko, nie były to komplementy wyszukane, ale w Belli jednak kochałem jej zewnętrzną subtelność i wewnętrzną wulgarność. Teraz zresztą przebiłem się przez obie warstwy docierając do banalnego, ale fascynującego ośrodka.

Środek był gorący, żywy, żarłoczny, gotowy wyciągnąć ze mnie duszę. Zawyłem:

- Och, suko, suczysiu, zwierzaczu!

I było po wszystkim. Pocałowałem Bellę w kark i poszedłem do łazienki, zostawiając ją rozmarzoną, rozszerzoną, przegiętą przez wałek, który spadł z otomany pragnąc aktywnie uczestniczyć w naszych zapasach.

Mam fart - pomyślałem przypatrując się mej twarzy, szczupłej, bladej, na mój gust o zbyt wydatnym nosie i głębokich bruzdach wokół ust, by uchodzić za przystojną. - Lepiej późno niż wcale.

W wąsach zaczęły już srebrzyć mi się pierwsze siwe włosy, podobnie było na skroniach, a przedziałek coraz niebezpieczniej upodabniał się do tonsury.

- Jest Bóg na ziemi! Jest, jeśli stworzył dla mnie Bellę. Po tylu zmarnowanych latach z Barbarą, po nieudanym głupim romansie z tą wariatką Christą. Do tej pory nie mam pojęcia, czy samobójczy strzał w "Hotelu Excelsior" padł z mego powodu... Bella była rekompensatą, zadośćuczynieniem. Była wszystkim.

Że coś nie jest zupełnie w porządku, zorientowałem się wracając do pokoju. Lampa znów stała w pozycji pionowej, a moje ubranie złożone w kostkę leżało na krześle.

- Dobry wieczór, senior Castillo, proszę wybaczyć mi najście, ale niestety, służba nie drużba. - Mówiącym był niski, łysy jak cebula facet o świdrujących oczkach i brodawce, która upodobała sobie zagłębienie obok jego krzywego nosa. Rzuciłem okiem na Bellę; przykryta prześcieradłem siedziała na kanapie, ale nie wydawała się ani przerażona, ani zakłopotana.

- Porucznik Ybaldia prosiła, abym nie ujawniał się od razu - ciągnął intruz - toteż pozwoliłem

sobie zaczekać w bibliotece, zanim... hm... w końcu też niekiedy bywam mężczyzną.

- Porucznik Ybaldia?

Uśmiechnęła się niewinnie.

- Co tak się głupio patrzysz? Każdy gdzieś pracuje. I cudownie, kiedy można łączyć przyjemne z pożytecznym.

- Porucznik Ybaldia - powtórzyłem i usiadłem rozglądając się za papierosem.

Człowiek-cebula poczęstował mnie cygarem.

- Mogłaś mnie przynajmniej uprzedzić...

- Nie chciałam ci robić przykrości. Zaraz byś pomyślał, że współżyjemy służbowo - powiedziała.

- A nie?

- Kocham cię, Juan.

Musiałem mieć niedowierzający wyraz twarzy, bo przybysz wyszczerzył się do mnie w sposób, który niektórzy dentyści mogliby uznać za uśmiech.

- Radziłbym wierzyć Belli, senior Castillo - rzekł. - To bardzo porządna dziewczynka, zwłaszcza od czasu, kiedy nie pracuje w obyczajówce.

Powoli odzyskiwałem pewność siebie.

- Co to znaczy? - podniosłem głos. - To jakaś prowokacja! Jakim prawem wtargnął pan do mej posiadłości?

- Ależ drogi senior Castillo, jako historyk prawa wie pan, że na pewnym szczeblu władzy prawo nabiera przedziwnej rozciągłości. Inaczej potraktuje biednego komiwojażera, inaczej sekretarza głowy państwa. Ale do rzeczy. Pozwoliłem sobie zakłócić pański romantyczny wypoczynek...

- Jeszcze się nie przedstawiłeś, Manuelu - przerwała mu Bella.

- Rzeczywiście. A zatem pułkownik Manuel Lopez z Wydziału Specjalnego...

- Nie musi podawać mi pan swojego życiorysu - warknąłem. - W końcu sam wysyłałem decyzje w sprawie pańskiego awansu z podpułkownika na pułkownika.

- Jestem niezmiernie wdzięczny. A skoro tak dobrze nam się rozmawia, czy mógłbym sobie nalać wina?

Nie protestowałem, czułem się podle. Świadomość, że nie byłem miłością panny Ybaldia, ale jedynie zadaniem, upokorzyła mnie. Nalałem również sobie, wino miało nieprzyjemny, cierpki smak. Ponieważ stałem jedynie w ręczniku na biodrach, Lopez podał

mi szlafrok. Okryłem się nim, zapaliłem cygaro. Jeśli zdecydowali się zdekspirować Bellę, sprawa naprawdę musi być ważna.

I rzeczywiście była.

Prawdopodobnie gdyby akta Cristobala Sabroniego przeglądał inny pracownik Wydziału Studiów i Analiz, a nie Diego Merito przezywany przez kolegów mendą, moje seksualne kontakty z panną Ybaldia mogłyby się rozwijać bez przeszkód.

Niestety, Merito nie zwykł odwalać roboty po łebkach i już po krótkiej lekturze życiorysu Sabroniego zaczął zastanawiać się nad zaskakującą wymową dat. Cristobal Sabroni, zamożny przedsiębiorca z Santa Cruz, urodził się 10 stycznia 1927 roku. 25 grudnia roku 1952 wstąpił w związki małżeńskie z Marią Espinosa, 3 marca 1954 urodził się jego jedyny syn, Carlos, 7 września 1961 roku uczestniczył w katastrofie lotniczej w Andach i należał do siódemki tych szczęśliwców, którzy ją przeżyli. Żadnych obrażeń nie odnieśli tylko on i jeszcze jeden pasażer. Jeszcze jeden!!! Wreszcie 2 października roku ubiegłego Sabroni został obrany prezesem Południowego Konsorcjum... Cholera.

W przebłysku genialności Merito pochwycił za "Who is who". Niesamowite! Dane drugiego pasażera, który bez szwanku opuścił płonącego boeinga, pokrywały się z życiorysem Sabroniego.

Też urodził się 10 stycznia tegoż samego roku. Tego samego dnia ożenił się, jego syn jednak również pojawił się w identycznym terminie, tyle że nie w Santa Cruz, a w stolicy.

Rosnące podniecenie Merito było o tyle uzasadnione, że astrologicznym bliźniakiem przedsiębiorcy był nie byle kto. 2 października, kiedy Cristobal został zatwierdzony przez Radę Konsorcjum na stanowisko szefa, tłumy wiwatowały na cześć tego drugiego, tego właśnie dnia obranego Prezydentem Republiki. Moim szefem.

Nie powiem, żebym słuchał rewelacji pułkownika Lopeza z obojętnością. Daleko jednak było mi do fascynacji. Nie pojmowałem, czemu zdumiewająca, ale jednak przypadkowa zbieżność faktów zakłóciła "weekend mego życia".

- Merito był uparty - opowiadał Lopez. - Zaczął poszukiwać dalszych zbieżności...

- I znalazł je?

- Mnóstwo. Kiedy mały Cristobal przechodził świnkę, chorował na nią nasz późniejszy "ojciec ojczyzny", kiedy koleżanka w VI b ukruszyła mu ząb, pański pryncypał

stracił pół jedyńki podczas meczu w rugby. Jednego dnia stracili cnotę. Prezydent ze swoją nauczycielką angielskiego, a Sabroni w małym burdeliku, na który zrzucili się we trójkę z kolegami...

- Czyli pewne różnice istnieją - zauważyłem.

- Jedynie pod względem dekoracji. Merito zestawiał 279 analogii w życiorysach naszych bohaterów. Oczywiście, nie miał wszystkich danych. Od kiedy aktualny prezydent został senatorem, dla szczebla reprezentowanego przez Merito stały się one niedostępne.

Mógł korzystać jedynie z informacji nagłośnionych przez media. Ale wystarczyło! Pamięta pan, co stało się 5 marca...?

- Nie mam pojęcia.

- Jesteś paskudny, tego wieczora poznaliśmy się na koktajlu w ambasadzie francuskiej

- zaszczebiotała Bella.

- Rzeczywiście, ale chyba nie o nas pułkownikowi chodzi. Już wiem! Podczas dyskusji na schodach z ambasadorem Rosji pan prezydent potknął się i wywichnął kostkę.

Niegroźnie zresztą.

- I proszę sobie wyobrazić, że o tej samej godzinie na Avenida del Sol w Santa Cruz samochód potracił wychodzącego z lokalu Sabroniego. Też lekko wstawionego. Efekt...

- Zwicnięcie kostki?

- Naturalnie.

Wszystko to wyglądało zbyt groteskowo, żeby było realne. A jednak było, ja w szlafroku, pułkownik, Bella, czerwień zachodzącego słońca...

- Oczywiście, gdyby chodziło tu jedynie o psychotroniczną ciekawostkę, nie ośmielibym się odrywać pana od zajęć - Lopez dramatycznym gestem wychylił kolejny kieliszek. - Sam zaniepokoiłem się, kiedy dotarłem do operacji "Storczyk".

Zmarszczyłem brwi.

- Wiem, wiem - uśmiechnął się Lopez. - Top secret. Tajne, łamane przez poufne. Pełna informacja znana jest tylko pięciu ludziom. No i Belli... A zatem możemy rozmawiać spokojnie.

Wiem, ile rozterek i wahań poprzedziło decyzję mego szefa w sprawie "Storczyka".

Naturalnie, decyzję ustną. Pamiętam, byliśmy wtedy w czwórce. Szef, minister bezpieczeństwa, Kreol o szarej twarzy bezsennego ogara i czarnowłosa, zda się z samych żył i mięśni utkany, szef jednostki specjalnej "Sigma".

- Uważacie, że wymaga tego dobro państwa. Prawdopodobnie macie rację - powiedział prezydent.

- Blasco Herrera jest wrogiem republiki, mordercą, terrorystą, a przy okazji legendą i ojcem duchowym miejskiej partyzantki, podobno ma popleczników na najwyższych szczytach - mówił minister. - Jego likwidacja będzie operacją szybką, tanią, a dzięki planowi

"Storczyk" stuprocentowo bezpieczną.

- Ale Herrera przebywa w Hawanie!

- Wiem, że z fałszywym paszportem wkrótce wybiera się do Nowego Orleanu.

Pewnych rozrywek komunistyczna Kuba nie jest w stanie dostarczyć mu w dostatecznym wyborze.

- Chcecie zabić go na terenie Stanów Zjednoczonych?

- On już nie żyje, panie prezydencie - zauważył z uśmiechem szef jednostki "Sigma".

Blasco Herrera pogładził się po doklejonych bokobrodach i przez opalizujące okulary rzucił okiem dookoła. Faceci z ochrony skinęli głowami.

- Wszystko w porządku.

Przeszedł dwa metry po trotuarze i znikł w środku jednopiętrowego baraczk.

Olbrzymi Murzyn, który otworzył mu drzwi, poprowadził go do pozbawionego okien gabinetu. Oczy Herrery rozblęły. Na fotelu siedziało "Zjawisko". Bujne włosy w puklach spadały na ramiona. Nic nie osłaniało monumentalnych piersi. "Zjawisko" uśmiechnęło się odsłaniając zęby równe i białe jak Antarktyda na Boże Narodzenie. Reszta ciała tonęła w mroku. Czy była równie zachwycająca?

Goryle wsunęli się do wnętrza i zbliżyli z zamiarem obmacania "Zjawiska".

- Za drzwi! - warknął Blasco. Wdusił cygaro w kaszmirowy dywan i rozpinając marynarkę ruszył do przodu.

- Wstań, skarbenko.

Luksus za tysiąc dolarów wstał. Dreszcz emocji zelektryzował terrorystę. To nie było przereklamowane. To było niewiarygodne. Poniżej pasa arcykobieta zmieniła się w supermężczyznę. Carramba! Wash and go!

- Na łóżko - warknął rozkazująco.

Hermafrodyta ulegle skinął głową. Ale cofnął się tylko nieznacznie i zaczął masować swój obfity biust. Herrera oblizał mięsiste usta.

- Na łóżko! - powtórzył.

Zjawisko nie zareagowało. Blasca owładniętego podnieceniem dodatkowo pobudziła furia.

- Nauczę cię posłuszeństwa, malutki!

Wzrok hermafrodyty uciekł gdzieś w bok. Herrera podążył za nim i dostrzegł leżący koło łóżka pejcz. Właściwy przedmiot na właściwym miejscu! Pochylił się, aby go podnieść i wtedy to się stało.

Niedoszły partner zarzucił mu błyskawicznym ruchem na krtań stalowy drut, dotąd ukryty w dłoni i szarpnął.

- Pułapka! - przemknęło przez głowę Herrerze, a potem ostry drut przeciął mu krtań.

Murzyn uniósł słuchawkę w automacie telefonicznym wiszącym na korytarzu hoteliku.

- "Storczyk" ścięty - zameldował.

W tym samym czasie Ignacio Ruiz, wiceprezes Konsorcjum Południowego, szedł po świeżo wylanym betonowym fundamencie Nowego Super-Mercado w Santa Cruz. Mimo ciężkiego dnia i przebytej drogi odczuwał zadowolenie. Duże zadowolenie. Usunięcie Sabroniego i przejście po nim szefostwa Konsorcjum było kwestią godzin. Jeszcze tylko ten księgowy dostarczy kopie umów z "Brazilian Fruits" i po Sabronim.

- Był gówniarzem i zdechnie jak gówniarz - mruknął do siebie Ruiz.

Zapadł zmierzch, a wraz z nim nadciągnął przyjazny chłód.

- Jutro obudzę się innym człowiekiem, tylko gdzie ten cholerny księgowy? Miał tu być od kwadransa.

Na temat przyszłego snu don Ignacja zdecydowanie odmienne zdanie miał mężczyzna siedzący obok filaru budującego się magazynu. Nie zamierzał jednak wyrażać go w słowach.

Nie śpiesznie uniósł broń z celownikiem optycznym. Dobrą broń kupioną w Port of Spain.

Snajper przez krótką chwilę rozkoszował się obserwowaniem bezbronnej ofiary.

- Dorodny tapir, samiec - mruknął bezdźwięcznie. - Adios! - i pociągnął za spust.

Fontanna krwi na kamizelce i wyraz zdumienia na twarzy Ruiza wykwitły równocześnie. Nie było potrzeby drugiego strzału. Snajper doskoczył do ofiary. Ignacjo nie żył, a beton był jeszcze świeży. Wystarczyło wcisnąć ciało do wykopu, uruchomić betoniarkę, potem sięgnąć po szlauch, aby splukać ślady krwi...

- Co pan tu robi, senior? - usłyszał naraz gderliwy głos.

Strażnik! Carramba! Przecież miało go nie być. Snajper odwrócił się gwałtownie i pośliznął na mokrym betonie. Poleciał w tył puszczając broń. Straszliwe ukłucie bólu.

- Stalowa kotwa - pomyślał - przebiła mi prawe płuco...

- Co pan tu robi, senior? - powtórzył strażnik, który wprawdzie wziął pieniądze za nieobecność i miał iść się napić, ale zasnął i teraz gorliwością chciał nadrobić swoją nieudolność.

- Stało się coś panu? Zaraz zadzwonię po pomoc. Już lecę...

Akcja "Storczyk" powiodła się. Nie odnaleziono nigdy ciała Herrery. Jego goryle zginęli tego samego dnia w wypadku samochodowym. W Hawanie nikt nawet nie pisał, że terrorysta opuścił Rajską Wyspę.

Gorzej poszło Sabroniemu. Ranny snajper bez wahania ujawnił, kto zlecił mu mokrą robotę.

Cristobal miał dodatkowego pecha. Po zamieszkach w indiańskich pueblach na zachodzie gubernator Santa Cruz ogłosił stan wyjątkowy. Obowiązywały prawa wyjątkowe i sądy doraźne.

W sprawie zabójstwa wiceprezesa Konsorcjum nie było wątpliwości ani okoliczności łagodzących - zbrodnia z premedytacją, popełniona z niskich pobudek, przy złamaniu zawodowej lojalności. Kara śmierci została orzeczona jednogłośnie i miała zostać wykonana przed upływem miesiąca.

Lopez skończył swoją opowieść i znów nalał sobie wina. Wyraźnie wziął się, by zniszczyć moje zapasy, tak jak przekuł tęczową bańkę mojego romansu.

- I cóż pan na to?

Wzruszyłem ramionami:

- Nie powie pan chyba, że egzekucja na Sabronim może mieć wpływ na życie pana prezydenta?

Nerwowy tik przebiegł przez brunatną twarz pułkownika.

- Gdybym nie był tego pewien, nie znalazłbym się tutaj. Podobnie jak pan bliski byłem zlekceważenia raportu Merito. Kiedy go otrzymałem, do egzekucji pozostał niecały tydzień, ale gdy przypomniałem sobie o "Storczyku" i porównałem daty... Zgodziłem się na eksperyment.

- Do licha, jaki eksperyment?

- Przedwczoraj nakarmiliśmy Sabroniego silnym środkiem przeczyszczającym.

Wiedzieliśmy, że pan prezydent po południu ma wystąpienie w senacie.

- Niesamowite!

Przed oczami stanął mi natychmiast obraz szefa przerywającego w pół zdania wystąpienie dotyczące reformy administracyjnej i zbiegającego z trybuny.

- Zarządz przerwę! - rzucił mi zbolałym tonem, znikając w drzwiach.

Po kwadransie, kiedy wrócił z toalety, czuł się świetnie i mógł palnąć nawet trzy przemówienia. Nasz lekarz nie miał pojęcia, co mogło spowodować nagłą niedyspozycję.

- Czy to cię wreszcie przekonało? - włączyła się Bella. - Pułkownik jest pewien, że prezydent zginie. A właśnie wróciło pismo z odmową ułaskawienia Sabroniego...

- Cristobal Sabroni! - nareszcie mi się przypomniało. - Oczywiście, był ktoś taki na liście trzy dni temu, ale prezydent miał akurat zły humor i nie ułaskawił nikogo...

Przekleństwo! Wystarczyło odezwać się do mnie wcześniej.

- Wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia, że obaj są, jak mówią eksperci -

"incydentalnym przykładem wzmocnionego bliźniactwa astrologicznego"... Niemniej nie można dopuścić do egzekucji.

Zamyśliłem się. Znałem szefa nie od dziś i nie mieściła mi się w głowie możliwość powiedzenia mu prawdy. A jakie miałem inne wyjście? Dla mnie, protegowanego prezydenta, oba możliwe warianty oznaczały klęskę - zbyt szybko wyrosłem, otaczała mnie za duża nienawiść, abym mógł wrócić tam, skąd wyszedłem. W moim interesie było, żeby Sabroni żył...

- Wiemy - odezwał się znów Lopez - że posiada pan wielki dar.

- Jaki?

- Umiejętność fałszowania podpisów... Jeszcze kiedy był pan studentem, prowadzono śledztwo, ale... - dorzucił szybko widząc, że marszczę brwi - nie kontynuujmy tego tematu.

Wiemy, że potrafi podrobić pan podpis szefa. Posiadam już właściwy formularz.

Błysnęło mi znajome złociste godło Kancelarii.

- Potem trzeba będzie dokonać jeszcze paru drobnych szachrajstw w archiwach i odpowiednich biurach, ale biorę to na siebie. Najważniejsze, aby jutro nad ranem kat nie spełnił swojej powinności.

- Pójdiesz na to? - agatowe oczy Isabelli nieomal poparzyły moje źrenice.

- Dajcie mi jeszcze kwadrans.

Zgodzili się bez słowa.

Od pewnego czasu na ranczo miałem zainstalowaną końcówkę komputera. Bez większego trudu posprawdzałem potrzebne informacje. Najpierw przywołałem akta Lopeza (Manuel Lopez - 52 lata, pułkownik służb specjalnych - fotografia en face, plus dwa półprofile - życiorys, zakres obowiązków, stopnie utajnienia). Tak samo postąpiłem z Isabellą Ybaldia (lat 25, panna, porucznik wydziału III...). Wszystko w porządku. Później przejrzałem jeszcze dossier Sabroniego. I połączyłem się z archiwum referatu do spraw ułaskawień. Tak.

Nie miałem najmniejszych podstaw do obaw. Przez moment odczuwałem nawet pokusę zadzwonienia do szefa, ale odrzuciłem ją.

- W porządku - powiedziałem wracając do livingu - gdzie mam podpisać?

Lopez wyciągnął odpowiedni formularz.

- Proszę jeszcze zwrócić uwagę na aneks - powiedział z naciskiem.

"Zamieniając karę śmierci na dożywotnie, bezwarunkowe uwięzienie, zaleca się Wydziałowi do Spraw Więziennictwa umieszczenie skazanego w osobnej celi pod specjalnym nadzorem, ze stawką żywieniową "Q" i klauzulą zgodną z zarządzeniem 354 łamane przez 122 (\*93)".

- Co to za zarządzenie?

- Więzień objęty tą klauzulą - Lopez podrapał się w swą brodawę - nie podlega amnestiom i ustawowemu zmniejszeniu kary po odbyciu 10 lat odsiadki. Chodzi o to, senior Castillo, żebyśmy go mieli na oku. Na zawsze.

- A jeśli prezydent skończy swą kadencję albo umrze?

- Jeśli skończy, zastanowimy się, co dalej z Sabronim. A jeśli umrze...? Cóż, Sabroni automatycznie umrze razem z nim.

Nagle Lopez zaczął się śpieszyć. Nic dziwnego, od Santa Cruz dzieliło go ponad 250 mil i jeśli chciał zdążyć przed egzekucją, powinien nie zwlekać.

- Zrobił pan wielką rzecz, don Juanie. Szkoda, że nie będzie tego na kartach historii naszego kraju - powiedział schodząc do samochodu.

Na końcu języka miałem już prośbę, żeby zabrał ze sobą pannę Ybaldia, ale Isabella od dobrej pół godziny gdzieś się zaszyla.

Gdy wróciłem do livingu, siedziała po turecku na kanapie i sączyła drinka.

- I co teraz?

Zapadło między nami milczenie długie i ciężkie. Podejrzewam, że było cięższe niż kamień grobowy Łazarza. Wszelako Łazarz zmartwychwstał, a my chyba nie mieliśmy podobnej szansy.

Było smutno, pusto, głupio. Miałem ochotę zawołać do Belli "Wynoś się!" Nie zrobiłem tego. Przeciwnie, włączyłem muzykę. Może chciałem zagłuszyć beznadzieję.

Naląła mi drinka.

Przełknąłem go jednym haustem.

Po winie wypitym z Lopezem lekko tylko rozcieńczona whisky miło zapiekła w gardle.

- Chcesz, żebym sobie poszła? - zapytała nieoczekiwanie, patrząc mi w oczy.

- A ty chcesz? - odparłem.

Naraz rozwiązał się jej język.

- Wiem, Juan, nie powinnam, nie powinnam tego robić, ale kiedy w Departamencie Ochrony zlecono mi opiekę nad Kancelarią, nie znałam cię, nie wiedziałam, że się w tobie zakocham. Nie wierzysz mi? I absolutnie masz prawo nie wierzyć. Kocham cię właśnie za twoją uczciwość, Juan. I chyba rzeczywiście powinnam odejść pierwsza. A wiesz dlaczego?

Dopiero przy tobie zrozumiałam, że mogę być inna. Pojęłam cały bezsens mojego dotychczasowego życia. Wiesz, byłam ambitna. Chyba za bardzo. Nie chcę się usprawiedliwiać, ale życie mnie nie rozpieszczało. Matka wychowała mnie bez ojca. Sama.

Właściwie od czasu, kiedy sięgnę pamięcią, pełniłam w domu obowiązki mężczyzny.

Musiałam być twarda. Ale wyrwałam się z biedy. Ukończyłam szkołę, college, odniosłam sukcesy pracując w policji. Mężczyzn traktowałam instrumentalnie. I z dnia na dzień upewniałam się, że miłość nie istnieje. Oczywiście, wiedziałam, że kiedyś znajdę sobie męża, kogoś takiego jak Sabroni lub Ruiz, bogatego przedsiębiorcę z zaawansowaną chorobą wieńcową. Ale dlaczego ty...

Oczywiście, nie wierzyłem w ani jedno jej słowo. A przecież słuchałem ich z prawdziwą przyjemnością. Nikt dotąd tak do mnie nie mówił.

- Juan! Proszę, nie kochaj mnie! Pozwól jedynie, bym ja cię kochała - raptownie pochwyciła moją rękę i przytknęła ją do ust. W jej oczach dostrzegłem dwie grube łzy.

Miękłem.

Rozwiązała mój szlafrok. Całowała moje piersi, brzuch, potem zeszła jeszcze niżej.

Znów ogarniało mnie szaleństwo. I choć ciągle nie wiedziałem, czy to eksplozja namiętności, czy perfekcjonizm zawodowej kochanki, było mi bardzo dobrze.

Nawet nie wiem, jak znaleźliśmy się w sypialni. Byłem nieźle pijany i podniecony.

Padliśmy na wielkie, solidne metalowe łoże o sienniku twardym, pachnącym trawą i szaleństwem.

Chciałem zagarnąć ją pod siebie. Odsunęła mnie energicznie.

- Teraz ja! - zawołała. Policzki jej płonęły. Szkarłat podniecenia ogarniał jej ramiona, schodząc ku



jej piersiom. Brodawki wręcz groziły eksplozją. Miała mnie całego.

Wyprężyłem się, robiąc prawie mostek, rękami chwyciłem poręczy łóżka służącego paru pokoleniom Castellów... Szczyt nadchodził.

- Klik, klak!

- Co to było?

Nagły chłód otoczył moje przeguby.

- Klak, klik.

Tym razem stało się to z moimi nogami.

Szarpnąłem się. Cholera.

Nie mogłem się ruszyć.

Bella zeskoczyła z łóżka.

- Co ty robisz? Dlaczego? - w mgnieniu oka wytrzeźwiałem i ochłonałem.

Jej piękna twarz nagle pobladła, źrenice zwęziły się.

- Przestań się wygłupiać! - powtórzyłem.

- Muszę, Juan - powiedziała beznamiętnie. - Muszę!

Zeszła do livingu, przez otwarte drzwi widziałem, jak się ubiera. Jak wciąga rajstopy, zapina stanik...

- Co to za żarty?

- To nie są żarty, Juan - mówiła mechanicznie, poważnie. - Po prostu nie ma innego wyjścia.

- Ale o czym ty mówisz? Przyjdź natychmiast i zdejmij te kajdanki! Skąd wzięłaś aż cztery pary...?

- To jest zadanie, Juan. Normalne zadanie jak każde inne - słowa wypowiadała beznamiętnie, ni to do siebie, ni to do mnie. - Wiesz, Lopez nie dojedzie do więzienia w Santa Cruz. Jego samochód eksploduje już za 55 minut na najmniej uczęszczanym odcinku drogi.

- Co mówisz?!

- To najtańszy sposób zamachu na prezydenta, Juan. Można powiedzieć, "egzekucja per procura".

- Kim ty jesteś, Bella? Dla kogo pracujesz?

Zapaliła papierosa i weszła znów do sypialni.

- Jestem żołnierzem. Żołnierzem Frontu Wyzwolenia i Odnowy.

- Front, od kiedy zabrakło Herrery, jest w rozsypce.

- Herrera żyje! We mnie.

- Bzdura!

- Oczywiście, nie mogłeś tego sprawdzić w banku danych. Ale ja jestem jedyną naturalną córką Diego Herrery... Nie jestem do niego podobna?!

Teraz rzeczywiście wyglądała na rewolucyjną egerię. Zrozumiałem, że moja sytuacja wygląda bardzo kiepsko.

- Kiedy zdechnie twój szef, ten tyran, zacznie się anarchia, bałagan, my zaczekamy. A gdy przyjdzie właściwy moment, a naród dojrzeje do rewolucji, zejdziemy z gór, wyjdziemy z kanałów, wielotysięczni, niezwycięzeni...

- Nie wygłupiaj się, Isabello!

- Jestem prawdą - powiedziała szorstko. - Jestem prawdą, tak jasną jak twoja śmierć.

- Chcesz mnie zabić? Oszalałaś. Jak?

- Pośrednio... Teraz pójde po kanistry. Zawczasu zaopatrzyłam się w benzynę. Stary drewniany dom spłonie jak pochodnia. Nikt nie będzie nic podejrzewał.

- Zwłaszcza, gdy znajdą zwęglone zwłoki przykute kajdankami do łoża. Myślisz, że nie dowiedzą się, że tu byłaś...?

Na moment jakby straciła rezon.

- Tak, to rzeczywiście jest problem - westchnęła. - Ale poradzimy sobie. Zdaje się, że miałeś tu gdzieś broń myśliwską. Mieliśmy polować na kapibary...

Wybiegła z pokoju. Miałem bardzo mało czasu. Ale dostrzegłem pewną szansę. Od dziecka znałem tajniki tego wielkiego łoża, wiedziałem, że pręty, do których przykuła kajdanki, są wkręcane. Próbowałem je poruszyć końcami palców, ani drgnęły. Jeszcze raz, jeszcze raz. Jeden ruszył. Równocześnie słyszałem, jak Isabella wraca z bronią, jak przetrząsa cały dom w poszukiwaniu nabożów. Całe szczęście, że nigdy nie pozostawiam broni załadowanej. Klnąc cicho przeszukała kredens, wyrzucając wszystko na podłogę, potem spenetrowała sień, wreszcie skierowała się ku drewnutni. Mogłem mówić "Ciepło, ciepło". Ale wolałem nie ułatwiać jej zadania. Wykręcony pręt z cichym brzdękiem uderzył o ścianę, ale uchwyciłem go, zanim spadł pod łóżko. Zsunąłem bransoletki. Jedną rękę miałem wolną, teraz kolej na drugi pręt. Cholera, ani drgnął! Szarpnąłem mocniej oburącz. Gwint nie odkręcany od dawna zastygł na dobre...

Trzasnęły drzwi. Wracała. Usłyszałem, jak szczekała łamana dubeltówka. Teraz nie miałem szans. Ale... umieściłem pręt na dawnym miejscu. I leżałem nagi wyprężony jak Iksion lub człowiek-schemat z rysunku Leonarda da Vinci.

Weszła ze strzelbą w dłoni, ale twarz jej pozostawała spokojna. Jak u zawodowego kata.

- Pomodliłeś się? - spytała.

- Tak. A czy jako skazaniec mógłbym mieć ostatnią prośbę, Bello?

- Żartujesz?

- Nie stać cię na to?

- Mam może dokończyć rozpoczęte dzieło? - parsknęła wskazując na moją omdlałą, kompromitująco maleńką męskość.

- Tylko mnie pocałuj.

Na jej twarzy odbiło się niedowierzanie.

- Wiem, że to dla ciebie nie ma żadnego znaczenia - szeptałem - ale ja... ja naprawdę czułem do ciebie...

Miała trochę głupi wyraz twarzy. Zawahała się. Potem odstawiła dubeltówkę.

- To mogę dla ciebie zrobić. Momentami byłeś naprawdę niezły.

Pocałowała mnie w usta. To nie był filmowy pocałunek. Nasze wargi były suche, bez wilgoci i ciepła. Ale kiedy unosiła głowę, wymierzyłem cios. W pięści miałem drugą połówkę kajdanek. - Masz!

Celowałem w skroń. Ale nie mogłem dobrze się zamachnąć. Cios okazał się słaby.

Kajdanki tylko rozorały jej policzek. W oczach Belli zdumienie mieszało się z wściekłością.

Miała jeszcze szanse. Mogła skoczyć ku dubeltówce. Mogła zrobić dużo rzeczy, ale nie zrobiła tego. Chciała mnie zabić. Natychmiast, udusić. Uczułem jej pazury na swoim gardle.

Byłem jednak na to przygotowany. Porwałem nastawiony luźno pręt, uderzyłem raz, drugi.

Osunęła się na pościel, a ja waliłem, waliłem, nie bacząc, że kajdanki wżerają mi się w drugi przegub. Przestałem, kiedy głowa panny Ybaldia przypominała krwisty befsztyk.

Używając śmiercionośnego prętu jako lewarka wyłamałem drugi pręt i uwolniłem lewą rękę. Z nogami poszło mi jeszcze łatwiej. W torbie Isabelli znalazłem kluczyki.

Potem zadzwoniłem do Wydziału Specjalnego i poprosiłem o numer do auta Lopeza.

Pułkownik był bardzo zdziwiony, kiedy kazałem mu natychmiast wysiąść i uciekać. Usłuchał jednak. W dwie minuty potem fontanna ognia wytrysnęła z jego forda. Po kwadransie Lopez zadzwonił do mnie, że zarekwirował jakiś wóz i że ma zamiar dojechać do Santa Cruz na czas i bez

przeszkód.

- Ale co się stało, na litość boską? - pytał.

- Będzie jeszcze czas na opowiadanie.

Wyłączyłem mego komórkowca i popatrzyłem w stronę sypialni. Cały czas miałem nadzieję, że za chwilę koszmar pryśnie, że znów będzie upalne słodkie popołudnie...

Nie mogłem zdobyć się na wejście do sypialni. Zamykając drzwi zobaczyłem tylko nogę Belli. Nogę przedziwnej gładkości, która w naturze występuje zazwyczaj jedynie na pupie dziecka. I to nie każdego.

Spałem długo. Obudziłem się dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Sen miałem ciężki, pozbawiony zwiądów, majaczeń. Przypominał przejazd przez mroczny, duszny tunel.

Odczuwałem głód i zszedłem do bistra położonego vis a vis mego stołecznego mieszkania. Po drodze kupiłem gazety. Żadna nie odnotowała wydarzeń z poprzedniego wieczoru. Nie wspomniano o pożarze rancza sekretarza stanu w gabinecie Głowy Państwa (benzyna okazała się świetną podpałką) ani o zwęglonych zwłokach kobiecych znalezionych w ruinie. Nie miałem żadnych problemów z wyciszeniem sprawy. Sporo pomógł telefon Lopeza do lokalnej policji.

Teraz czułem się dziwnie. Przerazająco normalnie. I pusto. Jak po amputacji niezwykle ważnego organu - tyle że nie wiadomo, do czego niezbędnego. Najważniejsze, że miałem to za sobą. Od poniedziałku zaczynał się normalny kierat. Marzyłem o poniedziałku.

Zjadłem parę hamburgerów, popiłem piwem i wróciłem do siebie. Koło windy minęła mnie sąsiadka, para szczupłych, zgrabnych, dwudziestoletnich nóg. Bolesny skurcz. W

mieszkanu znów mnie to dopadło. Do diabła! Wszystko przypominało mi Isabellę. Jej grzebień zostawiony w łazience. Jej zdjęcia, listy kreślone w pośpiechu. Nie mogłem tego wytrzymać. Zabrałem się metodycznie do desisabellizacji - spaliłem w kominku zdjęcia, jej koszulę nocną, listy. Spaliłem nawet mój wiersz napisany do niej po pijaku i serwetkę z ambasady francuskiej, na której po raz pierwszy zapisała mi swój numer. Tak, to chyba było wszystko. Potem znów usnąłem. Świetny, wypróbowany sposób - ucieczka w sen.

Koło dziesiątej wieczorem obudził mnie telefon. Pomyślałem, że to prezydent. Ale nie, dzwonił aparat miejski.

- Słucham, Castillo.

W pierwszej chwili nie poznałem Lopeza, był tak zdenerwowany, że głos mu się łamał, mówił bezładnie, powtarzał się...

Sabroni był gotów na śmierć. Kiedy przed świtem do jego celi zapukał naczelnik więzienia, skazaniec zaniepokoił się jedynie nieobecnością księdza. Przed podróżą w wieczność zamierzał się wypowiedzieć (choć od dawna niewierzący, uważał, że to nie zaszkodzi).

Gdy po pierwszych słowach zrozumiał, że chodzi o ulaskawienie, na moment zgłupiał, potem zaczął krzyczeć z radości, wiwatować na cześć prezydenta, ucałował nawet strażnika.

Dopiero po dobrych kilkunastu minutach naczelnik mógł odczytać aneks aktu łaski.

- Że co? - Cristobal słuchał nie bardzo pojmując.

- Wasza kara została zamieniona na dożywocie...

- Nie!!!

- Będziecie mieli pojedynczą, osobną celę...

- Nie, nie, nie możecie mi tego zrobić. Dożywocie, sam...? Ja... ja mam klaustrofobię, panie naczelniku... Błagam!

Nagły wybuch tłumaczono szokiem. Przybyły lekarz zaaplikował Sabroniemu zastrzyk uspokajający.

- To minie - orzekł - wystąpiła bardzo emocjonalna reakcja. Ale w końcu człowiek przeżył niemały stres.

Sabroni nie zjadł tego dnia ani śniadania, ani obiadu, odmówił spożycia kolacji.

- Głódówki mu się zachciało! - podenerwowany naczelnik zadzwonił do Lopeza.

Pułkownik, tknięty złym przeczuciem, kazał postawić przy celi Cristobala dodatkowego strażnika, śledzącego dzień i noc zachowanie więźnia.

Za późno!

Nim specjalny strażnik dotarł do celi, dozorca podniósł alarm. Sabroni powiesił się na kracie, wykorzystując sznur zrobiony z podartego prześcieradła. Gdy otworzono drzwi, był już siny. Martwy! Z upiornie wysuniętym językiem i kałużą łajna.

- Kiedy to było? - wrzasnąłem do Lopeza.

- Śmierć nastąpiła jakieś pół godziny temu.

- Proszę nie odkładać słuchawki!

Chwyciłem mojego komórkowca i wystukałem numer telefonu w górskiej willi szefa.

Nikt nie odpowiadał. Niedobrze. Wystukałem zatem kod specjalnej łączności, który pozwalał na połączenie się z prezydentem w każdej chwili. Cisza. Rany boskie! A więc teza o bliźniactwie astrologicznym była prawdziwa. I to w najbardziej ponurej z możliwych wersji.

Naraz ze słuchawki Lopeza dobiegł wrzask. Zbliżyłem ją do ucha.

- Castillo, włącz kanał centralny telewizji. Natychmiast!!!

Włączyłem i zdębiałem.

Na stanowisku spikerskim siedział nasz prezydent. Flagę i godło powieszono niechłujnie, co zdradzało najwyższy pośpiech.

Mój szef mówił chaotycznie i nerwowo. Sądząc po grubej warstwie potu na czole, przemawiał od kilkunastu minut. Właśnie kończył.

- Tak więc, Narodzie, wypełnię do końca wszelkie zobowiązania wypływające z moich deklaracji wyborczych. I niech nikt się nie łudzi, że powstrzyma mnie w pół kroku.

Niech żyje Republika!

Skończył, pojawiła się plansza centralnego programu.

Nie zwracając uwagi na wrzaski Lopeza, połączyłem się z dyrektorem telewizji. Był przerażony. Bardziej pisał niż odpowiadał na moje pytania.

- Niczego nie rozumiem, don Castillo! Pół godziny temu helikopter prezydencki wylądował na dachu studia numer 5. Pilotował go sam przywódca... Wszedł do studia i zażądał od nas natychmiast czasu antenowego, mówił, że biorąc pod uwagę krytyczną sytuację kraju, musi wygłosić orędzie.

- Miał przygotowany tekst?

- Mówił bez kartki.

- A kto mu towarzyszył?

- Nikt. Ochrona nie miała pojęcia, że opuścił rezydencję.

- A co powiedział?

Pisk prezesa stał się jeszcze cichszy:

- Sporo. Powiedział, że przejmuje pełną odpowiedzialność za działania administracji, zadeklarował zniesienie od poniedziałku bezrobocia, podniesienie przeciętnej płacy do 10 tysięcy pesetów miesięcznie, odebranie naszym sąsiadom przygranicznych prowincji i przyspieszone wybory parlamentarne.

- Ależ to szaleństwo - wykrztusiłem - pełne szaleństwo.

- Identyczna jest opinia doktora Rafaelli, który dzwonił już w trakcie programu.

Prezydent zwariował.

- Nie sądzę...

- Co pan nie sądzi?

Wyłączyłem aparat. Nagle ogarnął mnie dziwny chłód. Tak, wszystko było teraz jasne.

Wszystko. Dopełnił się los astrologicznego bliźniaka. Oczywiście, z drobną różnicą. Sabroni popełnił samobójstwo. Prezydent też. Tylko jak przystało na męża stanu, było to samobójstwo polityczne.

Pół roku to za krótki czas, aby zapomnieć, prawdopodobnie zresztą nigdy nie zapomnę Isabelli, jej uśmiechu niewinnego dziecka, jej oczu ognistej kotki.

Pół roku to jednak dość dużo, aby spróbować ułożyć sobie życie na nowo. Nie miałem czego szukać w Południowej Ameryce. Podziękowałem za pracę szybciej niż afera z prezydentem dobiegła końca.

Nowy Jork mimo zimy potrafi być miłym miastem. Z okien mego gabinetu widzę krę na Rzece Wschodniej. Widzę samoloty podrywające się znad lotniskiem Kennedy'ego.

Udało mi się znaleźć pracę w Organizacji Narodów Zjednoczonych w dziale zajmującym się problemami demograficznymi. Dzięki temu mam dostęp do olbrzymiej dokumentacji. Również do danych personalnych. Jestem coraz bardziej pewien, że przypadek bliźniactwa prezydenta i Sabroniego nie jest odosobniony. Że każdy z nas ma jakiegoś astrologicznego bliźniaka. To tłumaczyłoby wiele rzeczy w naszych życiorysach. Bliźniacy mogą oczywiście żyć w różnych krajach, na różnych kontynentach... Ale są.

Jeśli kiedyś uda nam się ich poujawniać, skomputerować pary, uzyskamy możliwość sterowania ludźmi na skalę, jaka się nie śniła nikomu w historii. Jedno mnie tylko martwi, że gdzieś w Moskwie, Pekinie albo Berlinie ktoś mógł w tym samym czasie wpaść na analogiczny pomysł zawładnięcia światem. Kto? Mój astrologiczny bliźniak.

### **Przezorność**

Ciężar perfekcjonizmu? Tak, zapewne istnieje takie brzemie ogromniejące w miarę upływu lat zasobem dokonań. Jeśli znakomitym lekarzom nie wypada się pomylić, uznanym artystom spłodzić knota, tak mnie nie wolno ponieść porażki.

Przeklęte litery "WD", użyte po raz pierwszy przed kilkunastu laty, wówczas jakże nobilitujące, dziś na wizytówkach, na złożonych kopertach (cóż za nowobogacki smak mojej sekretarki) jedynie zobowiązują i męczą. Używałem w życiu wielu nazwisk i wielu pseudonimów, a przecież owo określenie ukute przez prowincjonalnego pismaka okazało się najtrwalsze - Wielki Detektyw. Człowiek do wynajęcia.

Mój kodeks moralny był i jest prosty - można mnie zatrudnić, każdy może skorzystać z moich usług pod warunkiem, że będę działał po stronie prawa. Choć, jak wiadomo, i prawo może mieć wiele stron... Można też chcieć mnie zabić. Wielu próbowało, niektórym to się nawet prawie udało. Szczególnie ostatnie dwa miesiące stanowiły prawdziwy koncert zamachów - najpierw wysadzono mnie w powietrze na jachcie "Betsy II", później stoczyłem wielogodzinny, samotny pojedynek z Joe Dusicielem na wysypisku śmieci, wreszcie trafiłem przed pluton egzekucyjny w Bambuko, skąd uratował mnie cud i kiepska celność tubylców.

Tym cudem okazała się pewna jasnowłosa dziennikarka równie szybko strzelająca z "kodaka" jak z "remingtona", a jeszcze szybciej jeżdżąca terenowym wozem po amerykańskich bezdrożach.

Nie zostałem z Maud długo. Z urlopu na Maderze wróciłem bledszy niż po pobycie w niejednym więzieniu centralnym. Prawdę mówiąc, pani redaktor nie nadawała się na stałą partnerkę. Była zbyt podobna do mnie, zbyt ambitna, czasami nawet trochę niebezpieczna. W

kobietach poszukiwałem zazwyczaj ciepła i bezpieczeństwa.

Samokrytycznie przyznam, przymioty owe znajdowałem dosyć rzadko, częściej musiałem nader

rozpaczliwie szukać pistoletu pod poduszką.

Nie wiem, jak radzą sobie z pieniędzmi fikcyjni bohaterowie wagonowej literatury -

Bond, Baron, Święty? Na ogół są to ludzie znakomicie sytuowani. Może bywają lepszymi buchalterami niż ja. "Długi to moja specjalność" - mógłbym rzec parafrazując Marlowe'a.

Nieraz zdarzało się, że musiałem odmawiać ciekawych prac w Szwecji, gdzie na me pojawienie tylko czeka Urząd Podatkowy, czy omijać Holandię, gdzie komornik zajął mi mieszkanie. Prawda, honoraria mam duże, ale utrzymywanie czterech domów, kilkunastu kryjówek, opłacanie dublera, który stale występuje w mojej roli (w wariancie playbojskim) w rozmaitych Monakach, Las Vegas czy Hongkongach kosztuje. Podobnie jak sekretarki, radca prawny, stary rusznikarz, lekarz domowy oraz czeredka nieślubnych dzieci rozsiana dużym rozrzutem po zakamarkach świata. Cóż, jestem do tego stopnia przyzwyczajony, że nigdy nie wypieram się nawet bardzo problematycznego ojcostwa, tylko bulę.

Efekt oczywisty, bywa, że brakuje mi na taksówkę, i na spotkanie z koronowanym klientem czy potrzebującym pomocy premierem muszę udawać się metrem.

Z Funchalu wróciłem splukany jak spod prysznica. Szczęściem na lotnisko wyjechała Gabriela. Nie poznała mnie dzięki charakteryzacji i w pierwszej chwili omal nie zastosowała dżudżitsu, kiedy zniecka pocałowałem ją w kark.

- Oszalałeś, dziadku? Co za zboczeniec!

- To ja, Mart - rzuciłem cicho - a poza tym, moja panno, więcej szacunku dla dostojnej siwizny.

Naprawdę pocałowaliśmy się dopiero w jej Citroenie, po odklejeniu brody i wąsów.

- Dokąd jedziemy, do mnie czy do ciebie? - spytała z typową rzeczowością zawodowej sekretarki.

- U mnie spotkamy prasę, u ciebie twego wujka, a w jednym i drugim miejscu agentów Sarete, która z przyjaźni i z paru jeszcze innych powodów lubi czuwać nad każdym moim krokiem.

Pojechaliśmy do małego pensjonatu pod Wersalem. W trakcie kiedy Gabriela poszła się kąpać, zdjąłem marynarkę i otworzyłem szafę pragnąc ją powiesić. Niestety w szafie ktoś już wisiał. Oczy w słup, wywalony język. Gaston!!!

Nerwowo wykonałem skok do tyłu. I wówczas Gaston nie wytrzymał parsając śmiechem. Cholerny kawalarz!!! Gaston od paru lat jest mym europejskim agentem, z zawodu czy raczej z powołania pastor, jedyny, który orientuje się w moich aktualnych miejscach pobytu, przy czym, o ile wiem, ani prasie, ani policji nie znane są nasze wzajemne powiązania.

Gabriela wyszła z łazienki spowita w ręcznik kąpielowy. Na widok Gastona, który po wyjściu z szafy wyciągnął piersiówkę z domową naleweczką, powiedziała cierpko: - Nie wiedziałam, że zaprosiłeś mnie na przyjęcie? Gdyby ktokolwiek z państwa pragnął mych usług, winien skontaktować się z moją centralą, biurem "WD" w Genewie, prowadzonym przez Kurta Baumanna. Kurt przyjmuje oferty, selekcjonuje je, pobiera zaliczki, wypełnia stosowne dokumenty, organizuje kontakt, robiąc te interesy ze znanstwem wyniesionym z wielopokoleniowej tradycji rodzinnej. I to jest znane powszechnie. Jednak nikt nie wie, że i Baumann nie odszukuje mnie osobiście - robi to za pośrednictwem Gastona.

- Co masz? - zapytałem krótko.

- Napomnienie z powodu grzesznego trybu życia, widzę, że znów przybyło ci parę siwych włosów - powiedział pastora - poza tym ofertę.

- Dokąd?

- Ameryka Południowa!

Westchnąłem. Ledwo pozbyłem się ameby złapanej w Kenii...

- Kiedy miałbym zacząć?

- Wczoraj...

- Nie biorę. Należy mi się trochę wypoczynku. Absolutnie! Gaston wyjął z szafy kapelusz i czarny parasol, z którym nie rozstawał się nawet w bezchmurnym lipcu.

- Masz na hotel? - zapytał na odchodnym.

Pokręciłem głową.

Wystudiowanym gestem wyjął pugilares, starannie otworzył, odliczył pięćset franków, świeżych jak pościel na łóżku, i wręczywszy mi je, bez słowa skierował się ku drzwiom.

- Ile mogą zapłacić? - zapytałem, gdy sięgnął klamki.

- Komisarz Marquez reprezentuje miejscową administrację, a oni nie są skorzy do królewskich honorariów...

- Ile?

- Podwójna stawka plus koszty.

Udałem, że nie słyszę.

- Wspomniałem mu jeszcze o dodatku sezonowym, taksie klimatycznej i premii za sukces...

Jutro była sobota, można było pójść na jakiś spacer, od dawna chciałem obejrzeć muzeum w Wersalu, wieczorem marzyłem o teatrze, żeby wreszcie pożyć kulturalnie.

- Baumann twierdzi, że nasi wierzyciele koczują już na podwórku jego willi - dorzucił pastor.

Z zalem popatrzyłem na świeżą pościel i równie świeżą Gabrielę, wonną jak reklama kąpielowych gałek.

- O co chodzi temu Marquezowi? - spytałem.

- Tego nie wiem, komisarz jednak twierdzi, że pan stanowi dla niego ostatnią deskę ratunku.

Wychodząc z założenia, że pod latarnią najciemniej, umówiłem się z Marquezem w gmachu centrum telewizyjnego. Jest tam pewna toaleta damska na zapleczu amplifikatorni, w której absolutnie nie ma podsłuchu, a pracująca ze wszystkich stron aparatura elektroniczna skutecznie zakłóca możliwości namiaru kierunkowego czy satelitarnego.

Ubrany w kostium baletmistrza, z makijażem na twarzy, wszedłem do damskiej toalety i po zamknięciu drzwi przysiadłem na zlewie. Marquez wyglądał dokładnie inaczej, niż powinien wyglądać latynoski policjant. Ostrzyżony na jeża, blondyn bez zarostu, o czerwonych oczach albinosa. Mówił flegmatycznie, choć moje ucho wyczuwało w owej flegmie duże podenerwowanie.

- Sprawa jest bezprecedensowa, senior Willer. Jedenastego maja na terenie miasteczka uniwersyteckiego, w biały dzień, podczas przerwy obiadowej zaginął Pedro Rodriguez, zdolny student prawa, kawaler, nie powiązany ani z kołami opozycyjnymi, ani ze środowiskiem przestępczym. Wyszedł kupić pizzę i po prostu rozpląnął się w powietrzu. Nikt go odtąd nie widział, nie proponowano okupu... Cisza.

Z męskiej dobiegł gwałtowny szum spuszczonej wody. Komisarz ciągnął dalej:

- Dziesięć dni później z własnego mieszkania wyparował, bo trudno użyć mi innego określenia, Alonso Ribeira - młody fizyk. Musiał być tylko w pidżamie. Cała jego garderoba pozostała nienaruszona. Nie znaleziono żadnych śladów gwałtu. Spalił się jedynie czajnik.

Ribeira znikł w momencie, gdy przygotowywał sobie wieczorną herbatę...

Ktoś poruszył klamką. Niecierpliwie.

- Zajęte! - rzuciłem falsetem. - Niech pan mówi dalej...

- Potem znów półtora tygodnia przerwy. I kolejna ofiara. Marina Mendoza, 18 lat. Ale żadna pin-up - girl. Jeśli idzie o urodę, sama przeciętność albo i gorzej. Jej hobby to filozofia, aha, była szalenie aktywna w samorządzie szkolnym. Świeżo co przyjęto ją na studia... Zginęła na basenie.



Miała na sobie jednoczęściowy kostium. Jej ubranie i dokumenty znalezione w szafce... Oczywiście z basenu można wyjść do parku... Ale wszędzie było pełno ludzi. Trudno wyobrazić sobie uprowadzenie przemocą...

- Chyba, że po dobroci - mruknąłem.

- A wie pan, nasi eksperci uważają tak samo. Tu dodam, że we wszystkich przypadkach, a było ich w sumie dziesięć, scenariusze są podobne.

- Wszystkie ofiary rekrutowały się z uniwersytetu?

- Tak, ale to ostatnia cecha wspólna. Różne były wydziały, różny wiek: pracownicy, studenci, kilku z odległych o paręset kilometrów filii. Żadna z ofiar nie знаła się osobiście z drugą. Pochodziły z wielu grup społecznych i kręgów towarzyskich... Braliśmy pod uwagę, że sprawcą może być jakiś maniak pałający ślepą nienawiścią do Uniwersytetu Republikańskiego. Zbadaliśmy wszystkich relegowanych, zwolnionych pracowników, skłóconych naukowców...

- I co?

- I nic. Po kilku miesiącach śledztwa jesteśmy nadal w punkcie wyjścia. Nie wiemy nawet, czy porwani żyją, czy też... - dramatycznie zawiesił głos. - Ostatniego, Carlosa Lomasa, uprowadzono przed tygodniem.

Otworzyłem puderniczkę i wacikiem przejechałem po twarzy.

- Biorę tę sprawę, komisarzy! Ja i moja sekretarka udamy się do Montanii pojutrze, via Nowy Jork. Na wszelki wypadek jadę drogą okrężną i przybędę jako specjalista na kongres żywnościowy, który zdaje się właśnie obraduje na waszym uniwersytecie. Wystąpię, powiedzmy, jako ekspert od kukurydzy.

Wyszliśmy na korytarz. W blond peruce z kolczykiem w uchu, umalowanymi ustami i apaszką na szyi wyglądałem idiotycznie.

W drzwiach telecentrum mineliśmy śpieszący na nagranie młodzieżowy zespół

"miękkiego rocka". Lider o puciołowatej twarzy cherubinka najpierw spojrział krytycznie na mnie, później lustrował chwilę muskularną sylwetkę towarzyszącego mi mężczyzny.

Usłyszałem cichy szept piosenkarza:

- Szczęściara!

O Montanii mówiło się coraz więcej. Ten spory kraj o ogromnym przyroście naturalnym, do którego w niemałym stopniu przyczyniała się bogobojność tubylców i niski poziom miejscowej telewizji, bezsprzecznie wkraczał w nowy okres swych dziejów. Nie bez powodu żurnaliści lansowali slogan "Montania - dziewiąte mocarstwo", na razie jednak, jak by nie liczyć, pozycja republiki oscylowała między 36 a 89 lokatą w światowej statystyce.

W drodze do Nowego Jorku przejrzałem wszystkie dostępne materiały na temat montanijskiej przestępczości zorganizowanej, kanałów przerzutowych narkotyków, przejrzałem (pobieżnie) encyklopedyczny tom "Uprowadzenia w Trzecim Świecie" oraz monografię "Etyka terrorystów" ks. Paulo Ornatiego. Szczegóły porwań, jak i ustalenia dotychczasowego śledztwa miałem zamiar poznać na miejscu. W stosie kserokopii przygotowanych przez Gabriellę, która z ufnością niemowlęcia spała na moim ramieniu, znalazłem również odbitkę broszury "Incydenty nieznane, zjawiska niewytłumaczalne", z której wynikało, że 7,2% tajemniczych zaginięć idzie na karb UFO. Uśmiechnąłem się.

Należę do ludzi mocno stąpających po gruncie i wyjątkiem bywają jedynie trzęsienia ziemi.

Przeżyłem jedno na Sumatrze, 7 stopni w skali Rychtera, i wolałbym nie repetować. Nie znaczy jednak, że bym lekceważył jakiegokolwiek poszlaki. Swoje sukcesy w sprawach skomplikowanych, nie mówię tu o wypadkach prostych, w których mąż zarąbał żonę siekierą, a współnik wyrzucił kompana

przez okno - te mnie nie interesują, a więc powodzenie w sprawach złożonych zawdzięczam w dużym stopniu irracjonalnej wierze, że jeśli istnieje wersja najmniej prawdopodobna, ta właśnie okazuje się właściwa. I na tym bazując mogłem triumfować w śledztwach, przy których rutyna policyjna prowadziła w ślepy zaułek.

Nie nastawiałem się też z góry na jakiegokolwiek hipotezy. Wypieszczona koncepcja, której próbuje się następnie podporządkować fakty, działa niczym końskie klapki na oczy.

Jechałem na kolejną akcję z mózgiem czystym jak kawałek marmuru wypolerowany przez wodę morską. Nowy Jork przywitał nas znakomitą pogodą. Przecharakteryzowałem się, zmieniłem paszport i kupiłem hot dogi. Nazywałem się teraz Enrico Vermi, specjalista. od kukurydzy...

Idąc w stronę samolotu zwróciłem uwagę, że Gabriela utyka.

- Co się stało? - spytałem dziewczyny.

- Nawet nie zdążyłam ci powiedzieć; w trakcie twych wojaży miałam wypadek.

Musiałam się poddać operacji kolana.

- Bidula - szepnąłem. - Coś z samochodem? Zaczzerwieniła się.

- Wieszalam firanki i spadłam ze stołka... A łękotkę miałam naderwaną od dawna.

Przez megafony obwieszczono lot do Montanii stolicy Montanii... Swoją drogą, co za brak pomysłowości, by stolice państw nazywać tak samo, jak owe państwa. Przyśpieszyliśmy kroku.

Jak sięgnę pamięcią, lotnisko w Montanii zawsze znajdowało się w przebudowie.

Albo zmieniała się koncepcja architektoniczna, albo przychodziło trzęsienie ziemi i wszystko trzeba było zaczynać od początku. Ledwo skończyłem odprawę celną, gdy między szalunkami zaszczał głośnik:

- Doktor Enrico Vermi proszony jest o zgłoszenie się do informacji..

Zdziwiłem się. Nikomu nie wspomniałem, pod jakim nazwiskiem tu przybywam.

Gabriela stała o metr ode mnie... Z Marquezem byłem umówiony w pewnym bistro...

Czyżbym zapomniał czegoś w samolocie? A może ktoś był ciekawy, jak wyglądam?

Podszedłem do najbliższego automatu i wykręciłem numer informacji. Hall był pustawy, doskonale widziałem okienko, za którym okrągłutka Mulatka podniosła słuchawkę. Prawie w tym samym momencie barczysty Amerykanin w kraciastej marynarce szparkim krokiem przemierzył hall kierując się do informacji. Sekundę wcześniej zauważyłem niedużą teczkę pozostawioną obok okienka.

- Słucham, infor...

- Padnij, dziewczyno!!!

Nie wiem, czy zareagowała. Huk targnął halą, posypały się kawałki szkła. Z

Amerykanina pozostał tylko krwawy strzęp. Odezwała się syrena, ktoś krzyczał histerycznie...

Pociągnąłem osłupiałą Gabrielę w stronę taksówki. Miałem dowód, że w Montanii nie działa UFO, ale raczej ktoś biegły w pirotechnice. Ten ktoś wiedział już o moim przybyciu i zadbał, aby przywitaniu nadać należyłą oprawę.

Marquez był zakłopotany, o moim przybyciu wiedział jedynie jego zastępca, człowiek absolutnie pewny, oraz minister. Obaj jednak nic znali dnia ani godziny a zwłaszcza kierunku, z którego mogłem nadjechać.

- Może byliście śledzeni już od Paryża? - zauważył niepewnie.

- Zwykle wyczuwam, kiedy jestem śledzony! - powiedziałem.

Dwa następne dni upłynęły nam dość pracowicie. Odwiedziłem miejsca uprowadzeń, w większości z nich trudno byłoby wyobrazić sobie porwanie bez zaalarmowania licznych świadków. Wniosek - porywacze posiadali wystarczające argumenty, aby ich ofiary udały się wraz z nimi bez większego oporu.

Analizy życiorysów, kontaktów, wreszcie cech osobowych zaginionych nie wykazywały żadnych wyraźnych cech wspólnych. Poza tym, że byli to ludzie raczej młodzi, w jakiś sposób utalentowani, z tym że bardzo dobre wyniki w nauce miało tylko czterech studentów, trójka była żonatych, jednego podejrzewano o homoseksualizm. Marquez przydzielił mi dyskretną eskortę. Nie na wiele to się zdało. Na moście akademickim ledwie uskoczyłem przed rozpędzoną furgonetką, w Parku im. Simona Bolívara niecelny snajper strącił mi kapelusze, a w hotelowym pokoju pod łóżkiem przyczaił się jadowity skorpion.

Wyglądało, że nieznany wróg był znakomicie poinformowany o mych planach, szlakach, posunięciach... Czyżby Marquez grał na dwie strony?

W kartotece uniwersytetu poprosiłem o fiszki osobowe zaginionych. Jeszcze raz z oryginałów zapoznawałem się z danymi.

- A co to takiego?

Na marginesie kartonika widać było niewielką literkę D napisaną ołówkiem.

Obsługujący mnie urzędnik uśmiechnął się.

- Tak zaznaczamy, że pracownik lub student przeszedł test Diaza.

- Test Diaza, co to takiego?

Informator był nieco zawstydzony.

- To trochę dziwaczne hobby. Od chwili przejścia na emeryturę profesor Alberto Diaz zajmuje się horoskopami. Podobno naukowo. Rok temu wpadł na pomysł, aby postawić horoskopy wszystkim z uniwersytetu - twierdził, że ma to mieć wpływ na prognozowanie długoterminowe... Ponieważ był u nas kiedyś rektorem, nikt się nie sprzeciwił.

- Czy ma pan jego adres?

- Naturalnie.

Gabriela siedziała wewnątrz przydzielonego mi przez Marqueza kuloodpornego Cadillaca. Ponieważ uwielbiała prowadzić, pozwalałem jej na to. Sprawdziłem tylko, czy włączone jest radio i czy nikt nas nie śledzi, a potem podałem jej adres w ekskluzywnej dzielnicy willowej. Czułem się jak rybak, który widzi niespokojny ruch spławika. Brało!

Profesor Diaz był równie martwy, jak Juliusz Cezar, Napoleon czy moja rodzona babcia, którzy zeszli z tego świata już jakiś czas temu. Fakt, że był jeszcze ciepły, a krew z przeciętej aorty dopiero zaczynała krzepnąć, nie mógł istotnie zmienić jego ogólnego samopoczucia.

- Spóźniliśmy się! Znowu! - krzyknąłem wściekle do ubezpieczającego mnie sierżanta Borgesa. Przeskoczyłem ciało rozciągnięte na ścieżce i pobiegłem w stronę ogrodowego pawilonu. I tu kłęby dymu wraz z burzą płomieni upewniły mnie, że przybyłem za późno.

Najwyraźniej notatkom i zbiorom profesora przypadł w udziale los swego właściciela.

Mój aktualny stan najlepiej oddać można terminem - bezsilna wściekłość. Czułem się jak Syzyf po raz kolejny upuszczający swój kamień... Wiedziałem, że zabezpieczenie śladów, oględziny zwłok czy podpalonej pracowni mogę pozostawić Borgesowi i miejscowym technikom. Przeciwnicy byli profesjonalistami i naiwnością byłoby liczenie na ich pomyłkę.

Ich swoboda działania . wskazywała, że muszą mieć w Montanii silnych popleczników, a zdolność przewidywania moich posunięć graniczyła z jasnowidzeniem.

- Mam złe wiadomości, senior Willer - powiedział o godzinie 19.25 komisarz Marquez. - Duplikaty testów profesora Diaza ulotniły się z Biblioteki Uniwersyteckiej...

Trzeciego egzemplarza nie było.

Zagryzłem wargi do bólu.

Przez moment słycać było wyłącznie tykanie zegara. Przez kuloodporne szyby hotelowego

apartamentu nie przedzierał się najmniejszy nawet hałas z zewnątrz. Siedząca na pufie u mych stóp Gabriela popatrzyła na mnie pytająco wzrokiem zatroskanego psiaka.

- I co teraz?

- Pan naprawdę wierzy w te horoskopy? - odezwał się komisarz. - Przecież to niepoważne.

- Fakty świadczą o czymś przeciwnym... Komuś cholernie zależy, abym nie poznał przewidywanych losów porwanej dziesiątki...

- Teraz już zapewne ich nie poznamy - westchnął policjant.

- Skąd ten pesymizm, komisarzu? Ja nie rezygnuję łatwo - powiedziałem częstując go miętową landrynką. - Horoskopy mają to do siebie, że można je stawiać wielokrotnie.

- Ale Diaz nie żyje! Chciałby pan, aby jego badania powtórzyła jakaś Cyganka czy domorośli astrolog?

- Nie domorośli - powiedziałem dobitnie. - Znam człowieka prowadzącego najzupełniej naukowo identyczne badania jak ten biedaczyna Diaz... Mam już zamówione dokładne minutowe daty urodzin całej dziesiątki. Odbierzesz je, Gabrielo... - Tu podałem dziewczynie tekturkę z adresem. - Niedługo będziemy cokolwiek wiedzieć.

Kiedy drzwi zamknęły się za moją sekretarką, Marquez aż podskoczył.

- Czy to nie ryzyko wysłać ją samą? Jeśli nieznani dranie przewidują nasze ruchy, dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo!

- Jest pan pewien, może jeszcze landrynkę?...

Oficer poczerwieniał.

- Czy pan sobie kpi?

- Tylko spokój nas może uratować - stwierdziłem. Oczywiście proszę wysłać za Gabrielą ochronę. Ale dyskretną. A po odebraniu przez nią zamówionych danych - aresztować...

- Aresztować? Ależ...

- I nie spuszczać z niej oka ani na chwilę... - dorzuciłem.

- Nic nie rozumiem!

- Czasem lepiej nie rozumieć. Na razie nie mam dla pana żadnych innych informacji.

Teraz chciałbym się zdrzemnąć...

Wydaje się, że go obraziłem. Wstał, obciągnął mundur bąkając parę chłodnych słów pożegnania.

- W hallu zostawiam Borgesa - dorzucił od drzwi. - Dziękuję.

Zostałem sam. Wśród ciemnych myśli i złocistych tapet. Czekałem. Czy czułem się bezpieczny? Powinienem. Podchodząc do okna mogłem widzieć dwie sylwetki strzelców wyborowych przyczajone na dachu. Na ulicy stał ambulans, tajniacy czuwali na korytarzu i w hallu. Cała instalacja została gruntownie przebadana... Chociaż... Mimo świetnej klimatyzacji odczuwałem duszność. Czyżby skatowane tylekroć serce groziło strajkiem?

Wykręciłem numer baru i zamówiłem piwo... Czekałem kwadrans. Zapewne ochrona badała tak kelnerkę, jak zawartość puszek. Kiedy w końcu weszła urocza Kreolka, wiedziałem, że smakowałyby mi znacznie lepiej niż zamrożony Pilsner.

- Przyniosłam trochę więcej puszek - powiedziała podjeżdżając ruchomym barkiem do mego stolika. Otaczała ją niewidzialna, ale prawie namacalna otoczka ostrej kobiecości. Coś zgoła materialnego i tak diablo pociągającego, że na moment zapomniałem o normalnej czujności... Auu!!! Nie zauważyłem nawet, kiedy wydobyła spinkę z włosów i drasnęła mi pierś. Nie bolało, ale już po chwili uderzyła mnie fala gorąca. Kelnerka zachichotała i odskoczyła jak kotka.

- Tylko nie próbuj krzyczeć, Wielki Detektywie, bo nie przeżyjesz kwadransa.

- Trucizna? - spytałem głupio, czując, jak miękną mi nogi, a wzrok mętnieje.

- Mocna! - powiedziała swym niskim altem, teraz już bez krzty kokieterii. - Pośpiesz się, jeśli chcesz zobaczyć jeszcze kiedykolwiek wschód słońca. Czeka antidotum!

- A jeśli zawołam sierżanta?

- Wierzmy, że nie jesteś kretynem. Zanim ustalą truciznę i poszukają antidotum, będziesz zimniejszy niż cała Grenlandia. Twoja szansa to być posłusznym. Zjedź teraz do garażu i wsiądź do błękitnej Mazdy. Tu są kluczyki. Potem jedź prosto do najbliższego skrzyżowania... Masz na wszystko pięć minut.

Postąpiłem, jak kazała. A co miałem zrobić? Nawet jeśli był to tylko bluff mający na celu wywabienie mnie z idealnej twierdzy... Jeśli podobnymi patentami posługiwali się przy poprzednich porwaniach, tylko pogratulować. Teraz wiedziałem jedno. Chcieli mnie mieć, i to żywego.

- Zostańcie na miejscu - rzuciłem do podrywającego się na mój widok Borgesa. -

Wszystko jest w porządku. Wychodzę na chwilę.

Ogłupiały skinął głową. Kreolka zniknęła już gdzieś na korytarzu.

Wyznam, że już dawno nie śpieszyłem się tak przy wyprowadzaniu wozu, jak dziś. Z minuty na minutę czułem się gorzej. Mięśnie słabły, pot tryskał wszystkimi porami...

Czekali o dwieście metrów od hotelu. Ciemnozielona furgonetka. Wciągnęli mnie do środka, a tęgi Murzyn błyskawicznie wbił mi strzykawkę...

W głowie mi wirowało; zapadając w nirwanę usłyszałem jeszcze głos ciemnoskórego "sanitariusza":

- Grzeczny chłopczyk, bardzo grzeczny.

Było południe, a ja ciągle żyłem. Właściwie dopiero żyłem, jako że zbudziłem się z ciężkiego snu obolały, jakby przejechała po mnie brygada walców drogowych. Jako miejsce mej rekonwalescencji wybrano chłodny betonowy bunkier - wyglądający jak wszystkie bunkry na świecie bez względu na długość lub szerokość geograficzną, pod którą się znajdują.

- Jak się czujemy? - spytał szczupły, siwy Metys w ciemnych okularach.

- A pan? - odpowiedziałem równie uprzejmie. Zachichotał.

- Cieszę się, że nie opuszcza pana dobry humor. To powinno ułatwić nam transakcję...

- Będziemy czymś handlować? - ucieszyłem się.

- Tak - przerwał twardo - życiem! - Po czym znowu zachichotał.

- Życie, mam rozumieć, jest moje, natomiast warunki chcecie zapewne stawiać wy?

- Zawsze miałem wiele szacunku dla waszej inteligencji, senior Willer. Cieszę się, że pana nie zlekceważyliśmy.

- Proszę jednak się zdecydować, interesy czy uprzejmość?

- Dobra, do rzeczy. Odda pan te wszystkie dane o urodzeniach i poda nazwisko swego horoskopiarza, po czym zapomni o całej sprawie. A my nawet uregulujemy honorarium za Marqueza... Nie będzie pan stratny.

- To ciekawe propozycje - odrzekłem. - A gwarancje?

- Dogadamy się jak dżentelmen z dżentelmenem.

To już brzmiało mniej zachęcająco.

- Rad byłbym jednak dowiedzieć się jeszcze, skąd czerpaliście informacje o moich posunięciach. Gabriela?

Skinął głową.

- To skutek naszej przezorności. Wiedzieliśmy, że wcześniej czy później zwrócą się do pana. Skorzystaliśmy więc z okazji i podczas operacji kolana wszczepiono tam pańskiej sekretarce pewne

dowcipne urządzenie nadawcze. Później wystarczyło, by nasi ludzie sfałszowali wyniki rentgena i nikt się nie domyślił...

- Ja zacząłem, pod koniec...

- Za późno jednak, za późno.

- Tak - powiedziałem spoglądając na zegarek. - Najwyższy czas.

Rozległ się dźwięk dzwonka telefonicznego. Metys pochwycił słuchawkę, coś warknął. A potem coraz bardziej niemiał i niemiał, a ja z satysfakcją obserwowałem, jak jego twarz przechodzi przez wszystkie odcienie szarżyzny. Mimo grubych ścian słyhać było narastającą kanonadę.

- Już pan chyba wie, jesteście otoczeni - powiedziałem. Wszelkie nieodpowiedzialne próby, na przykład likwidacja mnie czy innych porwanych, bo jestem pewien, że macie ich w pobliżu, byłyby błędem. Nie uszlibyście z życiem.

A tak pewno was wymienię...

Parsknął ordynarnym przekleństwem, nie licującym ze statusem dyplomaty.

Odrzucona słuchawka opadła na widełki... Doszedłem do wniosku, że lepiej zrobię, jeśli będę mówił. Relacjonowałem mu więc w najłagodniejszych słowach, że zrobiłem wszystko, aby mnie porwali, bo tylko w ten sposób mogli doprowadzić policję na trop swej kryjówki. Że wprawdzie Gabriela posiadała ukryty nadajnik, ale ja też. Z odbiornikiem u Marqueza w biurku. Cóż, żyjemy w wieku elektroniki.

Kiedy w pół godziny później stałem razem z Marquezem i jego szefem na przełęczy, głębokiej satysfakcji towarzyszył chłodny wiatr pełen zapachu wolności i bezkresnych stepów. Skutych porwaczy ładowano do więziennych ambulansów; wyciąganymi z podziemi ofiarami zajmowali się lekarze. Ocaleni mrużyli oczy w słońcu, a ich blade twarze i przymknięte powieki przypominały jaskiniowe stworzenia od pokoleń przywykłe do bytowania w ciemności.

Pozostały do wyjaśnienia szczegóły. Stojący obok Marqueza mężczyzna z dystynkcjami generała słuhał milcząco mej relacji, a cała jego pobrużdżona twarz, na której odcisnął się wiek i wieloletnia praca wśród przedstawicieli marginesu społecznego, wyrażała rosnące zdumienie.

- Jak wiemy, metoda profesora Diaza, założmy, że potraktujemy ją absolutnie serio, zakładała możliwość stawiania horoskopów doskonałych, jubilersko precyzyjnych. A w zestawieniu danych wszystkich młodych ludzi z głównej uczelni kraju profesor widział szansę na przewidzenie historii przyszłości, i to dokładnej, nieomal z datami dziennymi. Hipotezę, że w układach planet, koniunkcjach i koncentracjach zawarty jest drobiazgowy schemat przyszłości, miało oczywiście zweryfikować życie. Profesora najbardziej niepokoiło, czy doczeka sprawdzenia, niemniej horoskopy stawiane na nowo postaciom z przeszłości znajdowały potwierdzenie w ich dziejach, inna sprawa, że gwiazdy nie poinformowały Diaza o własnej śmierci, z tego, co znalazłem w jego notatkach wiem, że przewidywał swój zgon w roku parzystym, jesienią...

- To by się zgadzało - zauważył Marquez.

- Ale podczas klęski żywiołowej.

- Oczywiście szarlataneria - powiedział generał. - Nie wiem, kto dopuścił do tej testacji.

A pan twierdził ponadto, że zna innych takich maniaków:

Uśmiechnąłem się.

- Moja opowieść o zaprzyjaźnionym astrologu była bluffem. Wiedząc, że jestem podsłuchiwany, musiałem jakoś zmusić ich, by mnie porwali, a jednocześnie zachowali przy życiu. Okropnie nie lubię umierania. Sięgnąłem po teczkę, jedną z kilkudziesięciu znalezionych w bunkrze. Diaz notował wszystkie dane staroświeckim, kaligraficznym pismem, którego znajomość wyniósł ze szkoły prowadzonej przez oo. jezuitów.

- Uważał, że ma klucz do przyszłości, chwalił się tym na prawo i lewo. Oczywiście szczegółowych danych nie ujawniał. Wszystko układało mu się w nadzwyczaj korzystną prognozę dla Montanii, która rzeczywiście w ciągu dwudziestu lat miała stać się mocarstwem.

I to głównie dzięki tej dziesiątce...

- Ostatni ambulans, do którego wniesiono gorączkującą Marinę Mendoza, właśnie ruszał. - Zresztą proszę zobaczyć. Rodriguez to przyszły wybitny prezydent Republiki, główny architekt jej mocarstwowej pozycji... Innymi filarami mają być Ribeira, który w roku 1999 dokona syntezy antymaterii, wyposażając swój kraj w superbroń. Marina Mendoza to przyszła twórczyni niezwykle panamerykańskiego ruchu...

Nieomal wyrwali mi te teczki z rąk. Mówiłem dalej:

- Nie znałem oczywiście tych prognoz. Wcześniej jednak zorientowałem się, że uprowadzenia są dziełem sekretnych służb ościennej Amirandy...

- Nie znaleźliśmy skutecznej metody na zapobieżenie ich infiltracji - westchnął generał. - Nasze uzależnienie ekonomiczne, ponadnarodowe koncerty... I tym razem pewnie nie pozwolą nam skazać tych złoczyńców... Ich szef ma papiery dyplomatyczne.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego naciągnięte hipotezy sklerotycznego naukowca, nie traktowane serio nawet przez jego współpracowników, do tego stopnia zaniepokoiły władze Amirandy.

- Nie zna pan tamtejszych stosunków - przerwał Marquez. - Amiranda mimo swej siły jest przewrażliwiona niczym ciotka hipochondryczka. Zapewne, gdyby się tam dowiedziano, że poprosiliśmy świętego Mikołaja o bombę atomową, natychmiast wysłałaby notę protestacyjną do nieba. Nie lekceważą niczego, co mogłoby w najmniejszym stopniu im zagrozić. A tolerowanie w pobliżu wyrastającej potęgi... Drogi Wielki Detektywie, nawet gdyby koncepcje Diaza były jeszcze mniej prawdopodobne, też potraktowano by je z uwagą.

Amiranda...

Nie dowiedziałem się, co więcej na temat ościennej Republiki miał do powiedzenia komisarz... Po zboczach poczęły sypać się drobne kamyczki, a w jaskrawej kuli słońca na bezchmurnym niebie pojawiło się coś bezwzględne. Głuche stęknienie. I nagle wszyscy trzej potoczyliśmy się po ziemi jak rozsypane ulęgałki. Łagodny stok zaczął ogromnieć nad nami niczym fala łamiąca się na płyciźnie. Widziałem jeszcze, jak terenowy wóz z sierżantem Borgesem odrywa się od ziemi i szybuje nad mierzwą roślinności gdzieś w dolinę. Moja montańska przygoda kończyła się gigantycznym trzęsieniem ziemi. Tego popołudnia zginęło kilkadziesiąt tysięcy Latynosów. Całe dzielnice Montanii legły w gruzach, długie dni trwały rozprzestrzeniające się pożary. Były zresztą i dalsze wstrząsy. Najwięcej zniszczeń zanotowano w dzielnicy uniwersyteckiej, w miejscu neobarokowych gmachów uczelni powstała gigantyczna szczelina, dymiąca siarką i piekłem. Zapadła się większość budynków miasteczka akademickiego. Dziesięciu uprowadzonych długo będzie błogosławić porywaczy.

Gdyby w momencie kataklizmu znajdowali się w swych normalnych miejscach pobytu, zapewne nie uszliby z życiem. Paradoks? A Diaz? Umarł tylko dzień przed terminem. Po całej jego posesji nie został nawet ślad.

Tak, to była pechowa wyprawa. Gabriela została ranna. Znowu w nogę. Na operację zabrałem ją do Europy, choć postanowiłem nie usuwać nadajnika, tylko najwyżej przestroić.

Nie dostałem żadnej gratyfikacji, po kataklizmie rząd Montanii ogłosił niewypłacalność.

Marquez z własnej kieszeni zapłacił mi za powrotny samolot. Na szczęście rachunek hotelowy przypadł razem z hotelem.

Obecnie wypoczywam. Sprzedałem jednego z moich Matisse'ów i przy gospodarności Gabrieli

może na dwa tygodnie starczy. Trochę rozmyślam; mój najstarszy syn (imię akurat wyleciało mi z głowy) wstąpił właśnie do college'u. Gdybym miał więcej czasu, na pewno intensywniej zająłbym się jego przyszłością. Postawiłbym horoskopy wszystkim jego rówieśnikom, a potem poradził, z kim powinien się zaprzyjaźnić. Znajoma wróżka, której sprawą rozwodową zajmuję się w wolnych chwilach, podała mi swoje typy na rok 2010 -

Herbert Cox, Kua - wej - tang, Matuso - kuei, Ram - Dasz - Har, Mahmed - al - Batisi, Andre Jade, Mateusz Wolski, Aleksy Pawlukow, Kurt Bergdorf... Jej metody trudno nazwać naukowymi, ale być może i w tym coś się kryje.

### **Przestępstwo i wyrok**

Właściwie tylko ten zegar nie daje mu spokoju. Po jaką cholere w zabytkowym gmachu zainstalowano supernowoczesny czasomierz pokazujący dni, miesiące, lata, a nawet święta państwowe? Czyż cała sprawa nie jest anachroniczna, ten gmach, ten trybunał, wreszcie on sam, Victor Morley, na ławie oskarżonych? Od pewnego czasu obecny jest tu jedynie fizycznie, jego myśl błąka się po czasie minionym, zupełnie innych miejscach i innych sprawach. Właściwie wszystko skończyło się w momencie aresztowania.

- Panie Morley, proszę się jeszcze zastanowić, milcząc pogarsza pan tylko swoją sytuację.

- Nie mam nic ciekawego do powiedzenia!

- Może pragnie pan skontaktować się ze swoim adwokatem?

- Dziękuję, ale naprawdę nie potrzebuję adwokata. Propozycji ugody było jeszcze parę, nie mogli pojąć, że niezależnie od grożących konsekwencji, nie miał zamiaru z nimi rozmawiać.

Na razie głos prokuratora obija się o wysoki strop, a każde słowo ma ostrość ćwieka przygważdzającego Victora do krzyża.

- Wysoki sędzie, sprawa, którą będziemy dzisiaj rozpatrywać, nie ma precedensu w całych dziejach sądownictwa. Wzbudziła ona wiele niezdrowej sensacji i różnych nieodpowiedzialnych głosów w prasie, a przecież wina oskarżonego Victora Morleya jest bezsporna. Każdy uczciwy obywatel spoglądający na siedzące obok nas indywiduum musi zadawać sobie pytanie - czy ogląda jedynie wielkiego formatu hochsztaplera, czy też cynicznego przestępcę przeciw ludzkości?

Jakże łatwo przechodzi im przez gardło słowo ludzkość. Co oni właściwie rozumieją pod tym określeniem...

- Vick - siedemnastoletnia Alice wpatrywała się w niego ogromnymi, sarnimi oczami -

Vick, powiedz, dużo jest ludzi na świecie?

- Nie zmieściliby się na tej łące - odpowiedział ze swadą.

Nawet gdyby stanęli warstwami jedni na ramionach drugich, aż po chmury...

- Naprawdę? A wiesz, czasami chciałabym być chmurką, tak wysoko. A ty kim chciałbyś być?

Chłopak popatrzył na siostrę i milczał. Powtórzyła pytanie - Jeśli ty chciałabyś być chmurką, Alice, to ja wolałbym być niebem, bo niebo jest wieczne.

- Co to znaczy wieczne?

- Nigdy nie umiera...

Oracja prokuratora przybiera na sile. Kreśląc życiorys oskarżonego zwraca uwagę na elementy pozerstwa i zawodowej megalomanii, które pojawiły się już z początkiem asystentury Morleya w Instytucie Nowej Terapeutyki.

Judasze kamer i argusowe oczka reporterskich aparatów śledzą najmniejsze drgnienie twarzy sądnego. Szczupła Martha z Agence France Presse niezmordowanie notuje coś w notatniku. Co ona właściwie pisze? - tekst prokuratora zostanie udostępniony agencjom. Jej blond włosy z lekkim rudawym połyskiem przypominają Victorowi pewien majowy dzień, o którym nigdy nie potrafił



zapomnieć, mimo że chciał i uważał to za słuszne. Dzień, w którym zauważył, że stracił Annę.

- Vick, wybierzmy się dziś do dyskoteki!
- Kochanie, czy nie rozumiesz, że to niemożliwe. Muszę być przy siódmej serii...
- Znowu nie wrócisz na noc?
- Będę około trzeciej.
- Nie tańczyłam już trzy miesiące, a wiesz, jak uwielbiam...
- Możesz przecież pójść sama.

Musiało być jeszcze sporo takich rozmów. Anna była studentką pierwszego roku.

Miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy poznał ją przypadkiem. Peter, jego kumpel z uczelni, poprosił go o zastępstwo na zajęciach w college'u. I tam zobaczył ją po raz pierwszy. Bardzo prędko Anna stała się częstym gościem w mieszkaniu Victora. Dużo starszy wiekiem i doświadczeniem, imponował dziewczynie. Nieszczęściem okazało się otrzymanie w tym samym czasie przez Morleya prawa do samodzielności doświadczeń. Kochali się pośpiesznie, byle jak, w krótkich przerwach między kolejnymi seriami doświadczeń. Laboratorium wygrywało z sypialnią.

Gdyby mógł pobrać się z Anną, być może wszystko potoczyłoby się inaczej, ale niestety doktor Morley posiadał żonę, mieszkającą wprawdzie na Wschodnim Wybrzeżu, za to kategorycznie nie zgadzającą się na rozwód... Przynajmniej wówczas.

- Ann, gdzie byłaś aż do rana?
- Tańczyłam, bawiłam się, szampana piłam.
- Troszkę przesadzasz.
- Kocham życie, Vick, a ty nie potrafisz żyć pełną piersią...
- Powiedziałaś coś o życiu, Anno. A czy ty sobie w ogóle uświadamiasz, co to jest życie? Czy kiedykolwiek usiłowałaś zdefiniować jego istotę...?
- Wykładów mam dość w uczelni! A życie, Vick, polega na korzystaniu z uroków świata, póki jest się młodym i zdrowym. Potem bywa za późno.
- Dlaczego za późno?
- Ponieważ nic nie trwa wiecznie...
- Tak uważasz?
- Znowu zaczynasz swoje opowieści... Daj spokój, Vick. Jestem senna. Nie całuj mnie. Nie chcę.

Wyrzucił ją, gdy dowiedział się, że żyje z Peterem. Uprzedził fakty. Prawdopodobnie odeszłaby sama. Teraz tamci mają dwójkę wspaniałych dzieci. Właściwie fajnie się złożyło, zostając sam mógł bez przeszkód oddać się pracy. I tylko ból. Mimo że upłynęło sporo lat.

Ćmiący ból nękał go długo, a w chwilach apatii czy po paru whisky wypełzał jak wąż z nory.

Ból i mgliste przeświadczenie, że ominęło go coś bardzo ważnego, ważniejszego może nawet od odczynnika ypsilon.

Jest trzynasta pięćdziesiąt. Interesujące, czy zdecydują się na jakąś przerwę obiadową?

Głos oskarżyciela rześki i wypoczęty bynajmniej tego nie zapowiada:

- Nie jest dziś moim zadaniem oskarżać tych, którzy w porę nie przeciwstawili się dążeniom docenta Morleya, którzy dali się uwieść jego hipotezom...

Wzywają profesora Andrewsa. Bardzo posunął się od czasu przejścia na emeryturę.

Ma wyraźne kłopoty ze słuchem, ręce drżą chorobliwie. Starość. Parszywa rzecz starość!

- Czy świadek poznaje wśród obecnych Victora Morleya?
- Tak jest, to ten.
- Czy świadek mógłby nam powiedzieć, jakie kontakty miał z oskarżonym?

- Przez jedenaście... nie, dwanaście lat Victor... znaczy pan Morley, pracował w moim instytucie. Początkowo jako asystent, później kierownik laboratorium. Kiedy go przyjmowałem, posiadał znakomite rekomendacje, pewien dorobek naukowy... Do dziś, Wysoki Sądzie, nie mogę odżalować tego kroku.

"Profesorze Andrews! Mistrzu, a gdzie twoja odwaga cywilna?" Reporterzy odnotowują pewien cień uśmiechu na twarzy Morleya.

Kiedy to było? Wczesną zimą, która tak dała się we znaki gajom pomarańczowym na wzgórzu uniwersyteckim?

- Drogi chłopcze, muszę powiedzieć, że jestem z ciebie bardzo zadowolony. Twoje osiągnięcia przynoszą chlubę instytutowi. Twoja praca doktorska wzbudziła zainteresowanie na kongresie w Vancouver...

Morley spojrzał prosto w oczy profesora. Promieniowały życzliwością. Odważył się.

Zaproponował rezygnację z zasłużonego urlopu oraz poprosił o zgodę na zmianę profilu badań.

- Zmiana? Po co? Drogi przyjacielu, byłoby to nonsensem, twoja kariera rysuje się teraz tak wspaniale!

- Nie myślę o karierze, panie profesorze... ale chciałbym spróbować coś samemu...

mam pewne hipotezy, trochę dowodów... Nie wspominałem o tym dotąd, ponieważ nie chcę uchodzić za szarlatana...

- Mów może trochę jaśniej, bo na razie mam prawo sądzić, że przyszedłeś, aby podjąć pracę nad "kamieniem filozoficznym".

- Muszę sprostować. Mam raczej, jeśli pozostaniemy przy alchemicznej terminologii, niezły pomysł na "eliksir życia".

- Nie mam zamiaru, Wysoki Sądzie, pomniejszać wagi mego błędu. Niestety, dałem posłuch bałamutnej hipotezie... Ale chyba każdy na moim miejscu postąpiłby tak, jak ja.

Nawet jeśli istniała minimalna szansa rozwiązania problemu ludzkiej nieśmiertelności, musieliśmy spróbować... Dotychczasowe osiągnięcia Morleya nakazywały branie jego koncepcji poważnie... Profesor Andrews mówi dość pewnie. Ale nie patrzy na salę. Ani razu nie spojrzał na Victora. Stary, zmęczony człowiek. Czasem tylko jego słowa nabierają elementów bardziej emocjonalnych. Wówczas, gdy mówi o swej sympatii dla Morleya. O

zaufaniu. Martha z Agence France Press zanotuje nawet: "Skąd tyle umiejętnie maskowanej nienawiści w tym starcu?"

Czas jest zaskakującym scenarzystą - rozprawa odbywa się dokładnie w dwa lata po tym radosnym dniu, kiedy Andrews i Morley całowali się jak para przyjaciół po wieloletniej rozłące.

- Gratuluję, doktorze! Naprawdę to wspaniale. Nie wierzę własnym oczom. Te dowody rzucają na kolana tę hołotę niedowiarków. Potrafił dojrzeć pan to, czego nie udało się zobaczyć nikomu od początków dziejów ludzkości. Czego być może domyślał się Paracelsus!

Morley uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

- Przed ogłoszeniem wyników chciałbym, aby pan profesor zwrócił uwagę na słabe punkty...

- Zostawmy dziś sprawy drugorzędne, liczy się to! Wyodrębnienie genu śmierci!

Praktycznie zahamowanie procesu starzenia...

- U niższych zwierząt.

- Białko jest białkiem, niezależnie, czy pochodzi z ośmiornicy, czy z prezydenta USA.

Rzucimy świat na kolana.

- Ale są podstawowe trudności. Przeprowadzenie doświadczeń na zwierzętach wyższych, nie mówiąc o ludziach, wymagałoby funduszy parokrotnie przewyższających budżet instytutu.

Uśmiech profesora wskazywał, że jest to problem do przeskoczenia. Szef Instytutu Nowej Terapeutyki co weekend grywał w golfa z Ministrem Zdrowia Powszechnego.

Zegar, ten zegar. Przeskakujące nieubłagane płatki minut. Morley zdaje się nie zwracać uwagi na nic poza czasomierzem. Nawet nie odwrócił głowy w stronę świadka oskarżenia. Prokurator zadaje pytanie:

- Czy mógłby świadek sprecyzować dokładniej nie przebiegające w środkach metody przymusu, do których uciekał się oskarżony, aby wyłudzać kolejne kwoty. W jaki sposób zmusił do przeprofilowania pracy całego instytutu na tak nieprawdopodobny program

- Mam nadzieję, że jeszcze wypowiedzą się biegli. Niestety, ewidentnie fałszowane wyniki doświadczeń zostały przez pana Morleya zniszczone. Aprobując jego działania opierałem się na mylnych danych. Jętki jednodniówki żyjące miesiącami, brak objawów starzenia się u myszy...

Nie wiedziałem, że egzemplarze doświadczenia były podmieniane!

- Podmieniane?!

Szmer przetacza się przez salę. Wszystkie oczy koncentrują się na szczupłej postaci doktora. Zaprzeczy? Nie zaprzeczy? Morley jednak nie odrywa oczu od zegarowej tarczy.

- Doktor Morley wykorzystywał jeszcze inny atut. Znając mój głęboki patriotyzm, wspominał, że jeśli nasz rząd odmówił kredytów, zwróci się do innego państwa. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak ważnym środkiem militarnym mógłby stać się, gdyby okazał się możliwy do wyprodukowania, preparat nieśmiertelności.

Mało, że hochsztapler, jeszcze zdrajca. Stanowczo Victor nie wzbudzi sympatii czytelników popołudniówek. Żałosna postać. I gdyby jeszcze nie te miliardy roztrwonionych pieniędzy podatników...

Nieoczekiwanie włącza się sędzia:

- Mam pytanie do świadka. W prasie pojawiły się insynuacje o pewnych rodzinnych powikłaniach, chodziło o pańską córkę...

Głos Andrews lekko drży:

- Moja córka nie miała nic wspólnego z doktorem Morleyem!

Przez okna, mimo spuszczonej żaluzji, wdziera się natarczywy dźwięk antylskich cykad, przypominający jęk blachy falistej na wietrze. Włosy Joan pachną piękniej niż kolorowe kwiaty hibiskusa, olbrzymie jak księżyc nad Martyniką. Ich pierwszy wspólny urlop. Krótka przerwa w doświadczeniach, która pozwoliła im na bajeczny tydzień. Morley był już wtedy po rozwodzie. Joanna Andrews od czterech miesięcy pracowała w jego laboratorium. Taka sama pasjonatka jak on.

- Jestem szczęśliwy, Victorze, mogąc powierzyć ci tę nową asystentkę. Piąta lokata w tym roku wśród dyplomantów Berkeley - powiedział ojciec lekko wzruszony.

Romans nie zaczął się szybko. Ciemnowłosa, trochę przypominająca bizantyjskie madonny, Joan była w pracy osobą zasadniczą i oschłą. Jej piwne oczy rozjaśniały się dopiero, gdy analizowała pozytywne wyniki, gdy wbiegała do pokoju Victora ze świeżym wydrukiem komputera. Morley również nie od razu dostrzegł w niej kobietę. Pracował

dwadzieścia godzin na dobę, a miesiące drak poprzedzające rozwód z żoną napełniły go taką niechęcią do płci przeciwnej, że wydawało mu się niewiarygodne zaangażowanie w stosunku do kogokolwiek. Więcej, we wzajemnych kontaktach z panną Andrews pojawił się pierwiastek pewnej niechęci, ba, rywalizacja - on lubił pouczać, ona chwalić się przerabianym materiałem.

A potem przyszedł ten dzień. Właściwie noc, kiedy zdobyli pewność, że proces starzenia się trzydziestoletniego szympansa został zahamowany. Szampan. Dwa szampany.

Potem upadek ze schodów. Skaleczył rękę. Joan odwiozła go do domu, opatrzyła. Przegadali

prawie całą noc o życiu, ani słowa o szympansie! Nad ranem zasnęła na kozetce w odległości wyciągniętej dłoni. Ale bał się wyciągnąć tę dłoń. A potem, w południe, kiedy wzięła kąpiel i wyszła z łazienki w jego starym szlafroku i zapytała: - Podobam ci się, Vick?

Zapomniał o wszystkich urazach, kompleksach i postanowieniach. Zaprzagnął jej natychmiast.

- Daj słowo, że się nie zakochasz, to zostanę z tobą.

Odmówił. Mimo to została.

Karaiby przyniosły pogłębienie ich związku. Stanowiły krótki moment autentycznego szczęścia, jakie stwarza miłość ludzi dojrzałych, świadomych kunsztu i sensu wzajemnego uczucia. Był to również okres najwspanialszych marzeń. Wierzyli, że już za rok ludzkość skorzysta z wynalazku, że rozpocznie się niepowstrzymany pochód życia, raz na zawsze znoszący zmorę przemijania. Geny śmierci po poddaniu ich działaniu odczynnika ypsilon nie regenerowały się. Jakaż wspaniała perspektywa otwierała się przed ludzkością uwolnioną od miecza Damoklesa, od kary śmierci dotąd warunkowo tylko odroczonej w momencie przyjścia na świat.

Adwokat przypomina Humpty Dumpty z baśni Lewisa Carrola. Głos ma piskliwy adekwatnie do figury, a okulary gruboszkliste w złotej oprawie. Jest obrońcą z urzędu, jednakże cechuje go poważny stosunek do swego zadania. W jego notesiku piętrzy się siedem pytań, które zamierza zadać profesorowi Andrewsowi. Nieszczęśliwemu, łatwowiernemu naukowcowi, który stał się ofiarą szarlatana, który hodował na swym łonie węża Eskulapa, będącego zakamuflowanym grzechotnikiem.

- Pytania, które pragnę zadać, wypowiadam z przeświadczeniem, że prowadzą one wyłącznie do poznania prawdy, która jest wśród dóbr publicznych wartością najwyższą.

Wśród zeznań profesora Andrewsa znalazłem parę drobnych nieścisłości. Świadek zeznał, że jego córka nie utrzymywała intymnych kontaktów z oskarżonym. Nie zaprzeczy pan, że w okresie, kiedy była pracownicą instytutu...

Podrywa się oskarżyciel.

- Wysoki sędzie, pytania mego kolegi nie dotyczą tematu. Wnoszę o ich uchylenie.

- Wysoki Sędzie, obrona ma chyba prawo... - słowa adwokata cichną ucięte szeptem Morleya:

- Proszę nie zadawać takich pytań!

Humpty Dumpty wzrusza ramionami, sędzia uchyla pytanie.

Zdenerwowanie doktora zaskoczyło profesora Andrewsa. Pora na wizytę też była nie najodpowiedniejsza. Środek nocy.

- Czy coś się stało, Victorze?

- Jestem przerażony!

W głosie wynalazcy słychać rzeczywistą obawę.

- Mów, mój drogi.

- Dotychczas nie zajmowaliśmy się kosztorysem. Teraz jednak, kiedy wkraczamy w decydującą fazę, nie sposób chować głowy w piasek. Mam wyliczenia.

- Ile?

Przez moment Morley bał się odpowiedzieć. Wreszcie wykrztusza. Pięć milionów na jednego pacjenta, nie licząc standardowych kosztów szpitalnych. Andrews nie wierzy.

- Kiedy rozkręcimy leczenie, cena się obniży.

- O 20%. Nie wyobrażam sobie tańszej produkcji odczynnika ypsilon. I to w ciągu najbliższych kilkunastu lat. Nie będziemy mogli zapewnić nieśmiertelności wszystkim.

Profesor nie wydawał się zaskoczony.

- Kto mówi o wszystkich? Chociażby z przyczyn demograficznych byłoby to ze wszech miar nie wskazane. Nasz świat cierpi na przeludnienie. Zresztą iluż naprawdę zasługuje na nieśmiertelność!

Gawędziłem na ten temat z moim przyjacielem Ministrem. Jest przygotowany na to, że zabieg pozostanie elitarny. W pierwszej kolejności poddamy kuracji tych, którzy najbardziej potrzebują...

- Przy najbardziej optymistycznych danych możemy marzyć o dziesięciu pacjentach rocznie.

- To już jest coś. Minister zaproponował następujące rozwiązanie, połowę miejsc przeznaczy się dla tych, którzy zapłacą za zabieg podwójną cenę, drugą połowę przeznaczymy dla pacjentów z puli centralnej. Mamy już wstępną listę na najbliższe lata.

Victor pobladł. Oszłomiony zadawał sobie pytanie, jak było możliwe, że nie brał pod uwagę takiego obrotu spraw wcześniej. Marzył o szczęściu dla wszystkich, może na razie, w okresie rozruchu, dla najwybitniejszych artystów i naukowców, tymczasem miał unieśmiertelnić multimilionerów i polityków.

- Ależ, profesorze, my nie możemy tak postąpić! - wykrzyknął. - Nie można nieśmiertelności sprzedawać za pieniądze czy rozdzielać jak stanowiska.

- Uważasz się, mój złoty, za nowego Prometeusza? Serdecznie gratuluję samopoczucia, ale proszę nie zapominać, że jesteśmy pracownikami agencji rządowej. Nie możemy bawić się na własną rękę w świętych Mikołaji. Wydane zostały ogromne pieniądze.

Prasa zaczyna interesować się naszym utajnionym programem. Zresztą, jak pan wyobraża sobie rozdzielanie promess na zabiegi?

- Może losując...

- Totalizator nieśmiertelności. Stanowczo masz zbyt duże poczucie humoru.

- Nigdy nie przestanę sobie wyrzucać własnej łatwowierności. W ostatnich tygodniach przed rzekomym finiszem zachowanie Morleya było więcej niż podejrzane. Prawdopodobnie czuł, że zbliża się koniec mistyfikacji... Sędzia przerywa na moment wypowiedź profesora Andrews.

- Jakie więc były, zdaniem pana, motywy postępowania oskarżonego, jeśli nie wierzył w powodzenie swego doświadczenia...?

- Moim zdaniem absolutnie materialne. Przez jego ręce przechodziły wielkie pieniądze, kto wie, ile z tego trafiło na prywatne konta jego lub wspólników.

- Na to nie ma żadnych dowodów - podrywa się adwokat.

- Tak, nie ma na to dowodów - mówi spokojnie profesor - i przepraszam pana Morleya, jeśli oskarżyłem go niesłusznie. Istnieje jeszcze druga możliwość. Ślepa wiara w swoją teorię i brak odwagi, aby przyznać, że od początku była chybiona. To się zdarza. W

każdym razie jego stan psychiczny był wówczas opłakany. Najbliżsi współpracownicy nie mogli się z nim dogadać. Moja córka wzięła urlop, żeby tylko nie stykać się z tym osobnikiem. Na moment mięśnie twarzy Victora sztywnieją, ale już po chwili rozprężają się w apatycznym bezkształcie. Czy właściwie mógł się dziwić postawie starego naukowca?

Ostatnie tygodnie prób Morley spędził w laboratorium sam. Czuł się jak długodystansowiec pokonujący ostatnie okrążenie. Był tak rozemocjonowany, że dopiero po dwóch dobach dostrzegł nieobecność Joan. Zadzwoił. W willi profesora nikt nie odpowiadał.

Trochę to go zdenerwowało, nie mógł jednak opuszczać zakładu. Zadzwoił do przyjaciółki swej asystentki. Nie widziała Joan od trzech dni. Coś się stało.

Telefon o północy i znajomy głos sprawiły mu ulgę.

- Vick...

- Nareszcie. Co się z tobą dzieje, kochanie? Nie przychodzisz do pracy, nie odbierasz telefonu.

Odpowiedź była krótka. Ojciec! Stary Andrews wręcz oszalał. Postanowił nie wypuszczać córki z domu, póki Morley nie zmieni zdania i nie zgodzi się na pierwszą grupę pacjentów.

- Nie mogę ustąpić, Joan. Byłoby to sprzeniewierzeniem się własnym przekonaniom.

Czasami w ogóle żałuję, że odkryłem odczynnik ypsilon.

- Co więc zrobisz?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że i u nich zwycięży rozsądek. Jeśli zgodzą się na nieśmiertelność dla najlepszych, jeśli zwiększą fundusze, może za parę lat będziemy mogli dawać wieczne życie bardziej egalitarnie...

- A co z ochotnikiem?

Dwa tygodnie wcześniej wyznał jej, że znalazł ochotnika, który na próbę podda się zabiegowi. Jego nazwisko zachował w tajemnicy. Andrews w ogóle nie wiedział o tym eksperymencie.

- Zabieg udał się - odpowiada Morley. - Ten człowiek jest już nieśmiertelny. Kiedy jednak my się zobaczymy...? Joan tłumaczy, że na razie to niemożliwe, potem nagle rozmowa zostaje przerwana. Victor próbuje dzwonić. Sygnał - zajęte! Nalewa z termosu kawy i wraca do swych zabiegów.

Adwokat odwiedził go wieczorem w celi. Jak należało się spodziewać, rozprawę zamierzano zakończyć dopiero w dniu następnym. Saul Mayer nie taił swego zdenerwowania.

Nawet występując z urzędu nie lubił klientów, którzy nie chcieli z nim współpracować.

- Niepotrzebnie pan się denerwuje, mecenasie - mówi cicho Morley. - Wszystko zostało rozstrzygnięte długo wcześniej. Nie powinien pan się w to w ogóle angażować.

- Mimo wszystko jestem człowiekiem. Ponadto interesuje mnie pańska konstrukcja psychiczna. Skąd w panu tyle rezygnacji? Rozumiem, dużo przeżyć, lekarze jednak twierdzą, że jest pan zdrowy. Trzeba więc się otrząsnąć, bronić! Nie wolno zgodzić się na rolę kozła ofiarnego! Proszę mi pozwolić rozprawić się przynajmniej z tą gnidą.

- Z kim?

- Z Andrewsem. Pan najwyraźniej go osłania. A przecież stary drań sprzedaje pana bez skrupułów. O niczym nie wiedział! Umywa ręce! Nie chce się pan bronić, pana sprawa, ale niech przynajmniej on dostanie za swoje. Nie zgodził się pan na świadków obrony, proszę przynajmniej pozwolić mi na prezentację tej kasety.

- Co to jest? - Victor spogląda na płaskie pudełeczko.

- Pewna rozmowa profesora Andrewsa nigdy nie udostępniona opinii publicznej. Tak jak nigdy nie miano ujawnić prawdy o zabiegach, aby nie stwarzać dodatkowych napięć społecznych. Moja sprawa, jak zdobyłem kopię. Chce pan posłuchać?

Nie czekając na odpowiedź obrońca uruchamia mały magnetofon.

"Nie będę ukrywał, panowie, bliski jest ten historyczny dzień finału badań, przeze mnie zainicjowanych i prowadzonych przez specjalną sekcję instytutu. Metoda, o której panom wspomniałem, pozwoli po jednorazowym zabiegu, niszczącym geny śmierci, na przedłużenie życia pacjenta w nieskończoność.

- Czy będzie to nieśmiertelność absolutna? - odzywa się nieznajomy głos.

- Nie sądzę, byśmy mogli wykluczyć nieszczęśliwe wypadki, samobójstwa czy morderstwa. Twierdzą jedynie z całą mocą, że u człowieka, który przejdzie naszą kurację, zostanie zahamowany zegar biologiczny, samopowtarzanie komórek przebiegać będzie w nieskończoność. Ba, wyrastać będą na nowo zużyte zęby, zniknie zjawisko łysienia, przytępienia słuchu i wzroku. Dodam, że automatycznie nastąpi uodpornienie organizmu na choroby zakaźne, nowotworowe czy krążeniowe. Ba, dochodzić będzie nawet do pełnej regeneracji komórek nerwowych, co dotąd nauka kategorycznie wykluczała...

- Podobno dokonano już pierwszego zabiegu. Co z tym szczęśliwcem?

Głos profesora traci pewność siebie, można by domniemywać, że dyrektor instytutu nie ma na ten temat bliższych danych. Obraca pytanie w żart.

- Poznamy go po tym, że nas przeżyje!

Wybuch śmiechu".

Saul Mayer zatrzymuje nagranie.

- Zobaczymy ich miny jutro.

- Nie zobaczymy - odpowiada cicho Morley. - Nie zgadzam się na ujawnienie tej taśmy.

- Pan jest naprawdę patentowanym osłem! - wrzeszczy adwokat. - Grozi panu więzienie, z którego nie wyjdzie pan do końca życia!

- Chce mi się spać! I panu też życzę kolorowych snów.

Sala jest poruszona. Nie, nie chodzi nawet o to, że za chwilę finał. Kto żyw studiuje tekst ostatniej nowiny, z którą Agence France Presse ubiegła swe amerykańskie konkurentki.

Dzielna Martha! Znalazła świadka, jednego z laborantów Instytutu Nowej Terapeutyki.

Twierdził on z uporem, że uczestniczył w przygotowaniu do zabiegu unieśmiertelnienia. Jest pewien, że docent Morley taki zabieg przeprowadził i wobec tego żyje na ziemi jeden człowiek równy bogom. Nagłówki pism zwracały się do niego wielkimi literami. "GDZIE

JESTEŚ, NIEŚMIERTELNY?" "RATUJ SWEGO DOBROCZYŃCE!"

Nikt nie wierzy w prawdziwość rewelacyjnego zeznania, niemniej wszyscy czujnie wpatrują się w tłum, który niczym mielonka z maszynki do mięsa wygniata się przez wejście do sali sądowej. Gdybyż się zjawił. Mój Boże, cóż to byłaby za sensacja!

A gdzie jest myślami Victor Morley? W laboratorium. Jak zwykle w swoim laboratorium tamtego fatalnego dnia.

Po ostatniej rozmowie z profesorem nerwy docenta były napięte jak druty trakcyjne podczas mrozu. Stary od prośb przeszedł do pogróżek. Żądał podporządkowania się wymaganiom władz i przygotowania pawilonu dla pierwszych wybrańców. Wynalazca nie zamierzał ustępować.

Przebieg zdarzeń owego wieczoru jest dość znany. Około ósmej zamykają się drzwi za ostatnim ze współpracowników Centralnego Pawilonu i Victor pozostaje sam. O ósmej piętnaście rozpoczyna skromną kolację. O ósmej czterdzieści odbywa krótką rozmowę telefoniczną z dyrektorem Departamentu Zdrowia. Treść rozmowy nie jest znana, sekretarka dygnitarza utrzymuje, że Morley zdradzał silne podenerwowanie. Wreszcie dziewięta dwanaście... Kolejny telefon.

- Słucham, Morley.

- Mówi Rimley - wynalazca poznaje głos kierowcy i po trosze goryla profesora Andrewsa. Inna sprawa, że dziś głos brzmi dziwnie, trochę histerycznie.

- Słucham.

- Panienska prosiła, żebym zadzwonił - jąka się Rimley prosiła, żebym ostrzegł pana.

Mają zamiar zmusić pana do oddania laboratorium i notatek, nie cofną się przed niczym. Są w drodze...

- Kto? - Victor ocenia pogroźkę za realną, fakt jednak, że telefonuje zaufany człowiek profesora, powoduje wzmożenie czujności.

- Wie pan doskonale kto. Tyle miałem do przekazania.

- Dlaczego Joan nie zadzwoniła sama, mógłby ją pan przecież dopuścić do telefonu.

- Nie mogę... - jest w słowach goryla ton tak dziwny, niepokojący, że Morley ponawia pytanie, dlaczego?

- Kiedy dowiedziała się o planie... chciała pana ostrzec. Uciec. Otworzyła okno, wyszła na parapet. Pośliznęła się...

- I co? Na miłość boską! To przecież tylko pierwsze piętro...

- Na dole jest ogrodzenie, ostre stalowe pręty w kształcie lilii. Spadła... Zdążyła jeszcze

powiedzieć, żebym pana ostrzegł. Musiałem...

Szloch.

Machinalnym ruchem Victor odkłada słuchawkę.

W superkomputerze pokrytym jego czaszką przebiega burza reakcji, twarz nieruchomieje. Minutę potem rusza do działania. Dwa kanistry z benzyną. Notatki, retorty...

Cały zapas odczynnika ypsilon.

Jężory ognia ogarniają pawilon. Ukochane dziecko Morleya. Z głuchym hukiem eksplodują pojemniki z odczynnikami. Wynalazca nie ucieka. Jest przekonany o słuszności swej decyzji. Wie, że nieśmiertelność nielicznych byłaby dla ludzkości prawdziwą puszką Pandory, źródłem konfliktów, podziałów i wielkich dramatów tych, którym nie dane byłoby zostać wybranymi. Strażom pożarnym udało się uratować Morleya, natomiast z laboratorium zostało tylko trochę zadymionych szczątków.

Akta przechowywane w archiwum profesora Andrews'a okazały się celowo zniekształcone. Tajemnica nieśmiertelności kryła się już tylko w mózgu odkrywcy. Czegóż nie robiono, aby ten mózg przejrzeć! Wielogodzinne przesłuchania i testy psychiatryczne.

Prośby i groźby. Zachęty i obietnice. Kuszenie miłości własnej i roztaczanie perspektywy więziennej samotności. Morley oparł się wszystkiemu.

Gdzieś w sobie ochronił maleńkie enklawy wspomnień, wyidealizowane światy przeszłości. Tym żył. A czasami nawet potrafił się uśmiechać.

Tak i teraz, kiedy przed trybunałem odważano jego los. Biedny wariat - osądzało 99 procent zgromadzonej publiczności.

Nieśmiertelny nie zjawił się w sukurs.

Oskarżyciel ponowił zarzuty - wspomniął o zmarłym podczas pożaru laboratorium jednonogim dozorczy, o dwóch ciężko poparzonych strażakach. Mimo protestów Andrews'a (cóż za szlachetność) nawet śmierć Joan miała obciążyć hipotekę moralną naukowca -

szalbierza. Adwokat ripostował blado. Mówił o niejasnościach i wątpliwościach motywacyjnych, usiłował skłonić sąd do zawieszenia sprawy i zezwolenia Morleyowi na dłuższą kurację. Aż wreszcie łamiąc wcześniejsze ustalenia wykrzyknął dramatycznie:

- Victorze Morley, rozumiem, że przeżył pan wiele, że ugiął się pod ogromnym brzemieniem nacisków i odpowiedzialności, o wiele nie proszę, uczynić jedno zdradź nazwisko swego pacjenta, na którym dokonałeś zabiegu. Personel potwierdza, że nad kimś pracowałeś, choć nikt nie widział kurowanego. Powiedz, czy to prawda. Czy istnieje nieśmiertelny?

Wszystkie głowy, nie wyłączając sędziego i oskarżyciela, kierują się w jedną stronę.

Nawet muchy spacerujące po suficie wstrzymują oddech. Wargi wynalazcy drgnęły. "Sacre Dieu, powie!" - przemknęło Marthcie.

- Cholera, przegraliśmy! - przełknął ślinę Andrews. Wzrok Morleya omiata salę. Tych wszystkich, którzy jak pokolenia przed nimi i zapewne pokolenia po nich zmuszeni będą opuścić kiedyś ów "padół łez". Jakby zastanawiał się. Powie: nie - pozostanie hochsztaplerem, tak - wprawi w rozpacz wszystkich, którzy pogodzeni z nieuchronnością śmierci dowiedzieliby się o utracie szansy.

Uśmiecha się.

- Cóż za cynizm - syczy oskarżyciel.

Werdykt jest ciekawy, ale to przecież niezwykley proces: dożywotnie więzienie w odosobnieniu, bez możliwości złagodzenia, zmniejszenia lub zawieszenia kary. (Adwokat odwoływał się od tej bezprecedensowej formuły, ale zaakceptował ją dwa lata później Sąd Najwyższy). A więc dożywocie.

Kiedy Saul Mayer poinformował o tym swego klienta (była to zresztą ostatnia rozmowa obu



panów), coś jakby cień strachu przebiegło przez twarz Victora. Rychło jednak uśmiech powrócił na bladą twarz.

- Zobaczymy.

Dwie mile za Stalowymi Wzgórzami, tam gdzie koryto rzeki Bez Nazwy przedarło się przez dawną Nieckę Miasta, znajduje się z roku na rok coraz bardziej przysypywany piaskiem bunkier. Funkcjonuje bardzo dobrze. Zapewne dzięki nienagannie działającym siłowniom przetrwa jeszcze bardzo wiele lat. Równie bez zarzutu pracuje system komputerowego zabezpieczenia, który wprowadzono po kolejnym strajku strażników ludzi. Cybernetyczni

"klawisze", uprzejmi i grzeczni, dostarczają jednemu więźniowi wszystkiego, co potrzeba -

pożywienia z laboratorium, zmian odzieży, zmuszają do spacerów, gimnastyki i łaźni. Gola, myją, strzygą. Chętnie na życzenie grają w szachy i karty. Nie chcą jednak - mimo tysięcy dyskusji, zabiegów i tłumaczeń - wypuścić. Nie trafia do nich żadna argumentacja. W

najgłębszych obwodach mają bowiem zakodowany rozkaz: pilnować więźnia. Jak dożywocie, to dożywocie.

Niechętnie mówią o wiadomościach z zewnątrz. Zresztą co to za wiadomości? Plaga szczurów, wyrój szarańczy, wylew rzeki.

Ludzie zniknęli z powierzchni Ziemi kilkanaście tysiącleci temu. A więzień, cóż, jest to dziwny skazaniec - czasami wpada w furię, wyje, żąda, żeby mu nie dawać pożywienia, żeby odciąć dopływ tlenu. Kiedyś usiłował głodować. To karmili dożylnie i dawali pigułki optymizmu. Żyje więc. Ostatni egzemplarz interesującego, wymarłego gatunku. Gatunku, który chciał być równy Bogu. Nieśmiertelny.

### **Tragedia "Nimfy 8"**

Zaryglował drzwi, sprawdził klapę wjazdu remontowego. Zabezpieczona! Jeszcze raz rozejrzał się po kabinie. Był sam. Powoli krew napłynęła do pobielącej twarzy. Opuścił

krótkomiot. Z korytarza nie dolatywał żaden odgłos. Zresztą kto miał się odzywać? Zostało przecież tylko ich dwóch. On i morderca. I jeszcze tylko stygnące ciało Jacqueline na drugim poziomie, zniekształcona grymasem twarz, poczerwiałe ręce, którymi w ostatniej chwili usiłowała zapewne zasłonić się przed ciosem.

Usiadł na koi nie spuszczać oczu z drzwi. Chyba na razie był bezpieczny. Na ekranie odbiornika widział cały dystans dziesięciometrowego korytarza, którym mogła nadejść śmierć. Nie nadchodziła. Przez chwilę rozważał inne zagrożenia: odcięcie dopływu tlenu lub wyłączenie ogrzewania. Nie, Rod nie mógł tego zrobić wbrew Automatycznemu Dyspozytorowi - a komputer wyposażony w potrójne zabezpieczenia lojalnościowe nie stałby się przecież współnikiem mordercy.

- Prędko mnie nie dopadnie!

Niestety czasu pozostało jeszcze sporo. "Nimfa 8" weszła wprawdzie w przestrzeń Układu Słonecznego, ale od Ziemi dzieliło ją wiele tygodni lotu. Dopiero przed kilkoma dniami zostały uruchomione silniki konwencjonalne...

Co zamierza Rod? Jeszcze wczoraj, kiedy była ich trójka, obaj mężczyźni podejrzewali Jacqueline. Nie, nie dlatego, żeby darzyli dziewczynę szczególną antypatią, ale od chwili śmierci Levkovic stało się jasne, że mordercą systematycznie likwidującym załogę statku musi być ktoś z ich trójki. Siebie wykluczali. Znali się przecież tyle lat... Wspólne studia, podróże. Została Jacky. Ale teraz...

Cholera! Czyżby Rod oszalał? A może nie pracował już dla Północnoziemskiej Centrali Lotów Badawczych, tylko flirtował z wojowniczą Federacją Południa, od dawna aspirującą do poszerzenia swych wpływów w kosmosie? Niemożliwe! Ojciec Roda zginął z ręki Południowców podczas walk

o bazę księżycową przed Wielkim Rozejmem. Żeby tak jeszcze móc nawiązać łączność! Niestety, aparatura została uszkodzona, włącznie z centrum remontowym, a jedyny, który się na niej znał, płowowłosy Olof Johannssen, nie żył od trzech dni.

Obraz na odbiorniku uległ złączeniu. Dłoń kosmonauty ścisnęła silniej uchwyt krótkomiota.

- Brian! - ekran wypełniła twarz Roda Millera. Jasna, otwarta twarz kapitana statku. -

Brian, dlaczego nie odzywasz się? Nie mogę połączyć się z Jacky.

Cynizm? A może jeszcze nie wie, że Brian już odnalazł zwłoki. Wówczas byłaby jakaś szansa.

O'Neil postanowił zagrać wariata.

- Straciłem ją z oczu, kiedy poszła sprawdzić, jakie są możliwości uruchomienia radiostacji krótkodystansowej. Potem miała wpaść do ciebie.

- Tu jej nie ma - w głosie kapitana zabrzmiał niepokój. Uważam, że w obecnej sytuacji w ogóle nie powinniśmy się rozstawać. Automat skończył właśnie sekcję Levkovic.

- No i?

- Trucizna. Ktoś dodał trucizny do pastylek pokarmowych. Trzeba będzie mocniej przycisnąć Jacqueline.

Grał świetnie. Patrząc mu prosto w twarz Brian doszedł do wniosku, że kapitan mógłby śmiało ubiegać się o "Oskara".

- Chciałbym, żebyś przyszedł do mnie, Brian. Oczywiście ostrożnie, cały czas będę miał na podglądzie korytarz, w razie czego ostrzeżę...

"Zwabia mnie, bandyta". - Astronauta zastanawiał się gorączkowo, jak by się wykręcić nie wzbudzając podejrzeń, jak wyciągnąć Roda na linię strzału. Byłaby to przecież oczywista samoobrona.

- Sprawdzę drogę - mówił tymczasem kapitan.

- Nie, zaczekaj! - zawołał O'Neil. Za późno. Lustrując trasę wzrok kapitana dotarł już do ciała Jacqueline. Sekundy ciszy.

A potem rozległ się zmieniony głos Millera:

- Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Ostrzegam, Brian!

Trudno nazwać wyprawę "Nimfy 8" sukcesem. Od czasu gdy ludzkość opanowała loty w prędkościach przyspieszonych, podobne ekspedycje organizowano w różne regiony Galaktyki. Jak dotąd nie zetknięto się ze śladami istot rozumnych, co więcej, nie znaleziono śladów wyżej zorganizowanego życia. Dwudziestoletni lot "Nimfy" (dla załogi trwał on mniej więcej rok, większość czasu spędzono w hibernacji) nie przyniósł rewelacyjnych odkryć.

Trochę nowych planet i planetoidów, cenne materiały o nieznanym rodzaju promieniowania, przygoda z wirem meteorytowym (wtedy uległo uszkodzeniu główne urządzenie nadawcze), ot i cały dorobek, gdyby nie liczyć Omegi. Omega było to dziwne ciało rozmiarów Księżyca, na które natrafiono pod koniec ekspedycji, na krótko przed ponowną hibernacją.

Optycznie planeta przypominała Wenus, gęsta warstwa chmur przysłaniała dość urozmaicony (sądząc po wynikach echosond) teren. Nie mgła jednak stanowiła główną zagadkę. Oprócz niej całą planetę opatulala niewidzialna poducha ochronna uniemożliwiająca dostęp. "Nimfa" parokrotnie usiłowała zanurzyć się w chmury za każdym razem odrzucała ją dziwna siła przepuszczająca światło, dźwięk, promieniowanie, ale wszelkie zabiegi przeniknięcia przypominały próbę wbicia palca w powierzchnię balonu. Ani profesor Spinelli; ani Brian nie zdołali ustalić charakteru owej bariery - nazwali ją neograwitacyjną.

Przekroczony limit czasowy, uszkodzona część rakiety, wreszcie kłopoty z zapasami nakazywały odwrót. Niech inni się nią zajmą - zdecydował Miller. Hipotez było parę zwłaszcza że Omega

zęgłowała w idealnej pustce, nie związana z żadnym innym ciałem kosmicznym. Profesor Spineli brał pod uwagę możliwość, że jest to rodzaj żywej substancji.

Jacqueline Durocq obstawała przy ogromnym statku kosmicznym, reszta wolała traktować Omegę jako wybryk materii nieożywionej.

Rozstali się bez żalu, zwłaszcza gdy próbnik dostarczył odrobinę nieznannej substancji.

Omali nie skończyło się katastrofą. Substancja "omegia" mało aktywna w pustce kosmicznej eksplodowała w zetknięciu z powietrzem. Gdyby nie zabezpieczenie, gram "omegii" starczyłby do zniszczenia całej atmosfery "Nimfy".

Trzy doby po zniknięciu tajemniczego ciała kapitan Miller zarządził hibernację.

Uszkodzenia magazynów, zakłócenia w procesie odzysku żywności nakazywały maksymalne skrócenie okresu aktywności.

Zapadli więc w sen.

Po przebudzeniu perspektywa rychłego lądowania na Ziemi wyzwoliła niezwykle dobry humor w załodze. Johannssen i Levkovic godzinami rozwiązywali łamigłówki szachowe, O'Neil porządkował notatki, Jacqueline grała w karty z Millerem.

Kapitan ustawicznie przegrywał. Chyba on jeden był w nie najlepszym humorze.

Dopiero po paru dniach zwierzył się O'Neilowi z powodów swej troski.

- Komputer zarządził nasze przebudzenie sporo za wcześnie, ale chyba nie miał wyjścia, coś zaczęło się psuć w aparaturze hibernacyjnej.

- Powiem ci po prostu, Brian, nasz cudowny statek to jeden wielki smelc.

Niedoróbki, surowce zastępcze, zwykłe niechlujstwo. Prototyp "Nimfy" był może arcydziełem, ale to seryjne pudło stanowi kupę złomu powiązanego sznurkiem.

Pierwszy zginął profesor Spinelli. Rubaszny, krępy neapolitańczyk, kopalnia wiadomości na temat biologii i anegdot ze świata sztuki. Jego śmierć nosiła wszelkie cechy przypadku. Spinelli spadł ze stromej drabinki w sztolni centralnej po paru godzinach spędzonych samotnie w laboratorium, spadł, spiesząc się do kapitana Millera. Podobno miał

zamiar zakomunikować coś niezwykle ważnego.

Dlaczego wybrał drogę awaryjną zamiast normalnego dobrego korytarza, w jaki sposób wygimnastykowany Włoch pośliznął się na suchych szczeblach i dlaczego przed wyjściem skasował pamięć podręcznego komputera, z którym spędził kilkanaście godzin poprzedzających nieszczęście? Nie wiadomo.

Może niepotrzebnie zbyt prędko przyjęto stwierdzenie Jacqueline:

- To musiał być nieszczęśliwy wypadek...

A gdyby tak byli czujniejsi?

"Nimfa 8" wchodziła tymczasem coraz głębiej w Układ Słoneczny.

Następny był Johannssen. Mrukliwy, płowowłosy Skandynaw przypominający krzyżówkę polarnego niedźwiedzia z antycznym obeliskiem. Z bliżej nie ustalonych powodów postanowił wyjść na zewnątrz statku. Złamał przy tym podstawowy nakaz zawiadomienia kapitana. Samotnie poprzez właz ruszył w przestrzeń kosmiczną. Sygnał

alarmowy postawił wszystkich na równe nogi. Kwadrans później na sznurze opodal statku unosiło się już tylko bezwładne ciało północnego olbrzyma. Levkovic wciągnął je do środka.

Ustalono przyczynę tragedii: rozdarcie skafandra i pęknięty przewód tlenowy. Trudno stwierdzić, czy Johannssen wpierw zamarzał, czy też najpierw się udusił.

I ta śmierć wydawała się naturalna, chociaż Brian zaczął poważnie zastanawiać się, czy nad statkiem nie zawisło jakieś ponure fatum. I dopiero zgon Levkovica, ewidentnie otrutego szybko

działającą trucizną. Jego grymas przedśmiertny, szept "uciek... wszyscy...

zginą" uświadomił im grozę sytuacji. Ktoś albo coś rozpoczęło systematyczną likwidację załogi "Nimfy".

Teraz dopiero nabrał sensu gryzmoł Johannssena poprzedzający jego wycieczkę na zewnątrz: "...ktoś kręci się dookoła statku". To również tłumaczyłoby, dlaczego ostatnią książką czytaną przez Spinellogo było dziełko: "Stany zagrożenia i walki wewnątrz statku kosmicznego". W trójkę przeszukali statek - żadnego pasażera na gapę - zresztą komputerowe czujniki doniosłyby o tym wcześniej. Dookoła rakiety w kosmicznej pustce również nie zarejestrowano żadnego obiektu. Badanie atmosfery nie wykazało najmniejszych choćby substancji toksycznych.

Pierwsza powiedziała to głośno Jacqueline:

- Nie oszukujmy się, koledzy, jeśli odrzucimy wiarę w duchy, morderca musi być wśród nas.

Panowała cisza. Brian przełknął ślinę.

- Nie udawaj wariata, Rod. Obaj wiemy, że ja tego nie zrobiłem.

Miller milczał przez chwilę.

- Nie próbuj opuszczać swojej kabiny, Brian. Ja ten statek doprowadzę na Ziemię i nikt mnie nie zatrzyma. Dlaczego zabiłeś Jacky?!

- Ja? Równie dobrze mógłbym zapytać o to ciebie. Badałem ciało, dziewczyna nie popełniła samobójstwa, podobnie jak profesor, Olaf czy Mirko...

- Masz ze sobą broń, Brian. Połóż ją na widoku kamery, a potem spokojnie, nie próbując żadnych sztuczek, przyjdź do mnie.

O'Neil roześmiał się.

- Proszę nie traktować mnie jak durnia, kapitanie.

- Porozmawiamy...

- Nie ma o czym mówić. Sprowadź statek na Ziemię, tam się już zajmą wyjaśnieniem zagadki.

- Jak chcesz, ale nie opuszczaj kabiny. Będę miał cię na oku.

O'Neil zaśmiał się cokolwiek histerycznie, chwycił ciężką roboczą rękawicę i zakrył nią oczko kamery. Stał się dla kapitana niewidzialny.

- I po co ta ciuciubabka - mężczyzna z ekranu pokiwał głową. - I tak jeśli spróbujesz wyjść z kabiny, zarejestruje to kamera na korytarzu. Mówię całkiem spokojnie...

Brian wyłączył głośnik. Bał się magnetycznego tonu dowódcy. Usiłował zebrać rozkojarzone myśli. Jakże miał szansę?

Rod Miller był niezłym psychologiem. Nie musiał analizować długo zachowania O'Neila. Tak reagował człowiek przerażony, zwierzyzna ścigana, nie ścigająca, ale tym bardziej niebezpieczna, jak ranny niedźwiedź. Ale jeśli nie zabił Brian? To kto? Wersję, że uczynił to któryś z nich we śnie czy bez świadomości, należało wykluczyć.

Połączył się z Automatycznym Dyspozytorem - o ile większość wypadków zdarzyła się poza zasięgiem kamer, zabójstwo Jacqueline dokonało się w pełnym świetle. Musiało być zarejestrowane w cybernetycznej pamięci.

- Proszę riplej odcinka G II 18 z godziny 16.20 - wydał polecenie.

W odpowiedzi zabuczał metaliczny głos. - Dziesięć minut awarii, dziesięć minut nie rejestrowane. Nic nie wiem. Nic nie wiem...

Cóż za cholerna zacinająca się maszyna!

Jeszcze raz wrócił wzrokiem na korytarz z ciałem Jacqueline. Nie zmieniło swego położenia. Ślady na ciele wskazywały na porażenie termiczne. W tym korytarzu... szła do O'Neila, a może do Centrum? Pół kroku dalej na wystającej listwie dostrzegł odrobinę srebrzystej tkaniny. Nastawił

przybliżenie. Tak, tkanina została wyrwana z kostiumu panny Durocq. Gwałtownie. Nieostrożność?... A może ucieczka. Ale przed kim... przed czym?

Kapitan nacisnął żółty klawisz. Wszedł wielofunkcyjniak, niski robot spełniający wszelkie możliwe posługi na pokładzie. Mógł parzyć kawę, reperować przecieki w reaktorze, a w razie potrzeby nawet walczyć.

- Przynieś Jacky!

- Yes, sir.

Kiedy wyszedł, Rod machinalnie rzucił okiem na zegarek. Zaraz. Przecież się pomylił.

Jacqueline musiała zginąć najpóźniej o 15.20... Dlaczego więc komputer zapytany o zapis 16.20 wspomniał od razu o uszkodzeniu... Czyżby Automatyczny Dyspozytor kłamał?

Miller postanowił porozumieć się z O'Neilem. Wiedział, że nie zdobędzie zaufania swego podwładnego, postanowił więc się przyznać i poddać. Niech na razie potraktuje go jak więźnia. A gdy będą już razem...

Ale jak porozumieć się z samoodcietym kosmonautą? Sygnał posiłkowy. Tak jest! Nie używali go od dawna. Zaintrygowany Brian z pewnością przywróci łączność. Pang... Pong...!

Żadnej reakcji. Jeszcze raz. Nic. Zaniepokojony włączył czujnik biologiczny wewnątrz kabiny. Skala nawet nie poszarzała.

Rod poczuł na plecach zimny pot. Kabina numer 5 była pusta. Pomimo nadal zamkniętych drzwi nie było w niej Briana ani żywego, ani martwego. Wyparował... Czujnik wskazywał lekki, ruch powietrza. No, oczywiście! Właz remontowy! Miller zaklął cicho.

Lada moment mógł znaleźć się w zasięgu krótkomiota O'Neila.

Polowanie rozpoczęło się.

Słaby powiew powietrza chłodził rozognione czoło. Posuwając się kanałem remontowym O'Neil powtarzał sobie w duchu: "To będzie samoobrona. Zresztą nie zabiję go, tylko obezwładnię. Muszę to zrobić. Przecież Rod nie miał skrupułów wobec przyjaciół, towarzyszy długotrwałego lotu. Obezwładnię go, a potem przesłucham".

Był już blisko kabiny dyspozycyjnej. Drzwi zastał zamknięte i zabezpieczone, pozostawała jednak płyta rozdzielająca dyspozytornię z laboratorium. Szyba była rzecz jasna pancerna, ale od przygody z meteorami mocno obłuzowana w swoich gumopodobnych ramach. Brian przemyślał wszystko w drodze. Nie czekał, aż Rod poinformowany przez czujniki o jego sąsiedztwie spróbuje przedsięwziąć cokolwiek. Całym ciężarem osiemdziesięciopięciokilowego ciała uderzył w płytę, wypchnął ją do środka i wywijając koziołka strzelił. Chybił. Kapitan nie było na swoim posterunku, zdołał skryć się za pulpitem wewnątrzkomunikacyjnym.

"Teraz ma mnie!"

O'Neil nie przestając koziołkować wypalił jeszcze raz niweczając całą kunsztowną tablicę łączności wewnętrznej. Znowu nie sięgnął Millera.

"Dlaczego on nie strzela? Dlaczego nie strzela!" - I naraz Brianowi przyszło do głowy, że kapitan może nie mieć broni, że została gdzieś poza zasięgiem ręki. Kryjąc się za masywnym pulpitem sterowniczym wychrypiął:

- Mam cię na celu, Rod! Wstań i unieś ręce! Doskonale wiesz, że nie jestem mordercą.

Muszę cię przesłuchać.

Sekundy, znowu sekundy. Będzie odpowiedź czy smagnięcie płomieniem krótkomiota? Miller wstał. Krótkomiot zabezpieczony wisiał spokojnie w jego kaburze... A więc nie był bezbronny.

- Świetnie, że się widzimy, Brian. Mam pewną interesującą hipotezę. Tylko schowaj splotkę!

O'Neil poczuł, jak nerwy poczynają mu drgać niczym włókna w nadwątlonej i napiętej linie

okrętowej. "Zasadzka, to na pewno zasadzka - był gdzieś w mózgu impuls alarmowy - muszę go unieszkodliwić!" Postanowił strzelać w nogi. Uniósł krótkomiot. Smagnięcie ognia i ból w ręce. Spluwa wyłuskana z dłoni O'Neila poleciała w kąt. Ktoś trzeci? Tak jest, wielofunkcyjniak! Mimo iż jedną macką niósł martwą Jacky, drugą odstrzelił broń Briana.

Nic dziwnego, miał zakodowany kategoryczny nakaz obrony szefa statku. Zanim jednak równie zaskoczony Rod zdołał wymówić słowo, O'Neil ponownie dopadł otworu, przesadził go i na czworakach wylądował w laboratorium. Usłyszał znajomy syk.

- Zaraz drzwi zasuną mi się przed nosem.

Syk jednak przerodził się w metaliczny jęk. Widać w szale niszczenia Brian uszkodził również mechanizm zamykający. Na szczęście. Nie zastanawiając się, że jego szerokie plecy w seledynowym kubraku stanowią doskonały cel, skoczył w drzwi i znikł za zakrętem korytarza. Ekran były pogaszone, na kamerach nie jarzyły się rubinowe oczka. "Nimfa 8"

była od wewnątrz ślepa.

Cóż, doskonale chroniona od zewnątrz nie była przygotowana do walk wewnętrznych...

Brian skręcił w "Wielki Labirynt", jak trochę na wyrost nazywano korytarze obok ładowni. Uciekł, to prawda. Jego sytuacja była jednak rozpaczliwa. Nie miał broni, arsenał

znajdował się w gestii Automatycznego Dyspozytora, a ten słuchał wyłącznie kapitana.

Oczywiście mógł uciekać, ale jak długo zdoła się wymykać Rodowi wspomaganemu przez wielofunkcyjniaka. Dobrze chociaż, że postanowili go wziąć żywcem. Tak, to był chytry pomysł Millera. Przecież jeżeli wylądowałby sam na Ziemi, byłby jedynym podejrzanym.

Przywożąc schwytanego O'Neila - Rod będzie miał kozła ofiarnego, choć nie bardzo wiadomo, po co... Dowody - jeśli jest się kapitanem i ma na usługach komputery, da się doskonale sfałszować.

Brian miał jedną szansę na milion. Ale musiał spróbować.

Miller nie ścigał uciekiniera. Ręczną dźwignią zamknął i zabezpieczył drzwi od laboratorium. Wielofunkcyjniak zajął się analizą uszkodzeń. Kapitan poprzestał na zmianie nadtopionego fotela. Intensywnie myślał. Nie należał do ludzi impulsywnych, łatwo się ekscytujących, we wszystkich sytuacjach zachowywał zimną krew i starał się obiektywnie analizować sytuację. Tylko jego spokojowi i sprawności Automatycznego Dyspozytora zawdzięczała "Nimfa" wyjście z meteorytowego wiru.

Teraz jednak kapitan miał do czynienia z problemem, który wydawał się przerastać intelektualne możliwości człowieka. Jednego był pewien - zyskał przewagę nad Brianem.

O'Neil dał się ponieść emocjom i teraz był bezbronny.

Jego chaotyczne działanie dowiodło, że nie on mógł być zimnym, systematycznym mordercą.

W mózgu kapitana pozostawało kilka wielkich znaków zapytania. KTO? Jeszcze ważniejsze DLACZEGO? Najłatwiejsza była odpowiedź, W JAKI SPOSÓB: zepchnąć profesora, uszkodzić kombinezon Johannssena tak, by pękł w zetknięciu z próżnią, zamienić pastylki czy strzelić z bliskiej odległości do Jacqueline, to mógł uczynić każdy... Chociaż w przypadku Johannssena zbrodniarz musiałby wiedzieć wcześniej o zamiarze wyjścia na zewnątrz... Kto? - wielka niewiadoma. Metodą eliminacji wychodziło, że nikt.

Dlaczego? - Kwestia jeszcze bardziej tajemnicza. Gdyby, puszczając wodze fantazji, jakimś nadludzkim istotom zależało na zagładzie całej załogi, zlikwidowałiby ją równocześnie; gdyby chodziło im o statek, cóż za trudność dotrzeć do samolikwidatora...?

Tymczasem w tym wypadku każdą zbrodnię dzielił dystans czasu. Może więc chodziło o kolejność - pierw biolog, później spec od łączności, dalej zastępca nawigatora, lekarz... A jeśli nieszczęśnicy sami sprowokowali własną śmierć? Może z jakiegoś powodu stali się dla mordercy niewygodni?

O wiele prościej byłoby analizować tę sprawę wspólnie z Automatycznym Dyspozytorem, ale Rod miał wątpliwości co do powodzenia takiej współpracy. Nie dlatego, żeby uważał komputer za współnika morderstw, to było niemożliwe, układ lojalności stanowił

jeden z najsilniejszych z obwodów, tuż za bezwarunkową ochroną statku, a Miller przy okazji mimochodem sprawdził ten zespół i nie zauważył odchyleń. W zdefektowanym wehikule kosmicznym kapitan wolał jednak polegać wyłącznie na własnych szarych komórkach. W

młodości rozczytywał się w zabawnych ramotkach Agaty Christie, obecna sytuacja przypominała jako żywo jedną z jej błyskotliwych zagadek. Tyle że tam mordercą okazywała się jedna z wcześniejszych ofiar.

Wrócił do chronologii. Zestawiał fakty - pierwszy zginął Spinelli w momencie, gdy odkrył coś niezwykle ważnego, coś dotyczącego bezpieczeństwa statku. Następny był

Johannssen, słynny ze swych uzdolnień telepatycznych i talentów do łamigłówek. Dlaczego przyszło mu do głowy, by wyjść na zewnątrz statku? "Ktoś kręci się na zewnątrz"... Kto, u licha? Levkovic - ten zginął najbardziej ziemsko, otruty. Ale musiał też na coś wpaść, czegoś się domyślać. Wskazywały na to jego ostatnie słowa. Zaraz... ale czy należało uznać za zbieg okoliczności fakt, że zginął właśnie Mirko, człowiek, który ściągał do wewnątrz ciało kolegi?

Może zauważył coś więcej, coś, czym nie podzielił się z kolegami...? Wreszcie Jacqueline...

Inteligentna, bystra dziewczyna sporo czasu poświęciła oględzinom skafandra Skandynawa...

Czyżby...? Ale miejsce, w którym zginęła. Dokąd zmierzała?

I nagle wszystko ułożyło się. Wariacka koncepcja jak błyskawica przeleciała przez mózg Roda. Rzucił okiem na tablicę czujników zewnętrznych, niech to szlag! Też Brian ją uszkodził. Spojrzał do zapisów. Wszystko w normie: temperatura, promieniowanie kosmiczne... Nikt jednak od dawna nie nastawiał aparatury na inne parametry! Teraz już niczego nie można było sprawdzić. Chyba żeby wyjść na zewnątrz. Do tego jednak był

potrzebny Brian. I to Brian współpracujący, ufny. A nawet we dwóch będzie im trudno.

Zwłaszcza że podobne przedsięwzięcie nie udało się czwórce kolegów.

Gwizdnął na wielofunkcyjniaka.

- Musimy ująć O'Neila. Żywego!

Wiedział, że nie będzie to łatwe, promieniowanie biologiczne jest wyczuwane przez roboty dopiero z odległości 3 metrów. Statek miał sporo zakamarków, ale trzeba od czegoś zacząć. Krótkomiot zamknął w szafce. Na razie nie będzie potrzebny. Jedyne szansa, że Brian mu uwierzy.

Po chwili znalazł się już na korytarzu. Minął miejsce, w którym śmierć spotkała Jacqueline, i skręcił w dół. Robot miał penetrować sąsiedni poziom i w razie czego wziąć ściganego w dwa ognie. Miller szedł korytarzem i nagle drgnął. Nad jednym z luków gorzało światło. Ktoś postawił w stan gotowości automatyczny próbnik powierzchniowy. Ktoś, kto uprzednio zadał sobie trud i odłączył go od Centralnej Dyspozycji, od Nadkomputera i od dowódcy. Licznik wskazywał, że nastąpiło to godzinę przed śmiercią pani doktor Jacqueline?!

Próbnik od czterech godzin badał zewnętrzną pokrywę statku. Co donosił? Tarcza mierników była rozbita czymś twardym, a przecież wśród potrzaskanych wskaźników kapitan dostrzegł

jedną błyskającą literkę. Mówiącą za wszystko!

I wtedy nagle szósty zmysł kazał mu się odwrócić, jakiś duży cień przeciął smugę światła z sąsiedniego korytarza. Trudno, trzeba sobie będzie przypomnieć walkę wręcz.

Pospieszył w tamtą stronę. Wszedł w przecznicę. Stał jak wryty. Z głębi ładowni wolnymi krokami szedł w jego stronę Olaf Johannssen. Olaf Johannssen w rozdartym skafandrze, monumentalny, groźny...

Po raz pierwszy w życiu Miller zrobił krok do tyłu. Ziemia rozstała się z nim pod nogami.

Runął w otwór powstały przez usunięcie jednej z podłogowych płyt korytarza.

Świadomość powracała. Tylko to światło i chłód.

- Gdzie ja jestem?

Zamrugał oczami.

Nad sobą widział uśmiechniętą, życzliwą twarz O'Neila. Brian zdjął już hełm, ale pozostawał w podartym skafandrze kolegi.

- Wszystko będzie dobrze, Rod. Na Ziemi na pewno znajdą okoliczności łagodzące.

Bardzo mi przykro, ale musiałem. Dobro ekspedycji...

"Jestem w komorze hibernacyjnej" - pomyślał Miller. I ogarnął go strach. Chciał

krzyknąć, ale na ustach miał rurę od usypiającego gazu. Chciał dać znak wzrokiem. W tym jednym spojrzeniu powiedzieć wszystko Brianowi. Zabijał Automatyczny Dyspozytor. Nie z morderczych inklinacji. Musiał! Działał kategorię imperatywu chronienia statku. A wszyscy kolejno usunięci zmierzali do jego zniszczenia albo byli na najlepszej drodze do centrum likwidacyjnego. Tyle, że beztrzęsowo zwracali się z pomysłu komputerowi. On, kapitan, też chciał zniszczyć "Nimfę", ale miał nadzieję zrobić to wspólnie z Brianem, unieszkodliwiając przedtem systemy zabezpieczające.

Nie udało się. W decydującym momencie wielofunkcyjniak nie pomógł kapitanowi.

Najwyraźniej i Miller był już skazany przez Automatycznego Dyspozytora. Dochodził prawdy. Stawał się niebezpieczny dla statku jak poprzednia czwórka. Przeklęta sprawność maszyny pozbawionej wyobraźni. Konstruktorzy nie zakodowali w niej zasady "mniejszego zła".

A była nim w tym wypadku zagłada "Nimfy".

Przeklęta nieufność Briana, którego prywatny lęk przesłonił starą przyjaźń, a walka o doraźne bezpieczeństwo jakąkolwiek dalszą perspektywę. Ileż zła wyrządził ów lęk ludzkości, nakazując zbrojenia, wojny prewencyjne, zbrodnie i terror - zawsze ze strachu.

Zaufanie było zawsze potrzebniejsze niż eliksir życia i kamień filozoficzny. "Brian, Brian!

Zastanów się, nim zmienisz mnie w bryłę lodu. Statek musi być zniszczony! Wokół niego rozpościera się niedostrzegalna przez większość czujników warstewka omegii. Nie do usunięcia ani do likwidacji. Chyba że razem z rakieta. Pamiątka po próbie penetracji nieznannej planety!"

Wzrok Roda krzyczał. Ale Brian nie patrzył mu w oczy. Był zmęczony. Może jutro, może za parę dni zastanowi się nad wszystkim. Teraz uspi Millera, potem sam pójdzie się położyć.

Tymczasem "Nimfa 8" w pęcherzyku z omegii, stanowiącym jedną ogromną bombę kosmiczną, która w ciągu paru sekund pozbawi Ziemię całej atmosfery nieubłaganie dążyła w stronę trzeciej planety Układu Słonecznego.

### **Trzecia planeta**

"Przeklęta demokracja - pomyślał Quor - kiedyś nas ostatecznie zgubi! Już dzisiaj nie można powziąć żadnej radykalnej decyzji, wszystko musi być przedyskutowane, wyważone"... Owszem, w chwilach zagrożenia udawało się niekiedy podejmować stanowcze wnioski, ale od tysięcy nie spotkali się z żadnym poważniejszym zagrożeniem. Jakże niewdzięczne jest brzemię dowódcy Jednostki, który co rusz musi tłumaczyć się ze swych posunięć przed personelem... Żeby to jeszcze był personel! Personel!

W tym momencie przyszedł mu na myśl Termitiony, roje ogromnych Termitionów przypominających nawet z bliska okruchy skalne, przemierzające w swych łupieżczych ekspedycjach galaktyki, w miarę jak gasną ich życiodajne słońca. Tak, Termitionami można rządzić łatwo i przyjemnie, panuje wśród nich absolutna dyktatura i hierarchia świetlna. Ten, który znalazł się na przedzie, ma niekwestionowaną władzę nad resztą. Prowadzi rój; nawet jeśli ku zagładzie, nikt nie ma do niego



pretensji. Tymczasem centralna gwiazda układu stała się coraz jaskrawsza, dawno wyodrębniła się z miliona prawie jednakowych plamek otaczających ze wszystkich stron Jednostkę. Nie trzeba było korygować kursu. Tylko te dyskusje...

- Nie rozumiem cię, Quor, czego szukasz w tym zapadłym kącie wszechświata? - zamigotał gderliwie impuls Wixa...

- Tak, tak, mamy przecież ograniczony limit lat świetlnych do przelecenia, a rejon GXS 50 został już zbadany dorzuciła Siba.

Maksymalnie spokojnie wyjaśnił, że ekspedycja Impura właśnie w rejonie GXS 50 - c znalazła interesujące ślady życia.

- Na takie ślady można natrafić w prawie każdym zakamarku galaktyki - nie ustępowała Siba.

- Ale od wyprawy Impura, jeśli liczyć według czasu Trzeciej Planety, upłynął miliard lat, życie mogło tam w tym czasie osiągnąć wyżej rozwinięte formy. A jak wiecie, naszym zadaniem jest poszukiwanie jakichkolwiek wyższych form zorganizowanej materii...

- Wysoko rozwinięte formy dałyby o sobie znać! - tym razem impuls pochodził od Loxa.

Quor odczuł znużenie. Sam miał dość wędrówki, tęsknił za Układem Domowym.

Przecież był stary. Wszyscy byli starzy. Wszyscy, czyli on. Jedność w wielości... Gdyby ktokolwiek z zewnątrz otworzył pojemnik Eksploracyjny, pierwsze skojarzenie nasunęłoby myśl o konserwie.

W istocie prawie całe wnętrze, poza częścią magazynową, wypełniała jedna szara substancja inteligentna. Szczytowy produkt ewolucji. Prehistoria gatunku notowała odległe fazy rozwojowe słodkowodnych quasi - mięczaków, których ewolucja mózgu doprowadziła do obecnego stanu. Quor stanowił wnętrze, jego skorupa była zarazem powłoką kosmicznego wehikułu, zrośniętą organicznie z podróżnym, siłownia fotonowa była ewolucyjnie wykształconą częścią organizmu. Wix, Siba, Lox stanowili ruchome części jego osoby, kiedyś można było nazwać je odnóżami i odwłokiem. Dziś każde z nich stanowiło wyspecjalizowaną jednostkę badawczą z niezależną świadomością. Hominidzi z Triangwy wyśmiewali tę właściwość quorów, w ich rysunkowych programach pełno było satyr, w których dyskusje polityczne prowadziła noga z nogą albo ucho wypowiadało wojnę nosowi.

Zresztą satyry te (oczywiście bez antropomorficznych wulgaryzmów) nie mijały się aż tak z rzeczywistością. Znany był wypadek quora 134b25, któremu zbuntowały się organy ruchome i sterroryzowawszy go grasowały jakiś czas po bezdrożach Mlecznej Drogi w charakterze piratów. Oczywiście Naczelna Rada QUOrska nie wyciągnęła z tego żadnych wniosków. Przeciwnie, fakt możliwości takiego buntu uznany został za szczytowe osiągnięcie demokracji. D - D. Demokracja i Dobro stanowiły racje istnienia ich cywilizacji. Mieli wszystko i obecnie mogli albo zatracić się w sybarytyzmie, albo obdzielać swymi dobrami innych. Co czynili.

- I skończy się, że zniszczą nas jakieś Termitiony czy któryś z ambitniejszych szczepów białkowych!

Musiał koniecznie uciąć dyskusje, pokazać, kto jest komendantem. Wzmocnił impulsy.

- Utrzymujemy kurs na Trzecią Planetę. Nie wolno nam lekceważyć minimalnych nawet sygnałów. Jako najbardziej rozwinięta cywilizacja Wszechświata mamy obowiązek opiekować się wszelkimi przejawami życia czy to opartymi na krzemie, czy na białku.

- Impur donosił o pierwocinach białkowych na Trzeciej Planecie - zauważył Lox. - I to mnie martwi. Wszelkie twory białkowe są nieodpowiedzialne i agresywnie witalne... A poza tym tak obce naszej mentalności!

- Przerywam dyskusję, wkrótce musimy zacząć zwalniać!

- Tlen, krzem, glin, żelazo, wodór, węgiel... - meldował Rob, mały, zwinny Analizator Jednostki, rozwinięty ewolucyjnie z gruczołu smakowego. Jednostka wisiała już nad Trzecią Planetą, na wysokości zaledwie kilkudziesięciu kilometrów.

- Szansę istnienia organizmów żywych? - spytał Quor.

- Duże... zresztą widać zieleni... Muszą istnieć organizmy roślinne oparte na asymilacji...

- Pytam o wyższe formy?

- Nie widać.

- A nie mówiłem - wtrącił się Wix. - Niepotrzebnie tu przylecieliśmy!

Quor udał, że ten impuls do niego nie dotarł.

- Schodzimy niżej - zdecydował.

Jednostka spoczywała lekko zaryta w piaszczystym pagórku. Quor uchylił pancerza i chłonał naturalne, łagodne ciepło pobliskiej gwiazdy. Wix i Siba krzatali się na zewnątrz, ale prawdę powiedziawszy ich zajęcia sprowadzały się głównie do poganiania Roba, który i bez tego robotny był i żwawy. Wprawdzie jego jedynym zmysłem poza dotykem był smak, ale doprowadzony do takiej doskonałości, że zastępował mu wszystkie pozostałe - węch, wzrok (smakiem odróżniał barwy) czy słuch (np. hałas wpływał na cierpkość kosztowanego otoczenia). Toteż impulsy Roba przekazywane do Quora mogły już mieć charakter wielowymiarowych obrazów. Lox odpowiedzialny za system defensywny przysiadł na uboczu, jego powierzchnia radaroidalna nieprzerwanie rejestrowała wszelki ruch. Alіści jedynymi mieszkańcami okolicznych wzgórz były niewielkie ptaki i drobne gryzonie... Nie stwierdzał żadnych sztucznych fal radiowych, promieniowanie utrzymywało się poniżej przewidywanej normy.

Chociaż quorańskie poczucie piękna opierało się na zupełnie innych kryteriach, musieli przyznać, że w otaczającej ich przyrodniczej harmonii kryło się wiele specyficznego uroku.

Przelot tuż nad powierzchnią planety wskazywał na wszechwładne panowanie natury.

Pewne wzniesienia, nasypy czy kanały robiły wprawdzie wrażenie sztucznych, ale wymagało to dokładniejszego zbadania.

Rob rozsmakował się szczególnie w jednym pagórku. Mruczał łakomie przedzierając się przez kolejne warstwy, a gdy uznał za słuszne podzielić się swymi informacjami, w jego impulsach drżał niezaprzeczalny entuzjizm.

- Materiał, mnóstwo materiału, wysoko zorganizowana forma!!!

Ze ściany wykopu wyzierały rozmaite przedmioty, skorodowana szyna, pęknięta butelka, trochę kości, kawałek marmurowej kolumny...

Do wieczora mieli masę danych. Raport Impura okazał się proroczy. Zaledwie kilkanaście tysięcy temu pojawiły się na Trzeciej Planecie istoty rozumne (przynajmniej do pewnego stopnia). Budowały miasta, udomowiły zwierzęta, posiadały sztukę obróbki żelaza. Z

kawałków malowanych naczyń i zachowanej mozaiki poznano nawet kształt tych dwunogów.

Ich cywilizacja przetrwała parę tysięcy lat. Smak Roba dopuszczał pięć lub sześć tysięcy.

A potem?... Potem znajdując się w swoim apogeum, aczkolwiek dalekim od apogeów innych kultur kosmicznych, gwałtownie upadła. Obecne badania nie potrafiły jednoznacznie określić przyczyny. Bo i chyba nie było jednego powodu. Istniały też trudności z ustaleniem chronologii kataklizmów. Obok bratobójczych wojen nuklearnych (zresztą na ograniczoną skalę) dołączyła się degeneracja środowiska, powszechne zatrucie. Niektóre szkielety pochodziły jeszcze z trzeciego stulecia po Wielkiej Katastrofie. Gatunek jednak nie podniósł

się z upadku, zniknął. A po paru wiekach przyroda wróciła na stracone ongiś pozycje...

Upłynął miesiąc badań.

- Sądzę, że teraz nie ma już najmniejszego powodu, żeby tu zostawać. Materiału archeologicznego mam aż za dużo. Zresztą, czy kogo zainteresuje los nieudanej cywilizacji"

Chyba jako przestroga - stwierdziła Siba.

Poparł ją Lox:

- Niewielki to dorobek, potwierdzenie znanej teorii, że życie oparte na białku nie sprawdza się w wyższych formach.

- Nic tu po nas! - dorzucił Wix. Quor milczał dłuższą chwilę.

- Waszemu rozumowaniu nie można w zasadzie niczego zarzucić - zaczął. - Wydaje mi się jednak, że koncentrując się na materialnych aspektach zagadnienia zapominacie o jednym...

- O czym?

- O odpowiedzialności! Ciągłe nie pamiętacie, że jako najdoskonalsza cywilizacja Wszechświata mam pewne obowiązki moralne. Uważam, że ponosimy odpowiedzialność za bieg wydarzeń na Trzeciej Planecie.

- My?!! - wyrwało się Sibile.

- Gdybyśmy przybyli tu wcześniej, niewątpliwie moglibyśmy zapobiec katastrofie.

Pamiętacie pomoc w uratowaniu cywilizacji Syriusza? Nasze doświadczenia w porę przekazane tubylcom mogłyby...

- Nie ma co płakać nad wylanym białkiem - przerwał, niezbyt grzecznie, Wix. Quor zadygotał. Jego kontr impuls był tak silny, że Wix aż zastygł w bezruchu. Wiedział dobrze, że

"Tułów" - jak między sobą nazywali Quora, ma dość siły, by poskromić ich wszystkich, chociaż nigdy nie czynił ze swej mocy użytku.

- No to wyrażmy swoją skruchę i wracajmy - zaiskrzył impuls Loxa.

W tym momencie o głos poprosił Rob. Zdziwili się. Analizator rzadko odzywał się nie pytany. Uchodził za oddanego zwolennika Quora, ale lubił bardziej działać niż dyskutować.

- Mam propozycję - stwierdził łagodnie. - Jak wykazały moje badania, wszyscy mieszkańcy Trzeciej Planety zbudowani byli z komórek o stałym kodzie genetycznym. Czyli mając do dyspozycji jedną chociaż komórkę posiadamy w niej model całego osobnika.

- Do czego zmierzasz - ożywił się Quor - czy chciałbyś...?

- Tak. Mamy tu masę materiału genetycznego, kości, włosy, zasuszone kawałeczki skóry, zęby. Skoro mówiliśmy o odpowiedzialności moralnej, czyż nie byłoby rzeczą właściwą odrodzić życie na tej ziemi? Przecież przy naszych możliwościach moglibyśmy odtworzyć całą populację planety, i to we wszystkich pokoleniach, które na niej były...

- Już widzę ten tłok! - oponowała Siba.

- Kosmos roi się od nie zamieszkałych planet, na których moglibyśmy ich porozgęszczać - włączył się Quor. Był zachwycony pomysłem Roba. Zuch, malec!

- Ależ to praca na tysiąclecia - marudził Wix.

- A co mamy lepszego do roboty? - w impulsach Quora czuły się coraz więcej entuzjazmu.

- A poza tym - dorzucił Rob - zrealizowalibyśmy ich wierzenia. Prawie wszystkie tutejsze kultury, wnioskując po ikonografii, charakterze grobów i ich wyposażeniu, wierzyły w zmartwychwstanie ciał. I to w krainie wiecznej szczęśliwości, sprawiedliwości. Możemy zapewnić im jedno i drugie.

- Ale po co? - nie wytrzymała Siba. - Jeżeli cywilizacja nie sprawdziła się, okazała się niezdolna do samodzielnego bytu, po co na nowo odradzać tych nieudaczników, narażając ich na kolejny nieuchronny upadek?

- Kataklyzm mógł być dziełem przypadku - mruknął Quor.

- Za dobrze poznaliśmy ich dzieje, charakter, żeby obciążać odpowiedzialnością zbieg okoliczności. Ja jestem przeciwna. Szkoda czasu i kosmosu!

Tradycyjnie poparli ją Wix i Lox. Uważali, że nie należy przesadzać z filantropią.

- W imieniu dobra nauki... - zaczął Rob, ale go zgromiono.

- Co ty, szczeniaku, wiesz o nauce - przycięła Siba. - Masz zbierać próbki i milczeć.

- Egoistka!

- Kurdupel!

Ogromnym wysiłkiem Quor przywołał swe kończyny do rozsądku. I w jego szarej substancji czuł pulsowanie niektórych wyspecjalizowanych zwojów przeciwnych eksperymentowi.

"Jeszcze trochę i sam mózg podzieli mi się na parę podjednostek z własną świadomością. Do czego ta demokratyczna ewolucja doprowadzi?" - pomyślał z goryczą.

- Oczywiście możesz narzucić swoją wolę, ty jesteś szefem - dudnił Wix - ale proszę o zaprotokołowanie w pamięci Jednostki, że ja byłem przeciwny...

- Dyktator! - szemrała Siba. - Chcesz dobra jakichś białkowych półgłówków, a skończy się na tym, że pewnego dnia wyhodowana przez nas podgalaktyka samych nas unicestwi. Nie ma wdzięczności w skali kosmicznej...

- Ubezwłasnowolnij nas, no proszę, ubezwłasnowolnij prowokował Lox.

- Nie ustępuj, szefie, mamy za sobą słuszość! - dolatywało bzyczenie Roba.

Quor nie lubił walczyć. Z natury swojej stanowił jeden wielki kompromis. I tym razem pragnął rozwiązania, które usatysfakcjonowałyby wszystkich. Choć z drugiej strony wiedział, że najprawdopodobniej nie zadowoli nikogo. Nie chciał jednak być stroną w sporze, bardziej odpowiadała mu pozycja arbitra. Rob dobrze wywiązywał się z roli antagonisty.

- Biorąc pod uwagę wasze reakcje i twoje, Rob, uważam, że powinniśmy dokonać próby. Odtworzmy na podstawie losowo wyłonionej komórki jednego osobnika tutejszej populacji... - zaczął. - Badania, które dokonamy po wyhodowaniu "zmartwychwstańca", odpowiedzą, co czynić dalej. Czy pozostawić planetę swemu losowi, zabierając ten jeden egzemplarz do naszego Muzeum Zaginionych i Upadłych Cywilizacji, czy też rozwinąć akcję odrodzenia. Jeden żywy dwunóg więcej powie o swej cywilizacji niż cała archeologia.

Słucham waszej opinii.

I zaczęło się. Wśród sporów, kto ma być losującą "sierotką" i czy ząb mleczny ma ten sam zapis genetyczny co trzonowy, przystąpiono do dzieła. Nie będziemy zanudzać Czytelnika szczegółami produkcyjnymi, w jaki sposób z normalnej komórki wyhodowano embriona i jak doprowadzono go w krótkim czasie do wieku dojrzałego. Cały czas dochodziło do kontrowersji, czy obok pamięci gatunkowej "zmartwychwstaniec" będzie miał

świadomość osobniczą. Wix to wykluczał, natomiast Rob twierdził, że owszem, przekonując, że rozwijającemu się osobnikowi towarzyszy stale niematerialna cząstka idealnej energii, którą nazwał "duszą nieśmiertelną". Wyśmiewano go, ale nie całkowicie. Cóż właściwie wiedzieli o tworcach białkowych? Quor nie wykluczał możliwości przechodzenia tożsamości osobniczej do innego wymiaru i powrotu jej wraz z odrodzeniem ciała. W każdym razie pachniało metafizyką i reinkarnacją.

Eksperyment miał się ku końcowi. Na polance nie opodal jednostki odłączano "zmartwychwstańca" od aparatury. Jeszcze był bezwładny, ale ciało jego nabierało rumieńców. Był to dwudziestoparoletni dwunóg, w świetle tutejszych kryteriów zapewne przystojny. Nawet piękny! Może tylko w kształcie jego ust kryło się coś...

- Jeśli cała taka rasa była, to tylko sobie pogratulować nadawał do Quora Rob. -

Wygraliśmy. Warto był.. Warto będzie...

Tymczasem sen mijał. Młodzieniec poruszył się na posłaniu. Rob i inne podquory cofnęły się, aby nie wywołać swym widokiem szoku...

Powieki młodzieńca drgnęły. Usta rozchyliły się.

- Nie, nie, Kasjusz! - jęknął.

Mózg Quora przygotowany na odbiór każdego z paru tysięcy miejscowych dialektów, odtworzonych z inskrypcji i płyt dźwiękowych, ucieszył się. Mowa była dawna, lecz popularna.

"Zmartwychwstaniec" ocknął się całkiem i siadł na posłaniu. Ruchy miał energiczne, pewne. Prześliznął się wzrokiem po aparaturze, zieleni za przezroczystymi ścianami...

- Na Jowisza, jestem w niebie!

Quor przywołał dawno nie używany emitor dźwięków, normalnie śpiący gdzieś w zakamarkach skorupy Jednostki. Przemodelował swoją myśl w dźwięk.

- Witajże, cny młodzieńcze i nasz przyjacielu, z Trzeciej Planety...

Młody człowiek aż przysiadł słysząc głos, a nie widząc mówiącego. Nie domyśliłby się rozmówcy w przypominającej blok skalny Jednostce.

- Nie lękaj się, albowiem przybywamy z dobrą nowiną. Rzeknij jeno, jak się nazywasz.

Zapytany jakby się zdziwił tym pytaniem. Krew mocniej napłynęła mu do policzków, w kącikach ust pojawił się grymas chępliwości. Odparł krótko:

- Kaligula!

### **Wariant autorski**

Dziewczyna w dżinsach wyszła prawie do połowy drogi, nie przestając wymachiwać ręką.

- Ładna - pomyślał Martin wymijając ją szerokim łukiem. - Bardzo ładna!

Miała szczupłe nogi, metaliczne włosy i śmieszna na wpół dziecinna buzię. W innej sytuacji zabrałby ją do wozu. Teraz nie mógł. Działał według instrukcji.

Las się skończył, a właściwie pojawiła się obszerna polana z widocznym w oddali pawilonem motelu. Poza paroma budynkami horyzont ze wszystkich stron zamykał bór, pełen wygod, ptactwa i żółknących liści. Vis a vis motelu widać było niski budynek warsztatu samochodowego udrapowany wywieszkami Datsuna, Forda i Volkswagena. Podróżny skręcił

na podjazd. Wszedł mechanik, rudy byczek o czerwonej twarzy zadowolonego z siebie idioty.

- Kolizyjka? - uśmiechnął się stukając butem o karoserię samochodu.

Martin skinął głową. Lewa strona wozu wyglądała opłakanie. Zmiażdżony błotnik, uszkodzone drzwi, pośluczone światła, oderwany zderzak. Jakże zdziwiłby się mechanik, gdyby mógł zobaczyć, jak godzinę temu pan Volontier metodycznie dewastował swój wóz ocierając go mozolnie o betonowy słup.

- Długo to potrwa? - spytał Martin.

Ryży rozłożył ręce, ale parę banknotów sprawiło, że wesoło klepnął maskę.

- Jutro w południe będzie jak nowy. Klient zmarszczył brwi.

- Bardzo się spieszę. A poza tym, co przez ten czas miałbym zrobić ze sobą? Zdaje się, że do najbliższego miasta mamy pięćdziesiąt mil.

- Sześćdziesiąt. Ale obok jest motel, całkiem przyzwoity i o tej porze roku prawie pusty.

Volontier westchnął, dał kluczyki i ruszył w stronę białych schodków. Szedł wolno, jak człowiek wytracony z normalnego rytmu. Minęła go dziewczyna w dżinsach. Biedactwo, musiała zrobić pół mili na piechotę. Uśmiechnął się. Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i skręciła do baru. Faktycznie mógł ją podrzucić. Wziął klucz od pokoju, ale poprzestał na wniesieniu tam teczki.

- Przespaceruję się - powiedział do recepcjonisty, mimo że ten o nic nie pytał, zadowolając się

wpisem w księdze - "Michael Vernon z Montrealu".

Jeziro znajdowało się o czterysta metrów od motelu. Idąc brzegiem według wskazówek doszedł do świeżo ściętej olchy. Tam, zdjawszy uprzednio buty i spodnie wszedł

w trzciny. Woda była cieplejsza niż myślał. Bez trudu odnalazł łódkę. Stała dokładnie tam, gdzie powinna. Cicho wiosłując przepłynął na drugą stronę cieśniny okolonej dzikim borem i przycumował przy zapuszczonym, prawie nie wystającym z trzciny pomoście. Stąd zarośnięta ścieżka doprowadziła go do starej leśniczówki. Oglądał się parokrotnie. Nikt go nie śledził.

- Brawo, pełna precyzja - powiedział spoglądając na zegarek szczupły mężczyzna o krótkich, połyskliwych włosach i wąsie przypominającym przylepiony pod nosem kłębek wełny. Nie wyglądał na leśniczego, mimo że całe wnętrze wypełniały skrzyżowane dubeltówki, rogi i łowieckie oleodruki. Jeszcze raz przyjrzał się postawnej sylwetce przybysza i spytał ciszej:

- Martin Volontier, oczywiście?

- Nazywam się Michael Vernon, wybrałem się na spacer i myślałem...

- W porządku - uśmiechnął się ciemnowłosy - jestem major Omikron z Grupy Specjalnej... Poza tym, po co ja pytam? Któż nie zna twarzy mistrza Volontiera. Jeszcze w szkole zaczytywałem się pańskimi opowiadaniem. Zawsze nurtowało mnie, skąd pan bierze pomysły? A "Trzecią Planetę" znam prawie na pamięć. "Siwy Glor jednym skokiem dopadł

pneumolotu..." - zacytował.

Pisarz wzruszył ramionami. Nie przybył tu na wieczór autorski. Właściwie nie wiedział nawet, po co go ściągnięto. Facet przedstawiający się jako Profesor Morris odwiedził

go wczoraj przed północą. Proponował królewskie honorarium za udział w poważnym eksperymencie. Prosił tylko o pełną konspirację.

- Rozumiem, chciałby pan od razu przystąpić do rzeczy - domyślił się Omikron - zatem chodźmy.

Otworzył dwuskrzydłowe drzwi dębowej szafy. Pisarz zdumiał się, wewnątrz czekała nowoczesna kabina windy.

- Pomysłowe, prawda? - Oficer puścił gościa przodem i nacisnął jeden z dwudziestu guzików. Ruszyli. - Zupełnie jak w "Grocie syren", skopiowaliśmy nasze centrum z pańskiego opowiadania - przyznał się. - Ale przynajmniej tu możemy być pewni, że nikt nam nie przeszkodzi.

Winda zatrzymała się na poziomie piątym. Weszli do niewielkiego pomieszczenia, przy ścianie stał strażnik z rozpylaczem, w głębi nad biurkiem pochylała się chuda postać profesora Morrisa (o ile było to jego prawdziwe nazwisko). Drzwi zasunęły się automatycznie.

- Od razu zabierzemy się do rzeczy - powiedział profesor, nie tracąc czasu na jakiegokolwiek wstępny. Światło przygasło, a w głębi zapłonął ekran video.

Jak okiem sięgnąć ciągnęło się przygnębiające odludzie kraina bagnisk, karłowatych drzew i zimnych wiatrów. Ekipa geologów zwabiona wzmożonym wskaźnikiem radioaktywności gruntu pracowała ze zdwojonym wysiłkiem. Czarno biały film pokazywał

kępę namiotów, hangar ze sprzętem, wreszcie wykop. Nie było potrzeby mrozić gruntu, mimo wiosny temperatura utrzymywała się ciągle poniżej zera. Poszukiwany obiekt nie leżał głęboko, a wszystko wskazywało, że raczej został zatopiony w bagnisku niż runął weń sam...

Zbliżenie, ascetyczna twarz profesora Morrisa promieniująca autentycznym podnieceniem. W końcu niecodziennie znajduje się latający talerz!

Kosmiczny spodek wyglądał dokładnie tak, jak w standardowych nowelkach i popularnonaukowych opisach. Wykonano go z nieznanego na Ziemi stopu, niezniszczalnego znanymi metodami. Może dlatego pasażerowie nie zniszczyli wehikułu, poprzestając na zatopieniu. Bo musieli

być pasażerowie. Pojazd znaleziono otwarty.

Z "meteorytem tunguskim" łączyła go tylko przyrodnicza sceneria - jego pojawieniu nie towarzyszyły żadne detonacje i kataklizmy, nie licząc pewnej liczby martwych ryb w miejscowych rozlewiskach. Ustalono datę. Zatopienie miało miejsce 19 i pół roku temu.

Ówczesne obserwacje astronomów wspominały o małym świetlistym punkcie dość szybko zbliżającym się w stronę Ziemi, który uznano za meteor. Nieoczekiwanie, już blisko Ziemi, stracono go z oczu. Przypuszczano, że spalił się w górnych warstwach atmosfery. Co ciekawe, talerza nie odnotował żaden radar. Dopiero dziś, patrząc z perspektywy, lądowanie można wiązać z tajemniczym zniknięciem trzech samolotów bojowych, które odbywając rutynowy lot nad Arktyką, weszły 2 października w strefę chmur, po czym urwał się kontakt. Ostatnie słowa jednego z pilotów brzmiały: "zejdę niżej, to interesujące". Nikt nie widział od tej pory ani samolotów, ani dziewięciu żołnierzy stanowiących ekipę.

A jednak profesor Morris znalazł wewnątrz kosmicznego wehikułu nieduży płaski klucz od sejfów bankowych należący do Johna Cabindy, strzelca pokładowego jednego z samolotów. Profesor nie uznał jednak za celowe dzielić się swym odkryciem z kimkolwiek.

Inny, zlekceważony przed laty fakt, odnotowany przez ówczesną prasę: Stary kłusownik Jednooki Sam opowiadał przy wódce, że w nocy z 2 na 3 października widział

grupkę dziewięciu mężczyzn w białych kombinezonach dążących w deszczu w stronę jedynej szosy w okolicy... Opowieść Sama przekazano do akt i zapomniano o niej. Kiedy jednak profesor Morris odgrzebał historię i próbując odnaleźć gawędziarza dotarł do rodzinnej osady kłusownika, dowiedział się o ciekawym zbiegu okoliczności: Jednooki Sam zmarł

poprzedniego dnia, spadając po pijanemu z pobliskiego mostu. Nie żył również kierowca transkontynentalnej ciężarówki, który 3 października przejeżdżał przez ową niegościnną rubież. Wóz najwyraźniej zmienił trasę, kierując się do jednego z gęściej zaludnionych okręgów południa, gdzie po prostu na ostrym zakręcie wypadł z drogi i spłonął.

Tu Omikron przerwał na moment relację i przypomniał, że detektywistyczne poszukiwania geologa były prowadzone znacznie później niż sceny pokazywane na filmie.

Wcześniej doszło do wydobycia talerza. Ceremonia odbywała się w klimacie zrozumiałego utajnienia, dopuszczono także ziemskie pochodzenie obiektu. Dokładne przeszukanie pojazdu wskazywało, że pasażerów musiało być dziewięciu, były to istoty nie większe niż pięć mężczyzn... Wszystkie ulotniły się bez śladu. Analiza magazynu i kuchni w pojeździe skłoniła naukowca do postawienia ciekawej hipotezy: ówczesna katastrofa eskadry nie była przypadkowa. Kosmici znaleźli sposób, aby sprowadzić samoloty na ziemię bo sześć mil od talerza było lotnisko, nie używane od wojny światowej, a następnie... Cóż, można fantazjować, czy możliwe jest stworzenie symbiotycznej całości z Ziemianina i przybysza z gwiazd, ulokowanego wewnątrz niego jak robak w jabłku? Morris przypuszczał, że tak.

Znalazło się nawet miejsce na ulokowanie pasożyta komora po usunięciu prawego płuca. Stąd kłęczowaty system nerwowy lokatora rozprzestrzenił się na cały organizm żywiciela, skutecznie kontrolując jego mózg i rdzeń kręgowy. Czy jednak zabiegu dokonano już 2

października, czy też sterowani hipnotycznie żołnierze dotarli najpierw ze swymi pasażerami (choćby noszonymi w chlebakach) do cywilizacyjnych centr, trudno ustalić.

Co się tyczy samolotów, musiały zostać po prostu spalone, czy też rozpuszczone nieznanym sposobem na opuszczonym lotnisku, tak że nie pozostał po nich nawet ślad spalenizny.

- Czyli - konkludował major Omikron spoglądając z niejaką satysfakcją na osłupiałego Volontiera - od blisko dwudziestu lat kosmici są wśród nas. I co pan na to, drogi autorze "Słonecznej strony

planety"?

Profesor Morris był człowiekiem ambitnym. Swoje przemyślenia zostawiał dla siebie, poprzestając na użytek ekipy jedynie na oczywistych konstatacjach. Oczywiście sporządził dokładny raport i zamierzał w odpowiednim momencie przekazać go komu trzeba. Ale nagle zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Wyższe czynniki odwołały ekipę. Znaleźnikiem miała zająć się Grupa Wydzielona. Posunięcia tłumaczono mętnie względami obronności. Morris był

jednak człowiekiem upartym, dotarł do Ministra i przedłożył swój raport. Okazało się, że Minister nic nie wiedział o zablokowaniu akcji, całością spraw zawiadywał jego zastępca (nazwijmy go Pułkownikiem), czterdziestosześcioletni ambitny oficer latynoskiego pochodzenia. Morris podzielił się swymi rozterkami. Minister uspokoił go jowialnie, obiecywał wszystko wyjaśnić, w tym celu mieli się spotkać nazajutrz. Opuszczając gmach rządowy profesor odczuwał nieokreślony niepokój. I słusznie.

Jeszcze tej nocy Minister zmarł w swojej rezydencji na zawał serca. W naszych nerwowych czasach zdarza się to nawet osobnikom uchodzącym za okazy zdrowia.

Obowiązki szefa przejął Pułkownik.

Czasami swe życie można zawdzięczać pechowi. Któż mógł przypuszczać, że wóz profesora Morrisa zepsuje się na ruchliwej ulicy i że naukowiec postanowi iść pieszo, że w czasie mimowolnego spaceru zwicnie nogę, a spotkany przez jednego ze swych uczniów zostanie odwieziony do zaprzyjaźnionego ortopedy? A czy trzeba większego zbiegu okoliczności niż taki, że brat profesora zapragnie w tam samym czasie go odwiedzić? Nie mogąc się dodzwonić do drzwi, wyjmie klucz spod słomianki i beztróska paląc papierosa wejdzie do środka...? Ktoś musiał nie zakręcić gazu. Fred Morris czuje jeszcze zapach, ale za późno. Huk, podmuch, deszcz padającego szkła...

Po wizycie u ortopedy profesor zasiedział się u swego ucznia. Rano dowiedział się równocześnie o śmierci Ministra i brata. Gazety zresztą podawały, że zginął on sam.

Uczniem, który wyciągnął do niego rękę był eks-policjant, eks-naukowiec, a obecnie szyszka w dowództwie wojsk chemicznych, przez przyjaciół nazywany majorem Omikronem.

On właśnie skłonił naukowca, aby podjął wyzwanie losu, zgodził się przejąć rolę własnego brata.

- Bardzo ładny scenariusz, prawda? - pyta Omikron. Twarz Volontiera jest bardzo poważna.

- Dlaczego opowiadacie mi o tym wszystkim? - mówi wreszcie.

- Dlatego, iż w świetle posiadanych danych mamy prawo domniemywać, że dziewiątka przybyszów z innego układu nie bez powodu owego pierwszego października znalazła się na Ziemi. Nie dla żartu zarobaczywiła się w ciałach pilotów, przy czym w czyich znajduje się obecnie, trudno dociec.

- Tylko?

- Tylko, mówmy otwarcie, była to grupa zwiadowcza, a może coś więcej, grupa mająca rozpoznać teren i przygotować wszystko do inwazji.

- Inwazji?! - Volontier zrywa się na równe nogi.

- Tak, dokładnie po dwudziestu latach.

- Ale to tylko hipoteza?

- Niestety, nie. Z obserwatoriów astronomicznych donoszą nam o roju świetlistych plamek zbliżających się z ogromną prędkością w naszą stronę. Wiele wskazuje, że koło pierwszego pojazdy "obcych" znajdują się w pobliżu Ziemi. Wiemy, że mają nad nami znaczną przewagę, biologicznie są niezniszczalni i pozbawieni skrupułów, że posiadają ogromne możliwości oddziaływania na ludzką psychikę.



Martin otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nic rozsądnego nie przychodzi mu do głowy.

- Naszą sytuację utrudnia fakt obecności wśród Ziemiaków owych dziewięciu... Kto zresztą wie, czy nie było i drugiego zwiadu, no więc pewnej liczby agentów, którzy zagnieździli się wśród nas. Przy ich możliwościach nosicielem może być każdy. Każdy, kto zamiast prawego płuca kryje w sobie potworka dysponenta. I do licha, nie są to z pewnością szarzy zjadacze chleba.

- Przypuszczam - mruczy Volontier - dwadzieścia lat to sporo. Mam nadzieję, że udało się wam kogoś rozszyfrować?

- Mieliśmy mało czasu - wzdycha Omikron - a poza tym musimy działać sami, moja grupka ludzi, profesor, paru przyjaciół. Przecież nawet Pułkownik-Minister...

- Domyśliłem się. I jeszcze kto?

- Skazani jesteśmy na domniemanie. Możemy jedynie zastanawiać się, jakie pozycje opanowalibyśmy sami, gdyby przyszło nam uczestniczyć w zwiadzie na obcej planecie.

Podejrzanych są dziesiątki, może setki... Sztab Obrony Powietrznej, Wojska Rakietowe, Agencja Aeronautyczna, Wywiad, Mass-media... Problem w tym, że nie możemy, ot tak, zrobić tym wszystkim ludziom rentgena. Nie możemy wykonać kroku, który by wskazał

"obcym", że jesteśmy na ich tropie... Stąd nasze centrale zlokalizowaliśmy w tych bunkrach, stąd ograniczone środki, konieczność fałszywych informacji o naszych "badaniach" wobec zwierzchników... - atak kaszlu przerywa oficerowi. Łyk piwa jednak przywraca mu mowa.

- Czy podejrzenia wobec Pułkownika są pewne - śmierć Ministra to mógł być tylko zbieg okoliczności? - pyta Martin.

- Parę lat temu zdarzyła się ciekawa sprawa. Pułkownik, wówczas jeszcze major, uczestniczył w obławie przeciwko gangsterom. Brałem udział w tej akcji, widziałem też, jak ugodził go pocisk w czoło.

- I nie zabił?

- Nawet nie drasnął, odbił się rykoszetem i zranił jednego z funkcjonariuszy schowanego za ścianą.

- Już wcześniej doszedłem do wniosku - wtrąca Morris - że "obcy", sami nieśmiertelni, zadbali o swe ludzkie skafandry. Pokryli je warstewką niewidocznego tworzywa. My nazywamy je żartobliwie "żywym teflonem"... Nosiciele nie można zabić ani zranić. Prawdopodobnie wyjątek stanowią ręce. Za często trzeba je podawać.

- Czyli badanie lekarskie mogłoby... - ożywia się Volontier.

- Zapewne tak. Ale jak je wykonać, zwłaszcza że pozostał nam zaledwie tydzień, a podejrzenia dotyczą głównie osób wysoko postawionych.

Zapada cisza. Gdzieś z głębi bunkra dociera nieprzerwana vibracja maszynarii.

- Dlaczego mnie tu zaprosiliście? - ponawia swoje pytanie Marcin. Omikron robi kolejnego drinka.

- W sytuacji obecnej chwytny się wszelkich środków. Tradycyjna nauka niewiele się przydaje. Może pomoże fantazja. Jest pan znany jako gejzer pomysłów.

- Ale tylko powieściowych.

- A czymże nasza sprawa różni się od powieści. Chcemy, żeby pan, myślał.

Fantazjował. Zaproponował tysiąc jeden projektów jak najbardziej nieprawdopodobnych...

Oczywiście nie za darmo.

- A jeśli nic nie wymyślę?

- Spróbujemy czegoś prymitywnego. Moi ludzie palą się do dzieła, aby jako terroryści zbadać wytrzymałość rozmaitych osobistości.

W głosie oficera brzmi pełna determinacja. Volontier wierzy, że Omikron jest gotów na wszystko.

- Ile mam czasu? - pada suche pytanie.

- Powiedzmy 48 godzin. Do motelu podrzucimy panu komputer z bankiem wszystkich pomysłów, jakie dotąd powstały. Maje zarejestrowane. Na razie jednak n o w e koncepcje musi wymyślać człowiek...

- Tylko dwie doby? Skoro pozostał jeszcze tydzień.

- Pojutrze mamy tu naradę naszego prywatnego sztabu. Musimy podjąć decyzje i przystąpić do działania.

- Czy mógłbym w takim razie otrzymać informacje o wszystkich podejrzanych?

- Pojutrze - uśmiecha się Omikron - teraz chodzi nam o pomysły teoretyczne. Jeśli pan sobie życzy, proszę dossier Pułkownika. Nic ciekawego poza informacją, że w wieku 25 lat uległ wypadkowi samochodowemu.

- A wiec nie był wtedy pokryty "żywym teflonem"!

- Widać jeszcze nie był. Z kraksy pozostała mu duża blizna na lewej części pleców...

Zaraz za prawym płucem... Na jakichś manewrach przed laty ściągnął koszule... Ktoś sfotografował.

Kiedy w pół godziny później literat opuszcza leśniczówkę, major ściska go kordialnie.

- Wierzymy w pana! To będzie najciekawsze zadanie literackie, a jakim kiedykolwiek słyszałem.

Przy recepcji westchnął na temat kłopotów z naprawą samochodu, który prawdopodobnie przedłuży jego pobyt o całą dobę, wcześniej pod błahym pozorem zlecił

mechanikowi rozebrać silnik. Przy barku, mijając dziewczyna w dzinsach, popijającą przez słomka jakąś dziwną amarantową ciecz, lekko się uklonił. Odpowiedzią było wyszczerzenie olśniewająco białego uzębienia. Ładna szelma!

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze i nosił numer trzynasty. Czerwone kotary harmonizowały z jasną tonacją, widać niedawno położonych, tapet. Marcin Volontier wziął

się do pracy. Kartka po kartce notował, czasem rysował, konsultował się z komputerkiem, który bezbłędnie odpowiadał, jaki pomysł wykoncypował Stanisław Lem w 61, a Kurt Vonnegut w 74 roku. Zatopiony w myślach nie zauważył nawet jak otworzyły się drzwi.

Zwłaszcza, że zamknął je od wewnątrz. Puszysty dywan stłumił kroki. Zorientował się dopiero, gdy poczuł, jak jego karku dotknęła czyjaś ciepła dłoń.

- To tylko ja - powiedziała dziewczyna w dzinsach. Tym razem nosiła jakieś bardzo luźne kimono.

- Myślałam, że poczuje się pan samotny w taką noc.

- Pracuje - powiedział cierpko, mimowolnie wpatrując się w krzywizny, które półprzezroczysty peniuar raczej uwydatniał niż zakrywał. Teraz dziewczyna wydała mu się znacznie starsza, niż tam przy barze. - Kto panią tu przysłał?

- Mam na imię Julia - powiedziała szeptem.

- Michael - odburknął.

- To chyba na drugie, mistrzu Volontier - roześmiała się. - Ale jeśli nasza znajomość ma mieć charakter aż tak oficjalny i ja się ujawnię - porucznik Delta. Wiem, wiem, wyglądam raczej na markietankę, ale naprawdę jestem ze sztabu majora Omikrona. Mam czuwać nad tobą i udzielać wszelkiej stosownej pomocy. Wszelkiej! - podkreśliła.

Przez moment zastanawiał się, czy nie jest to pułapka.

- Czy mam ci opisać wewnętrzny układ bunkra pod leśniczówką, aby pozyskać twoje zaufanie, czy wystarczy, jeśli pójde wziąć kąpiel... - a widząc jego lekkie osłupienie dodała -

nie robię z seksu misterium ani tematu długotrwałych negocjacji - idę do łóżka z kim chce i kiedy chce.

Zaczerwienił się.

- Zostało mi 38 godzin - każda minuta jest droga, Julio. Jak skończę kosmitów, chętnie przystąpię do spraw ziemskich.

- To się nazywa charakter twórczy, nie bez powodu nazywają pana tytanem pracy i gigantem wstrzeźliwości. Nie jesteś przecież żonaty?

- Nie.

- A pozwolisz sobie zrobić kawy?

- Oczywiście.

Miała jeszcze dużo czasu, by podziwiać jego hart i wytrzymałość. Nie zmrużył oka, wypił 55 kaw, wypalił zagajnik "malboro" zapisując dwie ryzy papieru. Nie rezygnując z obowiązków gosposi Julia zdrzemnęła się ze cztery razy, dla relaksu obiegła kilkadziesiąt razy motel, wypła kilka drinków. Drugiej nocy nad ranem, kiedy sen miała lekki, Martin nagle wstał od stolika, obszedł parę razy pokój przypatrując się śpiącej, potem usiadł obok niej, poczuła dłoń autora przesuwającą się po jej gołych ramionach, piersiach. Chwyciła go oburącz i przyciągnęła. Musnął ustami jej wargi i wstał.

- Nie teraz! Muszę zapisać pewien pomysł.

Świtało. Krawędź boru wyrzynała się już z jednolitej czerni.

W południe minęła czterdziesta siódma godzina pracy. Martin zebrał papiery. Wnioski pozakreślał czerwonym flamastrem. Julia zaglądała mu przez ramię, ale niewiele mogła wywnioskować z gmatwaniny skrótów, strzałek i nazw.

- Masz coś? - spytała.

- Starczyłoby na biblioteczkę. Pójdiesz ze mną do bazy?

- Oczywiście.

Ruszyli w stronę jeziora. Właśnie zza szanieców chmur wyjrzało słońce. Było jednak dosyć chłodno. Volontier musiał być zadowolony z wyników, pogwizdywał bowiem i parę razy przygarnął dziewczynę do siebie.

- Zgaduje, że masz jakiś szczególnie ulubiony wariant.

- Chyba tak.

- A możesz mi go opowiedzieć?

- Teraz mogę.

- No więc?

- Pomysł numer 24b. Nazwałem go pułapką. Wiedząc, że Pułkownik jest kosmitą należałoby go poddać dyskretnej inwigilacji, a następnie poinformować o akcji Omikrona.

Prawdopodobnie spróbowaliby skonsultować się z resztą. Ich siły telepatyczne działają z pełną mocą dopiero, gdy zostaną uporządkowane w jedno.

Przerwał, wpatrywał się w niebo. I dostrzegł. Małą kreseczkę nad horyzontem.

- Padnij!

Usłuchała. Biaława smuga przecięła niebo, docierając do drugiej strony jeziora.

Ogłuszający huk dobiegł do nich chwilę później, równocześnie z wykwitem burzy dymu i ognia. Ziemia zadrżała. Od podmuchu wyleciały wszystkie szyby w motelu.

- Co to? - krzyknęła.

- Chyba odkryli nas... Zaczekaj!

Ścieżką wokół jeziora Julia pognęła w stronę, gdzie powinna znajdować się leśniczówka. Po co? Nie powinno zostać z niej śladu. Przy precyzyjnym uderzeniu nie zostały się i najniższe poziomy bunkra. Volontier zawołał, a potem pobiegł za dziewczyną. Dróżka była kręta. I naraz!

Rozstępowanie się ziemi pod nogami jest bezwzględnie uczuciem głupim. Martin wywinął

koziołka i wylądował na dnie głębokiego dołu o stromych ścianach. Zaklął.

Nad krawędzią ukazały się twarze Omikrona, Morrisa, Julii.

- Wariant 24 pułapka - powiedziała porucznik Delta. - Zachowuj się spokojnie Michael, Martin, czy jak naprawdę nazywają cię w twojej galaktyce.

Milczał, a jego mózg pracował gorączkowo.

- Jesteście jak ludzie. Naiwność i przesadna pewność siebie. Wasza rakietka uderzyła w atrapę bunkra... - powiedział profesor - a my mamy wszystkie twoje kontakty.

- Kontakty? Jesteście w błędzie, bierzecie mnie za kogoś innego. Julia była ze mną cały czas i wie, że się z nikim nie kontaktowałem.

- Kolejny błąd. Nie zorientowałeś się, że pokój numer 13 był jedną wielką komorą czujnikową, nastawioną na wyłapywanie wszelkich emisji twego organizmu. Udając, że myślisz, nadawałeś sygnały. Ustaliliśmy fale łączności biologicznej i mamy wszystkich osiemnastu twoich kumpli, bo były jednak dwa lądowania!

- Nic wam to nie da, jesteśmy nieśmiertelni - krzyknął ochryple.

- To rzecz dyskusji i technologii - odpowiedział Omikron. Rozległ się dziwny dźwięk, ni to hurgotu, ni plusku, i nad krawędziami dołu pojawiły się wirujące paszcze betoniarek.

Niagary szarawego błota chlusnęły w dół. Pisarza ogarnęło przerażenie.

- Chcecie mnie tym zalać?

- Tak, uwięzić niczym muchę w bursztynie. Tyle, że żywego. Na wieczność, chyba, że jednak nie potrafisz się obywać bez pożywienia.

- Zostaniecie zniszczeni!!!

- Spróbuj połączyć się z kumplami. Są w podobnej sytuacji. I Pułkownik, i sztabowcy, nawet prokurator generalny.

Targnęła nim fala nagłego podniecenia, przechodzącego w zniewalającą bierność.

- Sięgasz po broń telepatyczną? - roześmiał się Morris: - To nic nie da! Betoniarki są tak zaprogramowane, że nikt z nas nie może ich wyłączyć... .

Zresztą strach już owładnął mózgiem Volontiera. Ubezwłasnowolniające promieniowanie osłabło.

- Popęlniacie błąd, cholerny błąd - bełkotał - owszem, przyznaję, mieliśmy przygotować inwazję, ale wyłącznie dla waszego dobra...

Z urywanych zdań przebijała szczerść. Grał czy mówił prawdę?

- Od dawna obserwowaliśmy Ziemię. Jediną planetę istot prawie rozumnych w tej części galaktyki, pełną wewnętrznych sprzeczności i konfliktów sterujących nieuchronnie ku zagładzie. Jakiś czas temu nasza rejonowa baza na jednym z księżyców (ugryzł się w język, później dowiedziono, że chodziło o satelitę Jowisza) zdecydowała interweniować. Przejąć komisaryczny zarząd nad Ziemią uporządkować jej sprawy. Jesteście zapóźnionym i mocno zdefektowanym gatunkiem, ale chcieliśmy wam pomóc... Zlikwidować wojny, choroby, śmierć, dać wam...

- Sądzisz, że Ziemianie wytrzymaliby taką okupację nawet dla swego dobra? Zbyt często próbowano uszczęśliwiać nas na siłę!

Volontier po pas w płynnym cemencie usiłował wspiąć się na ścianę, daremnie, piasek usuwał mu się pod palcami.

- Wstrzymajcie betonowanie - nie macie prawa zamykać mnie na wieczność w tym dole! Nie umrę, pogrążony w letargu będę... Ludzie!!!

Płynna masa sięgnęła mu po pierś. Krzycząc nieartykułowane słowa (może zresztą była to jego prawdziwa mowa) rozerwał kurtkę i koszulę. Ci patrzący z tyłu mogli widzieć wyraźnie dużą bliznę: W pewnej chwili niektórym wydało się, że blizna pęka, a z rany wynurza się zielonkawy ryjek. W

tym momencie jednak część ziemi osunęła się w głąb dołu.

Szarawa fala przykryła autora. Chwilę trwało szamotanie pod powierzchnią...

Betoniarki warczały miarowo.

Dziennikarzom pozostawiamy relację, co działo się dalej po samozwańczej akcji majora Omikrona, który na własną rękę wyeliminował kilkunastu czołowych prominentów, zresztą unieszkodliwiając ich różnymi dowcipnymi metodami. Wspomnijmy tylko, że wkrótce zamiast wyroku sądu wojskowego sypnęły się na niego i resztę spiskowców odznaczenia, nagrody i zaszczyty. W tak zwanym międzyczasie obserwatoria doniosły o nagłym zatrzymaniu się świetlistych plamek, a następnie stopniowym wycofaniu. Zresztą konflikty międzynarodowe, epidemia cholery w Iranie i fala samobójstw w Skandynawii odwróciły uwagę od całej afery.

Tylko krasnolicy mechanik samochodowy, mimowolny uczestnik dramatu, który od pewnego czasu przerzucił się na pisanie nowel fantastycznych, opowiada, że przynajmniej raz do roku do motelu przyjeżdża wytwornie ubrana dama, a następnie z wiązanką kwiatów udaje się do lasu, gdzie podwójne zasieki pod prądem otaczają betonową plombę w leśnym poszyciu.

# Spis treści

[Rozpocznij](#)